

NOWY MINISTER SPRAW WEWNĘTRZNYCH

Co się kryje za awansem
Mariusza Kamińskiego?



TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 34/336 19-25 SIERPNIA 2019

Dziwaczny ruch
Pawła Kukiza

**„ZNIEWOLONA”
NIEZWYKŁY
SUKCES SERIALU
W TVP**



Zychowicz kontra
„Gazeta Wyborcza”

Lato 1939 r. – Polska 80 lat temu

Ostatnie dni przed wojną



ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład: 77 tys. egzemplarzy

Mieszkańcy łodzi na gdyńskim nabrzeżu, na tle statku wycieczkowego „Małgosia”, 1939 r.

epasa.pl 1a831ba3

NAJ NIE BIERZE SIĘ ZNIKAĆ

NAJ musi być doskonałe z każdej strony. Paliwa LOTOS powstają w najnowocześniejszej rafinerii w Europie. Tworzą je zaangażowani w swoją pracę eksperci oraz ludzie z pasją.

www.naj.lotos.pl



NAJ Z KAŻDEJ STRONY



www.niebieskislak.pl

Droga do NAJ jest długa. Dlatego jako pierwsi połączyliśmy Gdańsk z Warszawą **NIEBIESKIM SZLAKIEM** elektromobilności, tworząc sieć stacji ładowania samochodów elektrycznych.





PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Razem do Senatu!

Przez ostatnie cztery lata żyłem w przeświadczeniu, że z dnia na dzień, ba, z godziny na godzinę Polska chyli się ku upadkowi. Groza narastała, niebo ciemniało, pioruny biły, strach za gardło chwytał. Jedynie, co pozostawało niepewne, to skala zniszczeń i rozpadu, jaką państwu przyniosło zwycięstwo PiS w październiku 2015 r.

Jedni twierdzili, że współczesna Polska przypomina Republikę Weimarską z początku lat 30., inni wskazywali na początek rządów Hitlera, jeszcze inni dostrzegali podobieństwa między nadwysłańskim reżimem a dawnym PRL, wreszcie byli i tacy, którzy mądre miny robiąc, co dzień od nowa głosili, że hydra faszyzmu w Polsce się odradza. Nic dziwnego, że w takiej sytuacji cała opozycja musiała razem stanąć do boju i powołać coś w rodzaju niegdysiejszych frontów antyfaszystowskich, czyli Koalicję Europejską. Skoro demokracja się chwile, upada, ginie, pora porzucić niesnaski i spory. Trzeba było ramię w ramię stanąć przeciw wspólnemu wrogowi. Niestety,

trud ten i wysiłek wielki ograniczone przyniósł owoce i polski naród, czy to z powodu ignorancji, czy też przekupstwa, wielkiej idei walki o demokrację nie pojął i w wyborach do PE wygrał PiS.

Zwycięstwo to powinno, gdyby kierować się logiką, doprowadzić do zacieśnienia współpracy różnych partii opozycyjnych. Co więcej, powinno też doprowadzić do poszerzenia bloku opozycyjnego. No bo skoro niebezpieczeństwo stało się tak wielkie, że obywatele przestali je dostrzegać, należało wzmocnić wysiłki. Tymczasem stało się dokładnie odwrotnie. Okazało się rychło, że owa zjednoczona opozycja, która w imię obrony przed zagrożeniem dyktaturą poszła do wyborów do Parlamentu Europejskiego razem, teraz, kiedy chodziło o kampanię do Sejmu, jedność porzuciła.

Jak to możliwe, pytam zatem, że kiedy chodziło o wybory do odległej i abstrakcyjnej dość instytucji, jaką jest PE, moralną powinnością była jedność, a teraz, kiedy rzecz dotyczy wyborów z polskiego punktu widzenia ważniejszych, bo do Sejmu, wyborów, które mogą

przynieść zmianę polityczną, ważniejsza od jedności stała się różnorodność? I to przy ordynacji wyborczej, która premiuje jedność. Dziwne, nieprawdaz? Poza tym wielkim zdziwieniem były też mniejsze wydarzenia, jak choćby to, że Robert Biedroń, nowa twarz polskiej polityki, nadzieja młodych i otwartych, człowiek przyszłości i tęczy, ten, który niósł sztandar zmiany, po staremu wystawił swoich zwolenników do wiatru i zamiast, jak to publicznie obiecał, porzucić brukselskie wygodę i w domowe pielesze wrócić, ustępując miejsca prof. Płatek, zasłużonej weterance walk o pokój i demokrację, bezwstydnie wszystkiego się wyparł i jakby nigdy nic do kraju udręczonego dyktaturą powrócić nie zamierza.

Jednak niech żywi nie tracą nadziei! Oto usłyszałem, że opozycja nie całkiem podzielona i że trwają negocjacje, które mają doprowadzić do powstania jednej opozycyjnej listy do Senatu. Naprawdę niezłe. Jak to możliwe, że w wyborach do Sejmu różne siły opozycyjne będą konkurować ze sobą, na programy walczyć, o miejsca zabiegać – PO przeciw SLD, SLD kontra PO, PO przeciw SLD i przeciw PSL/Kukiz'15 – a do Senatu wystawią wspólnych kandydatów? To znaczy są razem czy osobno? Spierają się naprawdę czy tylko udają? Te różnice między lewicą, PO i PSL to prawdziwe czy tylko udawane? Jeśli bowiem kandydaci do Senatu są wspólni, to znaczy, że i ich reprezentacja będzie wspólna i decyzje wspólne. To po co mydlić oczy wyborcom osobnym startem do Sejmu?

Naprawdę, patrząc na łamańce i wygibas opozycji, trudno się nie śmiać. I trudno nie zauważyć podstawowego fałszerstwa, na którym wszystkie inne są oparte: opowieści o zagrożeniu dla demokracji. ©©

RYSUNEK TYGODNIA



1,22 mld zł zysku netto wypracowała w drugim kwartale tego roku grupa kapitałowa PKO BP. To wynik o 30 proc. niż rok wcześniej i najwyższy w (stuletniej) historii banku.

Sukces goni sukces!

PKO Bank Polski rośnie w szybkim tempie. Wartość aktywów na koniec kwartału wyniosła 329 mld zł i była o ponad 10 proc. wyższa niż przed rokiem. Finansowanie dla klientów osiągnęło poziom 246 mld zł, a kwota oszczędności zarządzanych przez grupę wyniosła 290 mld zł.

Wyniki te dają bankowi pozycję lidera polskiego sektora z najwyższymi udziałami, zarówno w rynku kredytów, jak i oszczędności.

WIZJA SIĘ ZIŚCIAŁA

Rekordowy wynik przy jednoczesnym utrzymaniu wysokiej dyscypliny kosztowej przełożył się w pierwszej połowie roku na wzrost rentowności mierzonej zwrotem z kapitału, która wynosi już 10,7 proc. i zbliża się do przewidywanego na koniec 2019 r. poziomu 11 proc. Dodatkowo, dzięki ostrożnemu zarządzaniu ryzykiem i korzystnemu otoczeniu gospodarczemu, bank znacząco obniżył koszt ryzyka do poziomu 0,55 proc.

– Bank dwa lata przed czasem zrealizował finansowe cele działania na lata

2016–2020, wciąż je poprawia i planuje ich aktualizację – tłumaczy Zbigniew Jagiełło, prezes zarządu PKO Banku Polskiego.

Doskonałą kondycję banku doceniają inwestorzy. PKO Bank Polski jest najcenniejszą spółką notowaną na GPW w Warszawie, a w czerwcu – po fali wzrostów kursu jego akcji – kapitalizacja spółki przekroczyła wycenę rynkową Deutsche Banku –

największego banku w Niemczech.

ZYSK DLA WSZYSTKICH

Polska gospodarka rozwija się w szybkim tempie. Polacy się bogacą, z czego wynika wzrost rynku kredytów konsumpcyjnych oraz mieszkaniowych, a także wielkości depozytów gospodarstw domowych. PKO BP jest ulubionym bankiem Polaków. Z jego usług korzysta blisko 10,7 mln

klientów, z czego 10,2 mln w segmencie detalicznym.

APLIKACJA IKO NAJLEPSZA NA ŚWIECIE

Nie tylko różnorodność oferowanych produktów finansowych, lecz także wygoda korzystania z nich przyciągają klientów. PKO BP utrzymuje pozycję lidera bankowości mobilnej w Polsce.

Pod koniec drugiego kwartału tego roku klienci banku mieli łącznie 3,6 mln aktywnych aplikacji IKO i z jej wykorzystaniem wykonali blisko 220 mln transakcji. Były to m.in. płatności w sklepach, Internecie, wypłaty z bankomatów, przesyłanie pieniędzy, przelewy, sprawdzanie salda czy historii rachunku. Ostatnio aplikacja została wzbogacona o funkcje: mobilnej autoryzacji, zakupów biletów komunikacji miejskiej, dodania karty kredytowej jako źródła pieniędzy dla transakcji BLIK oraz zlecenie stałe na cele charytatywne.

Użytkownicy IKO wystawili blisko 400 tys. ocen aplikacji, średnia ocen to 4,8 na 5 możliwych gwiazdek. Popularność aplikacji i jej wysokie oceny wystawione przez użytkowników dały IKO zwycięstwo w rankingu brytyjskiego Retail Banker International, który uznał IKO za najlepszą bankową aplikację mobilną na świecie.

Dodatkowo 1,5 mln klientów PKO BP korzystających wyłącznie ze zdalnego dostępu do produktów (mobile-only) stanowi najliczniejszą grupę spośród wszystkich klientów banków w Polsce. Także liczba transakcji dokonanych przez klientów tego banku daje mu 26 proc. udział w rynku transakcji kartami i 29 proc. udział w rynku płatności BLIK.

Co ciekawe, przykład sprzedaży pożyczki gotówkowej pokazuje, że blisko połowa jej sprzedaży dokonywana przez klientów młodych realizowana jest z wykorzystaniem kanałów cyfrowych.

Helena Majewska

PKO BP największym bankiem dla biznesu

Ponad 100 mld zł finansowania udzielił PKO BP w drugim kwartale br. podmiotom gospodarczym. Tym samym grupa potwierdziła, że jest największym w Polsce bankiem korporacyjnym i inwestycyjnym. Obsługuje bowiem ponad 15 tys. klientów korporacyjnych i prawie pół miliona mniejszych firm, oferując im kompleksowe rozwiązania (bazujące na różnorodnych produktach banku i spółek zależnych) odpowiadające na odmienne potrzeby dużych i małych firm.

Troska o środowisko

W marcu 2019 r. bank przyjął politykę kredytową wobec sektora energii wysokoemisyjnej. Zakłada ona ograniczanie zaangażowania banku w transakcje dotyczące energii wysokoemisyjnej. Ponadto działając na rzecz środowiska naturalnego, PKO Bank Hipoteczny, jako pierwszy w Polsce, dołączył do światowych emitentów Zielonych Listów Zastawnych, czyli papierów wartościowych finansujących nieruchomości energooszczędne lub działania zwiększające efektywność energetyczną (ekologiczność) domów i mieszkań.



TEMAT TYGODNIA

18 KRZYSZTOF MASŁOŃ
JUTRO NADEJDĄ NIEMCY
Ostatnie lato przed wojną

KRAJ

24 ROZMOWA Z WITOLDEM WASZCZYKOWSKIM
**KTO DAŁ NAM WIĘCEJ
NIŻ AMERYKANIE?**

Warszawa może mediować
między UE a Trumpem

28 WOJCIECH WYBRANOWSKI
SUPER MARIO

32 KAMILA BARANOWSKA
WITEK NA KRYZYS

34 ŁUKASZ WARZECHA
ZAGUBIONY W PARTIOKRACJI

36 ROZMOWA Z TOMASZEM SZATKOWSKIM
**PODSTAWOWYM GWARANTEM
BEZPIECZEŃSTWA POWINNY BYĆ
NASZE SIŁY ZBROJNE**

38 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
ZNIEWOLENI „ZNIEWOLONĄ”

40 ROMUALD KMECIK
SERIAL, KTÓRY DA SIĘ OGLĄDAĆ

KULTURA

42 PIOTR GOCIEK
KONIEC ŚWIATA NASTĄPIŁ
Erast Fandorin w kraju bolszewików

44 WIESŁAW CHEŁMINIAK
CZECH, KTÓRY ZDOBYŁ PARYŻ

NIE PRZEGAP

48 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

54 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
OSTATNIE ROZKUŁACZENIE
Samobójcza strategia LGBT

56 ROZMOWA Z JERZYM KWAŚNIEWSKIM
**MARSE RÓWNOŚCI SĄ AKTAMI
PRZEMOCY**

59 PIOTR ZYCHOWICZ
**LUDOBÓJSTWO NA WOŁYNIU – TEMAT
ZAKAZANY?**

HISTORIA

62 PIOTR SEMKA
KIEDY BELGIA LIZAŁA RANY
Wystawa o pokoleniu wielkiej wojny

66 SŁAWOMIR SIWEK
DWA OKRĄGŁE STOŁY

ŚWIAT

68 OLIVIER BAULT
EUTANAZJA W OBRONIE ABORCJI
Francuski bój o śmierć

70 PIOTR KOŚCIŃSKI
KRÓLOWIE GÓRĄ

72 JOANNA BOJAŃCZYK
PO WEINSTEINIE EPSTEIN

74 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
**SŁOWENIA – SŁOWIAŃSZCZYZNA
W CINIU ALP**

EKONOMIA

78 TOMASZ WRÓBLEWSKI
**KRYPTOPOTENCJAŁ
ZUCKERBERGA**
Banki narodowe
kontra moneta Facebooka

81 TOMASZ CUKIERNIK
WALKA Z PLASTIKIEM

84 ROZMOWA Z JERZYM POŁACZKIEM
**BUDUJEMY
NIE TYLKO AUTOSTRADY**

O ZDROWIU

86 KATARZYNA PINKOSZ
OSZCZĘDNOŚCI NA ŻYCIU
Nowe terapie w raku piersi

88 KATARZYNA PINKOSZ
CHOROBY MŁODYCH

STYL

92 TOMASZ KAŻMIEROWSKI
SIEKIERY WESSEXU
Wakacyjny cykl o winie

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu listy, które musiały trochę poczekać na swoją kolej. Korespondencję elektroniczną prosimy kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Mój pierwszy raz”, Sławomir Cenckiewicz, „DRz” 30/2019

W tygodniku „Do Rzeczy” Sławomir Cenckiewicz oznajmił, że został zmuszony do wytoczenia powództwa Lechowi Wałęsie za notoryczne szkalowanie jego dobrego imienia, systematyczne znieważanie i obrzucanie go inwektywami z powodu udokumentowania przez tego badacza agenturalnej działalności ikony polskiego Sierpnia '80. Przysnam, że epistolograficzna aktywność pana Wałęsy i podejmowane próby samooczyszczenia się stały się męczące dla większości polskiego społeczeństwa. Najgorsze, że nie widzę oznak solidarności zawodowej z prof. Cenckiewiczem ze strony środowiska polskich historyków. A mieliśmy do czynienia z obrzydzeniem życia p. Żyżakowi, który ośmielił się dojść do prawdy w pracy magisterskiej, i gniewnymi pomrukami premiera Donalda Tuska pod



adresem najstarszego uniwersytetu na ziemiach polskich. Gdyby coś podobnego wyszło z ust Jarosława Kaczyńskiego, to o takich okropnościach mówiłyby małe dzieci w Argentynie. [...]

**Dr hab. Leszek Kania,
prof. Uniwersytetu Zielonogórskiego**

„Emerytura+”, Piotr Gabryel, „DRz” 27/2019

Z opóźnieniem, ale za to z zainteresowaniem przeczytałem felieton red. Piotra Gabryela „Emerytura+”. Jestem „świeżym” emerytem z roku 2018, więc dysponuję aktualnymi danymi. A przeczą one tezom felietonu. Po lekturze podobnych artykułów

byłem bardzo zaskoczony, że moja emerytura była znacząco wyższa od ostatniej pensji. Co więcej, sześcioro moich znajomych emerytów sygnalizowało podobną sytuację. Nie udało mi zaś znaleźć nikogo, kto miałby emeryturę niższą od pensji. Więc jak to jest z tą stopą zastąpienia?

**Pozdrawiam
Mirosław Wieczorek**

Od autora

Szanowny Panie!
W swoim felietonie nie pisałem o obecnej wysokości stopy zastąpienia (czyli stosunku wysokości pierwszej emerytury do wysokości ostatniej pensji), lecz prognozowanej – w 2050 r., a więc za 31 lat, kiedy to – według cytowanego przeze mnie raportu OECD – Polska znajdzie się pod tym względem na ostatnim miejscu w Europie i przedostatnim na świecie – przed Meksykiem.

Piotr Gabryel

„Powstanie musiało wybuchnąć”

Jak co roku 1 sierpnia wywiesiłem flagę. Będzie wisiąca przez cały czas trwania Powstania Warszawskiego. Moj ojciec brał w nim udział, był zastępcą szefa „Dwójki” na Mokotowie, pseudonim Radca. Zginął parę miesięcy później w Złotokosie z rąk kryminalistów z Polskiej Armii Ludowej, którzy zresztą byli sądzeni po wojnie. „Powstanie musiało wybuchnąć” – stwierdził w radiu wicepremier Piotr Gliński i uzasadnił to psychospołeczną sytuacją w stolicy Polski. „Dowódcy nie mieli wyboru”. [...] Nareszcie ktoś w najwyższych władzach Polski z korzeniami w polskiej historii [...]. Gliński bardzo rozsądnie mówił też o konieczności godnego upamiętnienia tygodniowej obrony Westerplatte. I o uzupełnieniu wystawy Muzeum II Wojny Światowej o takie pominięte elementy jak holokaust (to moje określenie, nie wicepremiera) polskiego kleru czy powojenne prześladowania bohaterów podziemia. Mówił też o konieczności sprostowania kłamliwych informacji o liczebności ruchu oporu w Europie, pomniejszający nasz w nim udział.

Gdyby nie zmiany polityczne w Polsce, za kilka lat na świecie panowałoby przekonanie, że w Warszawie było tylko jedno powstanie i było to powstanie w getcie. [...]

**Imię i nazwisko
do wiadomości redakcji**

DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.pl

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Żychowicz**

Z ZESPOŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan**, **Radosław Woitas**

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, **Piotr Gociel**, **Waldemar Łysiak**, **Krzysztof Masłoń**, **Piotr Semka**,
Łukasz Warzecha, **Rafał A. Ziemięcki**

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, **Oliver Bault**, **Robert Bogdański**, **Joanna Bojańczyk**,
Grzegorz Brzozowicz, **Sławomir Cenckiewicz**, **Wiesław Chełminiak**,
Dominika Coś (*Bruszel*), **Krzysztof Czański**, **Piotr Gursztyn**,
Maria Kądzielska, **Katarzyna**, **Jacek Komuda**, **Sławomir Koper**,
Piotr Kowalczyk (*Rzym*), **Jakub Kowalski**, **Grzegorz Kucharczyk**,
Tomasz Lenczewski, **Ewa Łosińska**, **Łukasz Majchrzyk**, **Marcin Makowski**,
Monika Małkowska, **Karolina Marchlewska-Trzmiel**, **Gabriel Michalik**,
Filip Memches, **Agnieszka Niewińska**, **Andrzej Nowak**, **Maciej Pieczyński**,
Katarzyna Pinkosz, **Witold Repetowicz**, **Agnieszka Rybak**, **Krzysztof Rybiński**,
Stefan Sękowski, **Joanna Siedlecka**, **Teresa Stylińska**, **Artur Szeremeta**,
Tomasz P. Terlikowski, **Błażej Torąński**, **Szewach Weiss**, **Piotr Włoczyk**,
Marcin Wolski, **Tomasz Wroblewski**, **Wojciech Wybranowski**,
Igor Zalewski, **Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL: redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Blanka Aleksowska**, **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak**, **Anna M. Piotrowska**, **Małgorzata Puzyr**, **Damian Cygan**, **Jan Fiedorczuk**, **Przemysław Harczuk** (także „Super Express”)

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Jakub Tański**,
Jacek Nadratowski, **Anna Sobieska-Wojtowicz**, **Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoreżyser: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**

Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**, **Anna Zalewska**, **Mazena Dobosz**,
Agnieszka Wasilewska

Rysownicy: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krzysztofa**

Okładka: **Karol Szczeciński/East News**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy

Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Piotr Piaszczyk, **Robert Pstrokoński**, **Ewa Rykaczewska**

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 886

PUBLIC RELATIONS

(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż);

Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),

prenumerata@pmpg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 77 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Archiwizacja egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi

Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne

w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/





WIERNI POLSCE W KATOWICACH

Defilada i uroczystości z okazji Święta Wojska Polskiego pod hasłem „Wierni Polsce” w tym roku wyjątkowo odbyły się w Katowicach – by uczcić 100. rocznicę pierwszego powstania śląskiego.

– „Co nam obca przemoc wzięła, szabłą odbierzemy” – myślę, że te słowa mieli w pamięci wszyscy żołnierze, którzy zmobilizowani przez marszałka Józefa Piłsudskiego, przez premiera Wincentego Witosa i innych wielkich polskich polityków szli wtedy na front pod Warszawą, tamtego pamiętnego sierpnia 1920 r. Ale myślę, że to samo na myśli mieli także mieszkający tutaj ludzie Górnego Śląska, Ślązacy, kiedy prześladowani przez Niemców zbrojnie stanęli do tego, aby walczyć, by tutaj była Polska – mówił w Katowicach prezydent Andrzej Duda.

Przypominał to także podczas przemówienia premier Mateusz Morawiecki: – To nasi przodkowie, 100 lat temu, walczyli o polskość Śląska i tę polskość wywalczyli. To nasi wspaniali bohaterowie, żołnierze, ale i gimnazjaliści, studenci, chłopcy i robotnicy z Bitwy Warszawskiej, którzy powstrzymali czerwoną zarazę, którzy szli na Warszawę, Berlin, Paryż, obronili wtedy losy Polski i świata – powiedział.

W defiladzie w Katowicach wzięło udział ponad 2,5 tys. żołnierzy, w tym stacjonujący w Polsce Rumuni, Chorwaci, Amerykanie i Brytyjczycy. Zaprezentowano blisko 200 pojazdów, w tym m.in. polskie transportery Rosomak i samobieżne haubice Rak. Mieszkańcy mogli zobaczyć też czołgi Leopard 2 będące na wyposażeniu polskiej armii oraz amerykańskie czołgi M1 Abrams. Na niebie obejrzeć można było m.in. myśliwce F-16 oraz gościnnie amerykańskie F-15, a także śmigłowce i samoloty szkoleniowe. © **luz**



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Tadeusz i Bronisław

Dokładnie 30 lat temu decydowało się, kto będzie pierwszym solidarnościowym premierem.

Jak wiemy, został nim Tadeusz Mazowiecki. Jak podejrzewam, w „Gazecie Wyborczej” czy TVN popłynę strumień rocznicowego lukru. Tamte wydarzenia zostaną przedstawione jedynie jako początek chwalebnej „transformacji”. To prawda, ale nie cała. Ja pamiętam tamtą rozgrywkę o premierostwo jako rywalizację dwóch osobowości, ale i wizji politycznych.

Tak naprawdę w tej rozgrywce liczyli się tylko dwaj rywale – Tadeusz Mazowiecki i Bronisław Geremek. Obaj byli najbliższymi doradcami Lecha Wałęsy od 1980 r. Przywoływany niekiedy w kontekście przymiarek do premierostwa Jacek Kuroń nie miał w oczach Wałęsy odpowiedniego prestiżu.

Pamiętam, że gdy Adam Michnik rzucił 3 lipca 1989 r. hasło skierowane do obozu władzy z PZPR: „Wasz prezydent, nasz premier”, powszechnie sądzono, że ma na myśli prezydenturę dla Wojciecha Jaruzelskiego i premierostwo dla Bronisława Geremka. Miało to być

ukoronowanie „sojuszu mądrych”, czyli lewej części obozu Solidarności z reformatorską elitą SLD, na czele z Aleksandrem Kwaśniewskim. Jarosław Kaczyński wspomina, że Michnik planował wtedy dla Kwaśniewskiego stanowisko ministra stanu, czyli kogoś w rodzaju pierwszego wicepremiera.

Ten plan się nie ziścił. Kandydatura Geremka upadła. Dlaczego? Po pierwsze, „sojusz mądrych” zablokowali bracia Kaczyńscy, którzy namówili Wałęsę, by „S” stworzyła koalicję nie z PZPR, tylko z ZSL i SD. Następnie Kaczyńscy wynegocjowali taki układ za górką cenę resortów siłowych dla generałów – Czesława Kiszczaka i Floriana Siwickiego. I tak była to najniższa cena w tamtych realiach. Po drugie, Wałęsa sam wolał bardziej sterowalnego niż Geremek Mazowieckiego, choć czas pokazał, że było to złudzenie. I wreszcie kandydaturę Mazowieckiego poparł prymas Józef Glemp, który uważał go za człowieka zbliżonego do Kościoła, podobnie jak Jarosław Kaczyński.

Co z tego mieli Kaczyńscy? Niewiele. Mazowiecki zaczął swe rządy od zaproponowania Jarosławowi

Kaczyńskiemu paru mało znaczących posad. Jednak – o czym się zapomina – Geremkowi także nie zaproponował teki MSZ.

Kaczyńscy niewiele ugrali wtedy dla siebie, ale zapobiegli znacznie gorszej dla sił antykomunistycznych opcji wspomnianego już „sojuszu mądrych”. Wczesne powstanie zrębu jakiejś syntezy postpolitycznej lewicy laickiej z byłymi PZPR-owcami zablokowałoby zmiany w Polsce być może na lata. Rządy Mazowieckiego spowodowałyby zmiany, ale nie stworzyły już w 1989 r. silnego Centrolewu. Takiego jak postkomunistyczna partia Smer, która dziś rządzi na Słowacji. I dlatego wybór trzy dekady temu na premiera Mazowieckiego, a nie Geremka, wspominam dobrze. Niezależnie od tego, że rok później prawica z Wałęsą jako taranem wypchnęła obóz Mazowieckiego na polityczny aut. Ale to już – jak mawiał Rudyard Kipling – zupełnie inna historia. ©©

**O KULISACH TWORZENIA RZĄDU
TADEUSZA MAZOWIECKIEGO
CZYTAJ TAKŻE NA STR. 66**

NIESPOKOJNIE W HONGKONGU

Od tygodni w Hongkongu trwają demonstracje. Mieszkańcy sprzeciwili się prawu, które pozwalałoby na deportację do Chin kontynentalnych. Sparaliżowane jest m.in. lotnisko. Trwają regularne starcia z policją. Tymczasem Chińczycy w graniczącym z Hongkongiem mieście Shenzhen zgromadzili setki funkcjonariuszy policji oraz transportery opancerzone. Mundurowi mieli odbywać tam ćwiczenia. Prezydent USA ujawnił w sieci, że chiński rząd kieruje też w stronę granicy żołnierzy. (luz) ©©



FOT. REUTERS/FORUM



PARTNER
STRATEGICZNY
VII EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI

2019





RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Unieważnienie **wsteczne**

Opozycja, która sama siebie nazwała „totalną”, ma niewiarygodny talent do przegrzewania każdego tematu. Nawet jeśli PiS poda jej skuteczny bat na własny grzbiet, to opozycja ten bat zaraz upuści albo połamie. A to dlatego, że po czterech latach nieustannej maniakalno-depresyjnej szarpaniny (ktoś jeszcze pamięta głęboką wiarę liberalnych

się do tego bata ręce, że ledwie go dotknąwszy, po prostu traci z podniecenia rozum.

Zapowiadając tydzień temu, że sprawa lotów marszałka Kuchcińskiego nie wpłynie na sondaże, a tym bardziej na wynik wyborów, opierałem się także na oczekiwaniu, że anty-PiS będzie postępował jak zwykle. To znaczy tak jak wtedy, gdy spiętrzenie roczników szkolnych i niedoróbki oczekiwanej skądinąd reformy spowodowały autentyczne problemy i związane z nimi niepokoje sporej części wyborców. Opozycja, zamiast przekonać ich, że rozumie przyczyny problemów i umiałaby im zaradzić, podniosła wrzask, że tysiące dzieci nie mogą się dostać do wymarzonych szkół i masowo popełniają z tego powodu samobójstwa. Skończyło się jak zwykle: krótka informacja, że rekrutacja się generalnie powiodła i jeszcze zostały tysiące wolnych miejsc, i temat z dnia na dzień

przestał istnieć, zastąpiony kolejną histerią.

Rozochociona zwycięstwem, za jakie uznała zmuszenie do dymisji Marka Kuchcińskiego, opozycja z punktu rzuciła się z analogicznymi oskarżeniami na marszałka Senatu pod pretekstem, że za dobrze mieszka, a nawet, że za drogo je. I to już jest groteska. Brnąć w nią dalej, PO albo lewica zaraz ogłoszą, że przy Nowogrodzkiej w ubikacji wisi drogi, luksusowy papier toaletowy, a powinna być przecież pocięta gazeta (nawet wszyscy wiedzą którą).

Ma to ten skutek, że bezzasadność zarzutów stawianych marszałkowi Senatu niejako wstecznie uniewinnia też w oczach wyborców byłego marszałka Sejmu. Ostatecznie więc jedynym zyskiem opozycji ze sprawy lotów pozostaje oddanie MSWiA w ręce „Maria” Kamińskiego. Chyba nie jest to coś, co powinna uważać za swój sukces. ©©

PO albo lewica zaraz ogłoszą, że przy Nowogrodzkiej w ubikacji wisi drogi, luksusowy papier toaletowy

salonów, że rządy PiS skończą się już za kilka miesięcy „milionami na ulicach”, przyspieszonymi wyborami i zmiążdżeniem PiS w głosowaniu oburzonego „zabieraniem mu wolności” społeczeństwa?) opozycji tak strasznie trzęsą



WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Homozomo

Prorok, po prostu prorok. Słynne już słowa metropolity krakowskiego abp. Marka Jędraszewskiego diagnozującego – nie ludzi, ale ideologię – LGBT jako tęczęową zarazę: „nie marksistowską, bolszewicką, ale zrodzoną z tego samego ducha”, wywołały wycie środowisk lewicowych.

Nie trzeba było czekać nawet tygodnia, by przekonać się, jak trafne było porównanie, którego użył hierarcha. Środowiska wyznawców ideologii LGBT, wsparte siłami liberalnej lewicy, rozpoczęły przeciw niemu kampanię w stylu jakże bliskim dawnym marksistom i bolsze-

wikom, w którym nie ma miejsca na wolność słowa, a każdy, kto nie chce maszerować pod wspólnym sztandarem – onegdaj czerwonym, dziś tęczęwym – staje się wrogiem. Medialnie wykreowani „intelektualiści” gromili abp. Jędraszewskiego – w stylu przypominającym listy „intelektualistów” zaszczuwających niewygodnego dla władz PRL bp. Czesława Kaczmarka – a postkomunistyczna „Polityka” w podobnym duchu ostrzegała krakowskiego metropolitę: „Nie rozumie, że słowa nie są bezkarne”.

Wreszcie, podczas wyborów „Mister Geja 2019” w poznańskim klubie Punto (bywać nie warto),

aktywista/aktywistka ideologii LGBT drag queen Mariolkaa Rebelle zasymulowała zabójstwo abp. Jędraszewskiego, udając, że podrzyna kapłanowi gardło. Ot, tak jak Sowieci mordujący nie tylko w 1920 r. polskich księży. Artystyczny pokaz w duchu tolerancji. Bolszewickiej.

Najsmutniejsze w tym jest to, że sami stworzyliśmy dzisiejsze homozomo. W imię polskiej tolerancji wstrzemięźliwie reagując na ekscesy bojowników tęczęwej zarazy, milcząc, gdy w imię „poprawności politycznej” zamykano usta politykom, nauczycielom, publicystom, kapłanom. Gdy diabłu, także tęczęwemu, da się palec... ©©



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Polska język, trudna język

Najwyższy czas to wyznać: od dziecka jestem fanatycznym kibicem. Wydarzenia sportowe to dla mnie używka, bez której trudno mi żyć. W rodzinie nikt na to nie chorował. Dzięki polskim dekoderom od lat śledzę w Rzymie w tv występy naszych sportowców i sportsmenek. Zazwyczaj opiekę duchową zapewniają mi towarzyszący w spożywaniu sportowych delikcji polscy księża kibice pracujący w Watykanie, w tym

sportowych żurnalistów piszących stał się nagle strumień świadomości. Chwilę potem natrafiłem na wyraźne ślady prozy i poezji lingwistycznej. Zdiagnozowałem też radykalne zerwanie z tradycyjnymi związkami frazeologicznymi. Rozmarzyłem się nad stwierdzeniem, że polskie kluby futbolowe „spadają coraz bardziej”. Zapachniało „Chatką Puchatka” („Im bardziej Puchatek zagłądał do środka, tym bardziej Prosiaczka tam nie było”), co jednak nie zmienia faktu, że spada się niżej, a nie bardziej. A wreszcie, niewiele z podanych w tej formie opisów rozumiejąc, zacząłem się emocjonować morderczą walką, którą Autorzy toczą o uzgodnienie orzeczenia z dopełnieniem, a generalnie z „trudną polską język”.

Żarty na bok. Zdaniom typu „jechał na koniu, kręcąc ogonem” towarzyszy jakiś napuszony, koszmarny, często knajacki język. Roi się od „czempionatów globu” i „światowych hegemonów”. Japonia nie może być Japonią. Musi być „Krajem Kwitnącej Wiśni”. Na tej samej zasadzie Brazylia jest „Krajem kawy”. A co powiecie na zdanko: „Gdyby ktoś przewidywał, jak skończy się to spotkanie, nie mógłby zwizualizować sobie podobnego scenariusza”?

ONECIE! Miej litość! Zatrudnij polonistę, zorganizuj kurs polskiego, zrób coś! ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

*Nasza gazetka sierpem i młotem
pisana*



– że się pochwałę – jeden bardzo znany teolog.

Jednak w pierwszej połowie sierpnia wyjechałem na urlop na wyspę Ponza i przyszło mi czerpać informacje o wyczynach naszych sportowców z największego polskiego portalu informacyjnego, przywołanego na ekranik smartfona. Doznałem szoku. W pierwszej chwili pomyślałem, że ulubionym środkiem wyrazu naszych



MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Podwójne standardy

Kościół, pedofilia i historia – tymi trzema, jakże wakacyjnymi, tematami zamierzam państwa zainteresować w drugiej połowie sierpnia. Przynajmniej kilka tweetów zasługuje bowiem, aby zachować je dla potomności. Jako przestrożę. „Droży koledzy, dlaczego pedofilia w show-biznesie nie jest dla Was tematem wartym choćby tweeta, a w przypadku Kościoła grzejecie kilka dni?” – zaczął od celnego pytania Bartłomiej Graczak. „Dziwne. Przejrzałem konta wszystkich dziennikarzy, którzy przed 26 maja co chwila grzali temat pedofilii, podawali mi, ile milionów odsłon ma już film Sekielskiego, a o pedofilii w show-biznesie nie piszą ani słowa. Nawet pół oburzonka” – kontynuował niejaki „Skalpel”.

Z odpowiedzią pospieszył sam „Dziennikarz Roku 2017”. „Jeśli okaże się, że w show-biznesie funkcjonował system ukrywania przestępstw, przestępców co najwyżej przenoszono do innego programu, a przy tym dużo prawiono o moralności i nauczano innych, jak żyć, będę pisał wyłącznie o pedofilii w show-biznesie” – objaśnił Konrad Piasecki. Czyli mają państwo już jasność, że nieważne co i komu, ale kto.

Teraz chwila na kącik historyka-amatora.

„W sprawie wojny z bolszewicką Rosją w 1920 r. to tylko chciałem nieśmiało przypomnieć, że to Polacy napadali na Rosję, a nie odwrotnie. Mieliśmy niezbyt mądry obyczaj rajdów na wschód, a potem się oburzaliśmy, że zabory, że inwazje. Trza w domu siedzieć” – napisał prof. Jan Hartman. „Ja tylko dodam, że gdyby Armia Czerwona doszła wtedy do Berlina, to nie byłoby Hitlera i innych prawicowych dyktatur w Europie i nie byłoby Holokaustu, gdyby Stalin zajął Berlin i Warszawę w 1920 roku. Tak więc nie wiem, co tu świętować” – stwierdził Maciej Kieliszczak.

A ja, zamiast komentarza, zacytuję kolegę z redakcji, Sławomira Cenckiewicza. „Apeluję do wszystkich mediów – w tym internetowych – o porozumienie ponad podziałami, by bojkotować, nie zapraszać i nie cytować Jana Hartmana po tym, co napisał dziś o agresji sowieckiej na Polskę i wojnie 1920 r. Proszę Was, zróbcie to ze względu na ofiarę życia obrońców ojczyzny”. Do widzenia, Panie Janie. ©©

POLICZKI A NADWAGA

Znana restauratorka Magda Gessler postanowiła raz na zawsze uciąć plotki dotyczące swojej urody. A dokładniej – jej poprawiania. Mówi, że zarzucanie jej korzystania z medycyny estetycznej bardzo ją irytuje. Tłumaczy, że sekretem jej gładkiej twarzy są kilogramy. – Mnie to strasznie wkurza, bo nigdy w życiu sobie na twarzy nic nie robiłam. Miałam paraliż nerwu trójdzielnego, przez co czasami ta twarz po prostu wygląda nieregularnie – tłumaczy w wywiadzie dla portalu Newseria. – Mam piękne policzki, dlatego że mam trochę za dużo kilogramów. Ale to nie wynika z tego, że sobie coś robiłam. Robią sobie te panie, które są za chude i muszą sobie coś zrobić, żeby nie być poważne na twarzy. No, albo d...a, albo twarz, zawsze to mówię, ja wybrałam twarz – dodaje. Wolimy jednak, gdy pani Magda mówi o policzkach wołowych niż własnych. Wtedy jest bardziej wiarygodna.

ARGUMENT OSTATECZNY

Przy okazji swojej irytacji dotyczącej plotek na temat poprawiania urody Magda Gessler dorzuciła jeszcze jeden koronny argument na to, że w żaden sposób swojej urody nie poprawiała. Stwierdziła, że nawet gdyby chciała, nie miałaby na to czasu! – Ja po prostu na nic nie mam czasu. Latam ze spotkania na spotkanie, masaż jeden na tydzień to już jest wielki luksus. Nie mam w ogóle czasu na SPA, bardzo to przykre, ale prawdziwe – wyznaje. Argument o braku czasu prawie nas przekonał. A potem doczytaliśmy, że obecny mąż pani Gessler jest chirurgiem. Medycyny estetycznej.

CZY MOŻE BYĆ COŚ GORSZEGO?

Jedna z siostr Godlewskich (jeśli ktoś nie wie, kim są siostry Godlewskie, to niech go ręką boską broni przed googlowaniem, bo pewnych rzeczy nie da się już odczłapać; żeby nie było, że nie ostrzegaliśmy!) poinformowała na swoim Instagramie, że będzie śpiewać z okazji brexitu. „Strasznie się cieszę! Właśnie dzwonił Donald Tusk i zaprasza mnie na imprezę pożegnalną dla Wielkiej

Brytanii (związaną z ich wyjściem z UE), tak zwaną brexitówkę. Mam zaśpiewać »God Save the Queen«!” – pochwaliła się Małgorzata. Dla niezorientowanych – bez obaw, to tylko fantazje panny Godlewskiej. Nawet Tusk nie jest aż tak okrutny!

APOSTAZJA I MASTURBACJA

Piosenkarka Margaret w wywiadzie dla „Playboya” opowiedziała o swoich wątpliwościach dotyczących wiary i Kościoła. Wyznała też, że coraz częściej myśli o apostazji. A wszystko dlatego, że Kościół zabrania masturbacji.

– Mam takie wspomnienie z okresu nastoletniego, gdy jeszcze regularnie byłam przymuszana do chodzenia do kościoła i co tydzień

spowiadałam się z masturbacji.

LOL. Of course I did. Z perspektywy czasu przeraża mnie, jak bardzo poznawanie własnego ciała było i jest stygmatyzowane – wyznała Margaret.

– Dlatego planuję w najbliższym czasie dokonać apostazji – dodała. Apostazja. Z powodu

masturbacji. Ogłoszona w „Playboyu”. Wstrząsające! Przynajmniej dla nas, bo nie możemy przestać trząść się ze śmiechu.



FOT. FORUM

CZYSTY ODLOT

Ale, ale... To jeszcze nie koniec mądrości Margaret z „Playboya”! W dalszej części wywiadu piosenkarka tłumaczy, jak mężczy ją wywierana rzekomo na kobiety presja, by posiadać potomstwo. – W Polsce dalej wymaga się od kobiet, aby rodziły dzieci. A ja nie wiem. Wydaje mi się, że byłabym złą matką – mówi. – Tworzenie sztuki sprawia, że przez długi czas trochę unosisz się nad ziemią. Lubię ten stan. Trochę jakbym była w ciąży. Dla dziecka jednak trzeba umieć się uziemić. Nie wiem, czy ja to potrafię. Teraz nie jestem w stanie oddać całej swojej uwagi dziecku, po prostu nie chcę. Mam tyle planów, marzeń – wyznała. Zaraz, zaraz, ona to swoje wesołe plumkanie nazywa sztuką? To już nie unoszenie się nad ziemią, to czysty odlot! ©©

FOT. PAMEŁ GROMADA

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, bardzo nie podoba nam się, kiedy młodzież jest wykorzystywana do walki światopoglądowej. Jednak lata wychowania w duchu patriarchalno-patriotycznym oraz podatność na indoktrynację ze strony Kościoła katolickiego sprawiają, że przed kamery wychodzą takie osoby jak 15-letni Jakub, które manifestują swoje staroświeckie poglądy i w ogóle beka z niego, bo dzieciak xD

A przecież w wieku nastu lat można oddawać się o wiele bardziej odpowiedzialnym zajęciom, np. prowadzić protest przeciwko zmianom klimatycznym pod Sejmem albo pozywać szkołę za nieneutralność światopoglądową w postaci krzyża na ścianie.

Mimo wszystko mamy nadzieję, iż Jakub jeszcze dorośnie do odpowiednich poglądów. Wówczas jego manifestacjom będziemy przyglądać się z zainteresowaniem

i życzliwością. Jednak na razie w świat poszedł komunikat, iż młodzi ludzie w Polsce chcą zatrzymać LGBTQWERTY, co nie jest niestety dobrym PR-em dla tego kraju :/

Pamiętacie może, jak pisaliśmy jakiś czas temu, iż ten kraj jest światowym potentatem w produkcji malin?

Otóż okazuje się, iż idziemy coraz mocniej w agraryzm. Bo to już nie tylko Paweł Kukiz postanowił kandydować z list PSL czy Janusz Piechociński rządzi na polskim Twitterku. Ten kraj został też potęgą w dziedzinie eksportu borówki, i to amerykańskiej.

No cóż, jedni są potęgą w zakresie produkcji nowoczesnych technologii, inni eksportują nowoczesne idee, a ten kraj zajmuje się głównie owocami i warzywami.

Ciekawe tylko, czy borówka amerykańska ma coś wspólnego z polskim amerykanofilstwem

i NATO. Pewnie jak przyjdzie po nas pan Putin, to polska armia obrzuci go malinami i borówkami, bo na co innego można liczyć :/

Jedna z hollywoodzkich aktorek publicznie przeprosiła za to, iż urodziła się biała. Jej zdaniem kolor jej skóry sprawił, iż znajdowała się w uprzywilejowanej pozycji, i to ją zniesmacza.

Dobrze rozumiemy to podejście. My też codziennie myślimy sobie o tych wszystkich niezręcznościach, które powoduje fakt, iż jesteśmy białymi, heteronormatywnymi osobnikami fallusododatnimi. I oczywiście odczuwamy z tego powodu głęboki żal i ból. Białych, uprzywilejowanych heteronormatywnych mężczyzn nic nie broni i nie tłumaczy. ©©



FASHYISM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
FB.COM/MWIZWO

REKLAMA

GRAMMY AWARD NOMINEE

Celtic Woman Ancient Land

KONCERTY

4 LISTOPADA 2019 - SALA ZIEMI POZNAŃ CONGRESS CENTER
6 LISTOPADA 2019 - DOM MUZYKI I TAŃCA ZABRZE

BILETY: PRESTIGEMJM.COM

celticwoman.com

ALBUM JUŻ W SPRZEDAŻY

Prestige
MJM

wprost

DO
RZECZY

WP

VIXON
RADIO

PRESS
SERVICE
monitoring media

pap

o!o!o!o!o!

Zanim przejdziemy do spraw wagi państwowej, najpierw trochę o sprawach nieładnych. Prosimy działaczy SLD i Razem o potraktowanie tej notki jako oficjalnego zapytania. Do tego samego zachęcamy kolegów dziennikarzy, którzy zwykle podiwaniają newsy z naszej rubryki bez podania źródła.

Oto rzeczona sprawa: „Tajny załącznik do uchwały P-RK-2019-08-03-02”. To nagłówek. A wewnątrz m.in. fragment, w którym SLD zobowiązuje się do „finansowania wskazanej przez Razem organizacji pozarządowej, na poziomie 20 proc. uzyskanej subwencji, w oparciu o czteroletnią umowę, z sankcjami prawnymi uniemożliwiającymi jej rozwiązanie przed terminem”. Takim dokumentem dysponujemy, a wspomniany punkt nie jest oczywiście jedyny. Jedyny jednak, który powinien zainteresować Państwową Komisję Wyborczą.

Uwaga, ladies and gentlemen! Z tym Powidzem to prawda. Co więcej, prezydent Donald Trump nie tylko odwiedzi tam polskich i amerykańskich żołnierzy, lecz także właśnie tam wygłosi zapowiadane Bardzo Ważne Przemówienie. Lubimy przemówienia Dobrego Donalda z Waszyngtonu. Nigdy się nie nudzimy.

Dzień przed Donaldem przyleci do Polski na ważne rozmowy John Bolton, doradca Dobrego Donalda ds. bezpieczeństwa narodowego. To człowiek, którego panicznie boi się „Wyborcza”, ciągle wyzywająca go od jastrzębi i wyliczająca, ile razy pojawia się w Fox News jako komentator. Lubimy ludzi, którzy

**Z tym Powidzem to prawda.
Trump nie tylko odwiedzi
polskich żołnierzy,
lecz także wygłosi tam Bardzo
Ważne Przemówienie**

**dwaj
panowie** **g**



FOT. ROBERT GAROŃSKI



wywołują w „Wyborczej” amok. Przeciwnościom też w sumie niczego nie mamy.

Katowice to okręg wyborczy premiera Morawieckiego, więc defilada rocznicowa okrutnie zmartwiła Grzegorza Króla Skorpiona Schetyne, który twierdzi, że był to wyborczy cyrk. Przypominamy, że Warszawa to okręg wyborczy Jarosława Kaczyńskiego, więc Grzegorz powinien być szczęśliwy, iż żołnierze nie maszerowali na chwałę jego głównego przeciwnika. Głównego? Pardon, chcieliśmy powiedzieć: „przeciwnika, do którego Grzegorz próbuje dorastać”.

Ápropos defilady, najciekawiej było nocą kilka dni wcześniej, podczas próby generalnej. Planowana trasa przejazdu była bowiem węższa od pokonywanej na poprzednich defiladach Wistostrady w Warszawie. Trasy co prawda nie zmieniono, ale szyk trochę trzeba było zmienić.

Oczywiście piętnujemy fakt posiadania przez Katowice węższej trasy niż Warszawa. To z pewnością przejaw polskich prześladowań dzielnego narodu śląskiego, ze szczególnym prześladowaniem Szczepana Twardocha. Swoją drogą, gdyby tak zmienić nazwę czołgu PT-91 Twardy na PT-91 Twardoch? Ależby się wściekł śląski Szczepan! Nazwa bowiem zupełnie nie pasuje. Twardy w miarę poddawania go modernizacji zyskiwał na polskości. Twardoch odwrotnie.



Dawna nazwa PJN (Polska Jest Najważniejsza) ma teraz nowe rozwinięcie. Przytomność Jest Najważniejsza. W życiu codziennym i politycznym dobrze jest zachowywać przytomność, wtedy człowiek nie budzi się na kacu z twarzą w bajorku albo misce z sałatką warzywną. Apelujemy do działaczy starego PJN, by oprzytomnieli, gdyż inaczej staną się symbolami nowego rozwinięcia skrótu PJN, budząc się z twarzą w bajorku oraz sałatce Grzegorza Króla Skorpiona Schetyny.

Do końca roku jeszcze kilka miesięcy, ale już rozstrzygnęliśmy konkurs na dowcip roku. Otóż Grzegorz Król Skorpion Schetyna obiecał Pawłowi Kowalowi i Pawłowi Poncyłjuszowi, że będą budować prawe skrzydło Platformy Obywatelskiej. Stąd ich obecność na listach PeŁo. Koniec dowcipu. Nie słychać śmiechu? No tak, to w sumie bardziej tragiczne...



Grzegorz Król Skorpion Schetyna obiecał Pawłowi Kowalowi i Pawłowi Poncyłjuszowi, że będą budować prawe skrzydło Platformy Obywatelskiej

Kiedy tylko ogłoszono wieść o tym, że Poncył kandyduje z list PeŁo, rozdzwonił się jego telefon. Dawni koledzy z PiS chcieli się dowiedzieć, co mu do łba strzeliło. A Poncył nawet odbierał. W tradycyjnym sierpniowym miejscu, to znaczy idąc w pielgrzymce. Pozdrawiamy pielgrzymów, wiemy, że dyskusje z Poncyłem po jego coming outcie były w drodze wyjątkowo ożywione. A co? Myśleliście, że nasze wiewiórki nie chodzą na pielgrzymki? Ateistycznym wiewiórkom mówimy zdecydowanie „nie!”.

Zasiłki dla rodzin, które mają dzieci, szczególnie wielodzietnych, zmniejszenie biurokracji, podniesienie kwoty wolnej od podatku dla najbiedniejszych, likwidacja gimnazjów, cofnięcie wysyłania sześciolatków do szkół. Tak sobie czytamy stary program PJN. I wychodzi nam, że został zrealizowany. Przez PiS. Nic dziwnego, że sfrustrowani PJN-owcy z rozpaczą idą do Platformy. Ta przynajmniej niczego im nie zrealizuje, więc coś tam w garści zostanie. Z programu, znaczy.

Dość o Poncyłu, czas na dwa słowa o Pawle Kowale, który już wcześniej został ogłoszony krakowską jedynką PeŁo. Bardzo zdenerwowani są na niego zieloni bracia, gdyż Kowal wcześniej negocjował miejsce na listach z Peezelem. I nawet wynegocjował. Potem jednak przestał odbierać telefony od Władka

Kosiniaka, a zaczął od Grześka Skorpion. Wiecie, jak to jest z tymi chłopskimi korzeniami. Obumierają równie szybko jak wyrastają.

Wracając do dymisji marszałka Sejmu Marka Kuchcińskiego. Im dalej od tego zdarzenia, tym śmiejemy wiewiórki ujawniają smaczne szczegóły. Marszałek wiedział, że nabroił, ale nie powiedział wszystkiego Kaczorowi Dyktatorowi, bo się bał. Gdyż jego ludzie zamawiając loty, omijali kancelarię premiera i liczby się w związku z tym nie zgadzały. Z afereczki zrobiła się afera, no i kłops – dymisja.

A teraz puenta. Sprawa lotów była znana. Wcześniej. Na Nowogrodzkiej. Dlatego z początku reakcje były spokojne. Martwiono się nie tym, że afera, ale tym, że akurat teraz, bo przewidywano ją i tak do odpalenia w innym terminie (w ramach rozbrajania ładunków przed wyborami). Niestety oszczędne gospodarowanie prawdą przez Kuchcińskiego (patrz poprzednia notka) pokrzyżowało te plany.

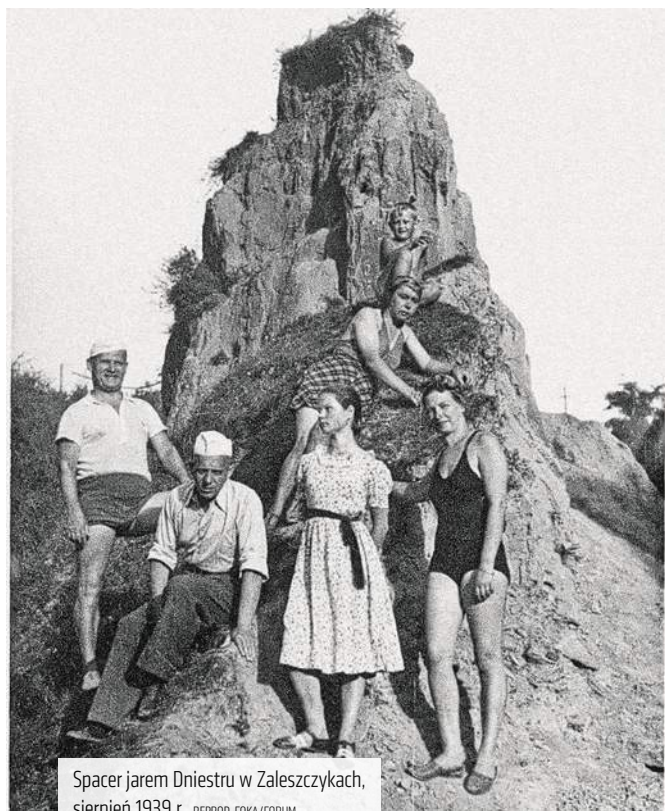
Bartłomiej Sienkiewicz, znany też jako polski odpowiednik Barta Simpsona, niegdyś minister policmajster u Tuska, obsobaczył w internetach dziennikarza Rafała Wosia za słowa, które wypowiedział minister Michał Woś. Incydent ten doskonale oddaje charakter działań MSWiA w czasach, gdy kierował nim Bart. Z tą różnicą, że Wosiów pomylił przez przypadek, a służbowe wpadki to raczej były planowane. Pamiętacie płonącą budkę pod rosyjską ambasadą?

Mariusz Max Kolonko, który jeszcze cztery lata temu był przekonany, że weźmie TVP, pogniwał się na dobrą zmianę i postanowił wystartować w wyborach z nową formacją polityczną o nazwie... No i tu mamy problem, bo od razu zapomnieliśmy jej nazwy. Wiemy tylko, że zaczął handlować w Internecie kosztulkami z logo nowej formacji po 69 zł sztuka. Podpisów nie zbierze, ale może zarobi. Chodzą słuchy, że chce się zmierzyć z Andrzejem Sebastianem w wyborach prezydenckich. Cóż, każdy czegoś pragnie. ©©

Jutro nadejdą Niemcy



Ostatnie wakacje przed II wojną światową na warszawskiej plaży nad Wisłą. FOT. ARCHIWUM ZAJDLER/EAST NEWS



Spacer jarem Dniestru w Zaleszczykach, sierpień 1939 r. REPROD. FOKA/FORUM



Lato na Helu, 1939 r. FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA



Plaża w Gdyni w 1939 r.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA



Deptak Naftusia w Truskawcu, 1939 r.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA



Nauczyciele ze szkoły w Kobylniku na wczasach w Krynicy Górskiej latem 1939 r. FOT. ARCH. RODZ. LESZKA KASPRZAKA/FORUM



Krzysztof Masłoń

Letnicy w Juracie, w Gdyni, na Huculszczynie. A jednocześnie przygotowania do wojny, w którą wciąż wielu nie wierzyło

5 czerwca po południu Maria Dąbrowska wybrała się do kina Napoleon przy placu Trzech Krzyży na film „Francja czuwa”. „Wstrząsnął mną – odnotowała – obraz tego, co mają Francuzi na swoją obronę. My przecież nie mamy z tego nic, ani takich linii obronnych, ani takich samolotów, ani takich tanków. Nasza »broń pancerna«, nasze tankietki, oglądane na rewiach, toć to dziecinne śmieszne zabawki. Jak my się obronimy?”

Jeszcze w tym samym miesiącu pisarka pojechała na Śląsk Cieszyński, do Jaworza, gdzie bywała na kuracjach w zakładzie wodoleczniczym i czuła się jak w domu, „fantastycznie też spędzamy czas, cały dzień bez ubrania na leżakowaniu albo na pracy w ogrodzie. Zdawało mi się, że mi to świetnie robi, że odradzam się wprost fizycznie (wyglądam też świetnie i tak młodo, że sama głupieję na mój widok)”. 17 lipca wybrała się na Zaolzie: „Z Jabłonkowa pojechaliśmy zobaczyć dolinę rzeki Łomny i nadleśnictwo Łomnę, gdzie na wysokim stoku jest leśniczówka ofiarowana generałowi Bortnowskiemu (który obejmował Zaolzie). Stamtąd jechaliśmy, zjadłszy obiad w Cieszynie, na Trzynieć do Karwiny i do Bogumina. Wszędzie uderza ciekawe powiązanie przeuroczego krajobrazu z wysokiej klasy uprzemysłowieniem. Ludność wszędzie oczywiście polska, lecz nie wydaje się zbyt szczęśliwa ze zmiany państwa”. Kilka dni później do Jaworza zjechała z Wiednia Maria Stavro, „opowiada – czytamy u Dąbrowskiej – że hitlerowscy oficerowie austriaccy mówią: »Wojna wisi na włosku, a opanowanie całkowite Polski, całą kampanię w Polsce liczymy na dwa tygodnie czasu«. Mówi, że jest przerażona losem czekającym Polskę”. Autorka „Nocy i dni” dopisała w tym miejscu „Dzienników” ołówkiem na marginesie: „Miała rację”.

SWASTYKI, SWASTYKI, SWASTYKI

Tych, którzy nie mieli złudzeń odnośnie do wyniku zbrojnego starcia

z Niemcami, nie było wcale wielu. Na pewno – pisał Melchior Wańkowicz – „trudno się było łudzić załodze Westerplatte, jak łudziła się reszta Polski, która pod koniec sierpnia zalała pobrzeże wyfularowanymi letniczkami i panami w białych flanelowych spodniach. Jeszcze w maju, po mowie Becka, odwiedził załogę pułkownik dyplomowany Hoszowski, dowódca obrony lądowej Wybrzeża.

»Nie jesteście sami – powiedział do całej zebranej załogi – macie krótko wytrzymać, sześć dywizji przyjdzie wam na pomoc«. Nie przyszła ani jedna, nikt nie przyszedł!.

W Gdańsku wojną pachniało już na każdym kroku. „Konie zostały zmobilizowane, żywność zracjonowana, strach blady padł na przynębionych gdańszczan, haszysz upojenia na hitlerowską młodzież, na aroganckich przybyszów z Reichu – to wówczas już począł się cieszyć ludność polskiej, który niebawem przemienić się miał w piekło” – czytamy u Wańkowicza. „Jeszcze co który z Polaków jedzie do Gdyni. Aby zaczerpnąć powietrza w płuca, aby raz jeszcze pożyć tym wolnym, niepodległym życiem, zobaczyć maszerujące wojska i wysoko łopoczące na niebie białe-czerwone chorągwie”. Jednak i w tym krajobrazie, „mimo asfaltów, piastowskim, miodnym, pszczelnym, polnym i zacisznym – teraz raz po raz drogę gromadziły druty, barykady z wozów, broń pancerna, gniazda karabinów maszynowych”.

Już w końcu maja Józef Mackiewicz donosił z Gdańska: „– Pass kontrolle! – Zoll kontrolle! – Bagnet i rewolwer na brzuchu Schutzmann, szare mundury i czako z bączkiem, zielone mundury celników. Wewnątrz dworca, który mieni się być pod zarządem Polskich Kolei Państwowych, w kioskach »Ruchu« nie dostaniesz ani jednej gazety polskiej. One są konfiskowane ryczałtem. Nikt tam ich tekstów nie przegląda. Wszystkie absolutnie są konfiskowane, bo gazet polskich w Gdańsku być nie może i basta! Za to rozpierają się gazety niemieckie. I »Volksischer Beobachter« z trzeciego Reichu, urzędowe gdańskie »Danziger Neueste Nachrichten« i przede wszystkim »Danziger Vorposten«, który w podtytuł wola na całe gardło: »Zurück zum Reich«.

»Zurück zum Reich« wisi na każdym kroku gdańskiej ulicy, na rogach, w witrynach, słupach ogłoszeniowych. – Na zmianę: »Das ist unser Führer«. To jest nasz wódz, pod każdym portretem Hitlera.

Na Langer Markt pod statua Neptuna grają trębacz. W brązowych mundurach z czarnymi krawatami, swastyki, swastyki, swastyki. Jakiś pan kroczy środkiem jezdni z naszywką na rękawie i wysoko wznosi tę rękę w hitlerowskim powitaniu.

Czym się różni właściwie Gdańsk od miast Rzeszy? Na oko trudno byłoby różnicę tę wskazać. Za to w Berlinie opowiadają następującą „anegdotkę”: „Do starego kupca berlińskiego, który się właśnie grzebie w swych towarach za ladą, wchodzi klient i mówi ode drzwi: »Heil Hitler«. – »Guten Tag« – odpowiada zaaferowany poszukiwaniem jakiejś drobnostki kupiec. – »Heil Hitler« – powtarza groźnie klient. – »Guten Tag, guten Tag« – przytakuje stary Niemiec. – »Heil Hitler!« – wrzeszczy po raz trzeci klient. – Kupiec się zorientował wreszcie, poprawił okulary i uśmiechnął się: »Aa, to pan pewnie jest gdańszczanin...«”.

Wyjeżdżający na wakacje nad polskie morze (mieliśmy wybrzeża 140 km) omijali, oczywiście, Gdańsk szerokim łukiem. Podobnie jak Sopot, choć wcześniej odnotowywano tam w sezonie 30 tys. turystów z Polski. No, ale mieliśmy Gdynię... Podobno Aleksander Żabczyński zgrabnie rymował: „Po co mi obce bogi, skoro Gdynię mam u nogi?”. To, że niebawem przemieni się w Gotenhafen (Port Gotów), nie pojawiała się nawet w najczarniejszych polskich snach.

NAPRAWDĘ IDZIE POŻAR

Kiedy w Warszawie do końca wierzyliśmy, że wojny nie będzie, na pograniczu śląskim sytuacja była jasna. „W dzień demonstracje tłumów, gromadzących się po niemieckiej stronie granicy, w nocy strzelaniny, puszczanie kul świetlnych, wojna...” – pisał Wańkowicz w reportażu „Dywersja niemiecka w Polsce” (wydanym w zbiorze „Westerplatte”). Jednak Polska długo wojskiem nie obsadzała granicy, „aby nie dać Niemcom powodów do oskarżeń. Jedynie do śląskiej policji przyjmuje się pięciuset kandydatów oraz trzystu policjantów przysyła policja państwowa. Na parę dni przed wybuchem wojny obie strony zatarasowują wszystkie drogi. Na tydzień przed 1 września już Niemcy nie pozwalają robotnikom z Polski wrócić na noc do domu”.

27 sierpnia 1939 r. w wierszu „Wstążka z »Warszawianki«” Kazimierz Wierzyński pomieścił profetyczną zapowiedź:

„Znowu będzie wojna”. Dwa dni później czytelnicy „Wiadomości Literackich” mogli przeczytać te słowa wydrukowane w specjalnej wkładce do pisma. Wraz z tą przepiękną, tragiczną przepowiednią:

**Powstaje dramat – żywy. Okopie kurhany
I żywi na kurhanach, na okopach stańcie.
Naprawdę dokonywa się świat rymowany,
Biją polskie zegary kurant po kurancie.
Naprawdę idzie pożar. Na ściany się wędruje
Gęstą łuną, co wszystko z tych murów
pościera
Oprócz krwi zapisanej na waszej katedrze:
Że tym się tylko żyje, za co się umiera.**

30 sierpnia do Marii Dąbrowskiej do Warszawy „przyjechał Boguś [Bogumił Szumski – przyp. red.]. Zmobilizowany, wyjeżdża do pułku do Białegostoku. Pogodny i spokojny. Z humorem uściślał mnie i Jadzię [Jadwigę Szumską – przyp. red.], którą u nas zastał, i odszedł, mówiąc: »No, moje panny siostry, trzymajcie się«. Prosił, żeby o ile możliwości zaopiekować się jego rodziną. Władze wojskowe bowiem nic a nic w kierunku zaopiekowania się rodzinami zmobilizowanych na front oficerów nie zrobiły. Nie doręczyły im nawet masek gazowych. A całe miasto ugania się za tymi maskami. Wszyscy mamy już uszczelniony jeden pokój na »komorę przeciwigazową«. St. [Stanisław Stempowski – przyp. red.] dostał w biurze wspaniałą prawdziwą maskę, my mamy tylko jakieś maseczki z jakimś tam węglem przeciwigazowym. Idę do Berbeckiego, który jest kendantem Ochrony Przeciwlotniczej czy czegoś takiego, i uzyskuję natychmiast widzenie (nie widziałam go od tamtej wojny i nie poznałam – tak się zmienił i wypiękniał), a potem maseczki dla żony i dzieci Bogusia, które Jadzia im zaraz odwozi do Rembertowa. A miasto takie śliczne, radosne, kipi od owoców, kwiatów, tłumów...”.

I ostatni zapis pisarki z czasu pokoju:
**Oblepamy okna paskami z papieru.
Podniecenie, zwariowany czas.**

PLEJADY JUŻ WIDAĆ

Nie wszystkich zmobilizowano. Stanisław Rembek, pisarz, kombatan roku 1920, swoją książeczkę stanu służby oficerskiej podtykał pod nos każdemu z wojskowych kierujących obroną Warszawy. Odganiał się od niego jak od zarazy. „Czyżby z obawy przed szpiegami? – zastanawiał się we »Wrześniu«.

– Ale czy szpieg, znalazłszy się w wojsku



Gauleiter Albert Forster przemawia pod Artushof (Dworem Artusa) w sierpniu 1939 r. FOT. NAC

pod ustawiczną kontrolą przełożonych i towarzyszy broni, nie staje się już tym samym unieszkodliwiony? [...] Od chwili ogłoszenia mobilizacji błąkałem się po rozmaitych pułkach, w których kiedykolwiek odbywałem ćwiczenia rezerwy, wysiadywałem długie godziny po stacjach w oczekiwaniu na połączenia kolejowe, wpychałem się do wielu zatłoczonych pociągów, potem codziennie pomimo nalotów odbywałem długą drogę do swojej Rejonowej Komendy Uzuppełnień w Grodzisku, żeby wykołatać dla siebie jakiś przydział. Na próżno.

Przypomniała mi się rozmowa w jakimś towarzystwie, w którym

uczestniczył pułkownik sztabu głównego. Mówiliśmy wtedy o niebezpieczeństwie wybuchu wojny z Niemcami. Pułkownik lekceważąco powiódł po nas wszystkich swoim uśmiechniętym wzrokiem.

– A wiecie państwo, ile Polska może zmobilizować?

– Bardzośmy ciekawi.

– Cztery miliony.

– Jeżeli tylko potrafi w ogóle przeprowadzić mobilizację? – wtrąciłem z goryczą.

Wyszukał mnie wśród biesiadników zimnymi reflektorami swoich oczu.

– A wie pan, że za takie słowa można trafić do Berezy?!

Jarosław Iwaszkiewicz 18 sierpnia 1939 r. daje upust swemu pesymizmowi: „Zagrzebany zupełnie wśród kamieni i rumowisk, które lada chwila mogą się stać rumowiskiem w dosłownym znaczeniu, cóż znaczy moja minimalna zresztą »kultura« w pierwotnym, barbarzyńskim społeczeństwie, które właściwie winno pielęgnować w sobie to barbarzyństwo, aby się ostać, aby budować jednocześnie siłę. Kultura, a zwłaszcza jej sądzenie, jest jakby ostatnim momentem przed wiednięciem. W naszym społeczeństwie tylko ja wędne – reszta jest jeszcze daleka od tego procesu – i dlatego jestem taki obcy wszystkim i taki właściwie niepotrzebny. Gdyby przyszła wojna – zginę ostatecznie, zmażą mnie z tablicy i po wszystkim”.

Jednak w „Marginaliach” Iwaszkiewicz opowiada o tym, jak nie tylko smucił się w te przedwrześniowe dni. Szkicując historię swej przyjaźni z Czesławem Miłoszem, wspomina: „Ostatnia niedziela przed wojną – Cześ w gronie najbliższych przyjaciół w Stawisku. Pożegnanie dwudziestolecia. Staś Baliński zagrał wszelkie przeboje dwudziestolecia, a Wanda Telakowska z Tonim Sobańskim odtanńczyli wszystkie modne tańce, poczynając od tanga à la Messalka i Redo. Cześ asystował przy tym jako zadatek przyszłych czasów”. Co jeszcze tańczono w Stawisku? Z pewnością najmodniejszego przed wojną lambeth-walka. Może też Baliński zagrał najnowszy przebój „Lim-pam-pom!”?

I jeszcze kilka Iwaszkiewiczowskich zapisów z dni ostatnich: 23 sierpnia – „...zdaje się jesteśmy w wigilię wojny. Może właśnie dlatego chce się myśleć i mówić o sobie, potem już nie będzie wolno. Chociaż w roku 1916 pisałem »Ucieczkę do Bagdadu« – teraz nie można będzie i nie chciałbym nawet zamykać się w wieży z kości słoniowej. Chociaż człowiek w wiecznej swojej samotności wewnętrznej zawsze jest zamknięty w wieży. Myśleć i zginąć na polu walki, czyż to nie wszystko jedno? Zawsze samotny i zawsze nic nierozumiejący człowiek”; 24 sierpnia – „Częściowa mobilizacja w Warszawie. Rano zabrano mi konie. Basia wróciła. Ralfa wzięli. Szkoda mi, urodził się i wychował na Stawisku, dobry był koń, a teraz poszedł na wojenną poniewierkę. Noc, w której ważą się losy Europy, a zarazem losy tyłu, tyłu ludzi spokojnych, pracowitych i bogobojnych, jest nad wszelki wyraz

■ piękna. Pół księżyc na niebie, niebo upstrzone w nieduże, jasne obłoki, jaki spokój, jak cudnie. Ciepło i dobrze, cicho. Plejady już widać, ma się ku jesieni. I to wszystko mąci myśl o rzeczach ponad nasz rozum, o prawie zbiorowości, które ponad nami pcha nas i rządzi nami, po co, dlaczego? Druga wojna peloponeska skończyła się wzięciem Aten”; 28 sierpnia – „Wittlinowa przywiozła nam dzisiaj Elżbietkę [Elżbietę Wittlin, córkę Józefa i Haliny Wittlinów – przyp. red.] na przechowanie. W Warszawie raczej strach, ale jednocześnie i kopanie rowów. Wittlinowa mówiła nam, że słyszała rozmowę dwóch pań, jak trzeba się ubierać »na kopanie«”.

KURACJUSZE „U WÓD”

No tak, moda... W „Wakacjach 1939” Anny Lisieckiej czytamy o tym, jak ubierano się wtedy w nadmorskiej Juracie: „Przed wszystkim [...] panował większy luz, nawet na wieczorne dancingi i sobotnie bale nie trzeba było wozić ze sobą długich sukien i fraków. Dla pań piżamowe luźne spodnie, które przy wysokich obcasach znakomicie wydłużały nogi, i bluzki bez pleców – wszystko w kolorach jasnych, najlepiej białych lub ecru. Dla panów podobne spodnie i koszule. To był juracki styl!”.

Pobyt w sławnym kurorcie kosztował słono. Wydatki można było ograniczyć, wybierając wypoczynek w innych stronach, tańszych, a przecież także modnych. Modna bywała nawet wieś, nie wszędzie jednak, ale na pewno na Huculszczyźnie. „Inteligencja lwowska, a i warszawska zaczęła jeździć na wakacje do małych podkarpackich miejscowości. Takie nazwy jak Worochta, Jaremcze, Kosów stały się znane i popularne, zaczęły konkurować z Zakopanem czy Krynica, a huculskie liżniki, czyli kilimy, świetnie pasowały do awangardowych, prostych mebli »Ładu«, w których zagustowały młode, postępowe małżeństwa zamieszkujące spółdzielcze nowoczesne osiedla, takie jak stołeczne WSM lub lwowskie bloki na Wzgórzach Wuleckich” – wspominał Janusz Majewski w „Małej maturze”.

W Kosowie Huculskim, porównywanym z niejaką przesadą do Davos, spędziła wakacje 1939 r. Elżbieta Barszczewska. Inni wybierali Pokucie, Kołomyję, coraz głośniej było też o Zaleszczykach, dziś kojarzących się jedynie z ewakuacją rządu i odejściem wojska do Rumunii po

17 września 1939 r., a jeszcze miesiąc wcześniej nazywanego polską Riwierą. Dojeżdżała tam kolejowa lukstorpada z Warszawy, a nawet z Gdyni odległej o, bagatela, 1314 km. Można było wtedy orzec, która plaża była piękniejsza, dajmy na to, nad Bałtykiem w Orłowie czy w Zaleszczykach nad Dniestrem.

Naturalnie, osoby publiczne, politycy, artyści i, jak byśmy dziś powiedzieli – celebryci, utrzymywali, że jadą „do wód”. Złośliwi komentowali, że jak się przez okrągły rok nie wychodzi z Adrii, to latem nie pozostaje nic innego jak picie wód mineralnych. A wieczorami sport: „brydżyk, panie radco, spod dużego palca...”. Bądźmy jednak sprawiedliwi, co bardziej sprawni i młodszy grali w tenisa. Wody zdrojowe pito wszak z nabożeństwem, w końcu ta Krynica, Ciechocinek czy Truskawiec swoje kosztowały, mniej lub więcej, w sumie jednak nie mało.

O właśnie, Truskawiec, gdzie po dziś dzień popija się, szczerze mówiąc, dość paskudną Naftusię. Pisarz Zygmunt Haupt wspominał: „W uzdrowisku zieleń, deptaki, letnicy, kuracjusze, sfery urzędnicze i Żydzi w szabasowych chałatach, parami, także się tu leczą”. W 1939 r. Naftusię piła tam Zofia Nałkowska. Przyjechała sama, mężczyźni dojeżdżali do niej, również Bruno Schulz – ze swego odległego zaledwie o 8 km Drohobycza. Skorzystał z okazji, by pokazać patronce swojego pisania, a także, jak wieść niesie, jednorazowej muzie – „Ulicę Krokodyli”.

ZAPACH CHLEBA

„Inna to niż zwyczajne okolice – pisał Haupt. – Z dolin widać tam barierę gór, od przełęczy Użockiej po Pantyrską. Stokami gór zbiegają lasy ku wodom Łomnicy, Czeczwy, Bystrzycy. Świecą pośród tych lasów białym drzewem wyszlizgane koryta »ryzarni«, których stromością spływają w dół pnie górskich jodeł. Słyszysz się cienki świst lokomotywy, kiedy pracownik po wąskim torze ciągnie długi ładunek drzewa do broszniowskich tartaków, gdzie zetrą je w niebotyczne usypiska złotych trocin. [...] Pośród pól i na stokach wzgórz stoją tam lasy czarnych wież wiertniczych, szybów naftowych, cystern, a po nocy buchają gejzery pary i świecą się konstelacje lamp elektrycznych Tustanowic, Daszawy, Statuni, Kałusza. Wyrzuca ta ziemia ze swego łona potwory i dziwadła, smoki, szkielety

i ciała dyluwialnych gadów, żeby dodać i pobudzić poetycką fantazję”.

Mój ojciec, Wacław Masłoń, spędził z kolegą wakacje na Polesiu, które przemierzili statkiem (tak, tak), samochodem (zdarzyło się raz), konną furą, a najczęściej pieszo. O wojnie nie chciał ze mną rozmawiać, za to do tego ostatniego wakacyjnego lipca w II RP wracał nieustannie.

Opowiadał o chłopach odzianych w samodziały i buty z tyka, o drewnianych chałupach z malowanymi okiennicami, krytych słomianą strzechą, o studniach z żurawiem i płotach z łoży. Nie zanotowałem tego, co mówił, ale po latach w tym, co we wstępie do swojego albumu „Polesie” napisał Krzysztof Hejke, odnalazłem tamte słowa: „Bywało, że dom witał zapachem chleba z mąki gryczanej i dzielił się prastarym przepisem na pranie koszul w popiele ugniatanym nogami. Poznałem tam receptę, jak pozbyć się kołtuna, oraz drogę do starej baby, co »zamawia i masuje«. Odkryłem genezę nazwy rzeki Prypec, która pochodzi od »trzy razy pięć« i oznacza liczbę dopływów trudnych do policzenia w dawnych czasach przez niewykształconą społeczność”.

Ojciec zdążył jeszcze w końcu lipca odwiedzić rodziców w Białymstoku i wrócił do Wilna, do pracy w kancelarii adwokackiej Józefa Zmitrowicza. 24 sierpnia otrzymał kartę mobilizacyjną. W pracy usłyszał, że to wszystko się pewnie po kościach rozejdzie. Gospodynię domu przy ul. Królewskiej, w którym wynajmował pokój, poprosił, by nie przyjmowała nowego lokatora do jego powrotu, na co usłyszał, by jednak spakował swoje rzeczy i schował je w piwnicy. Zgłosił się do 1. Pułku Piechoty Legionów w Wilnie, zostając dowódcą III plutonu 3. kompanii. Dla niego działania wojenne trwały dwa tygodnie. 14 września po rozbiciu pułku i okrażeniu pod Siedlcami dostał się, koło folwarku Ozarów, do niewoli niemieckiej. Kolejno przebywał w obozach przejściowych w Tannenbergu i Riesenburgu, a potem w oflagach w austriackim Wolfsbergu i dzisiejszym Dobiegniewie (Woldenbergu), gdzie m.in. zdawał brakujące mu do magisterium egzaminy prawnicze. 31 stycznia 1945 r., w trakcie ewakuacji obozu na zachód, wyzwołała go z niewoli Armia Czerwona. Po 22 dniach wędrówki wrócił do Białegostoku. Nie tyle do domu, bo w jego miejscu były już tylko ruiny, ile do rodziców. Wilna nie zobaczył już nigdy.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

SATYRYCZNY PROGRAM
Macieja Kożuszka



SPECJALIŚCI
OD
wszystkiego



PREMIERA

Piątek 21:00

**ZAKAZ
WSTĘPU!**

OGŁĄDAJ RÓWNIEŻ ON-LINE TELEWIZJAREPUBLIKA.PL



Z Witoldem Waszczykowskim,
pierwszym wiceprzewodniczącym
komisji spraw zagranicznych
Parlamentu Europejskiego
rozmawia Maciej Pieczyński

Kto dał nam więcej niż Amerykanie?

MACIEJ PIECZYŃSKI: Jakie cele stawia przed sobą wiceprzewodniczący komisji ds. zagranicznych Parlamentu Europejskiego Witold Waszczykowski?

WITOLD WASZCZYKOWSKI: Jako pierwszy zastępca, pod nieobecność przewodniczącego, przejmuję kierowanie komisją. Zajmować się będę głównie kwestiami związanymi z bezpieczeństwem UE, dążeniem do zmniejszania zagrożeń zewnętrznych dla Wspólnoty.

A jakie są obecnie największe zagrożenia dla UE? Rosja? Nielegalna imigracja?

Z pewnością poważnym zagrożeniem byłaby ewentualna eskalacja konfliktu ukraińsko-rosyjskiego. Skutkowałaby bowiem masową imigracją. Dostrzegamy oczywiście problemy Bliskiego Wschodu i Afryki. Będę na każdym kroku przypominać, że bezpieczeństwo Europy może być zagwarantowane wyłącznie w ścisłej współpracy z NATO. Kilku unijnych przywódców ma jakąś alergię ideologiczną na Trumpa. Amerykański prezydent wbrew faktom postrzegany jest jako polityk antynatowski. A przecież on tylko upomina niektóre państwa sojuszu, że powinny pokrywać więcej kosztów. My w Polsce to rozumiemy, możemy więc na forum unijnym mediować między starą Unią a Trumpem.

Dlaczego Beata Szydło dwukrotnie przegrała głosowanie na szefową komisji w PE?

Powodem były zarzuty natury ideologicznej. W poprzednich kadencjach w zasadzie nie było głosowań. Stanowiska odgórnie przydzielano konkretnym frakcjom. Tym razem tę zasadę złamano. Uformował się silny front ideologiczny, złożony z socjalistów, liberałów i zielonych, którego celem było niedopuszczenie do wyboru polityków konserwatywnych.

Dlaczego w takim razie Szydło nie dostała stanowiska, a pan dostał? Względem personalne? Przeciwnicy nie wybaczili premier Szydło wynoszenia unijnych flag z gabinetu czy przemówień na forum PE w obronie reformy sądownictwa?

Być może. Ja nie byłem na pierwszej linii frontu zmian dokonywanych w Polsce. Premier Szydło była ich personifikacją. Elity unijne atakują każdego, kto proponuje w swoim kraju koncepcje alternatywne dla tych lewicowo-liberalnych. PiS nie tylko przetrwał niemal 20 lat obrony przed indoktrynacją, lecz także – o zgrozo! – miał czelność zdobyć władzę i zreformować państwo! Twarzą tej konserwatywnej zmiany była właśnie premier Szydło. Teraz

FOT. PIOTR KAWONKA/REPORTER

przypomniała o sobie elitom lewicowo-liberalnym, uzyskując w wyborach do Parlamentu Europejskiego świetny, ponadpółmilionowy wynik – chyba najlepszy w UE. To rozwścieczyło eurokratów.

A może problemem jest wciąż słaba pozycja Polski w Unii?

Odrzucam takie twierdzenia. Mamy bardzo dobre relacje z Ursulą von der Leyen. Przecież nowa szefowa Komisji Europejskiej właśnie do Polski przyjechała ze swoją drugą wizytą zagraniczną.

To prawda. A jednak trudno jednoznacznie ocenić jej stosunek do polskiego rządu. Raz zapowiada walkę o praworządność, innym razem chwali za przyjmowanie imigrantów z Ukrainy... Najpierw obiecuje realizację lewicowej agendy, następnie jako jedna z pierwszych odwiedza stolicę kraju, w którym niepodzielnie rządzi prawica.

W czasie spotkania z grupą EKR pani von der Leyen przedstawiła mglisty, niezbyt konkretny program, który mógł być dla konserwatystów do przyjęcia. Natomiast już na forum całego Parlamentu Europejskiego wygłosiła płomienne przemówienie w duchu lewicowym, które mogło mrozić krew w żyłach prawicowców i centrystów. Mieliśmy jednak świadomość, że jest to retoryka obliczona na pozyskanie głosów socjalistów i zielonych. To się udało. Następnie jednak udzieliła paru wywiadów, w których stonowała tę lewicową retorykę. Mówiąc o potrzebie ochrony klimatu, zaznaczała jednocześnie, że trzeba uwzględniać sytuację państw, które – tak jak Polska – nie są jeszcze w stanie całkowicie przejść na ekologiczne sposoby pozyskiwania energii. Ponadto, jako niemiecki polityk, zdaje sobie sprawę z bliskich relacji gospodarczych z naszym krajem. Wreszcie, jako były minister obrony, ma świadomość zagrożenia ze strony Rosji, możliwe zatem, że będzie dbać o zacieśnianie współpracy z sojuszem północnoatlantyckim.

Wciąż nie jest jednak pewne, czy i jakie stanowiska komisarzy dla Polski uda się uzyskać. Negocjacje w tej sprawie, podjęte w czasie wizyty szefowej KE w Warszawie, przełomu nie przyniosły. Na początku sierpnia okazało się, że teka komisarza obrony nie trafi do Krzysztofa Szczerskiego. Wiadomo natomiast, że Ursuli von der Leyen bardzo zależy na parytetach. Lewicowe media pisały, że błędem było niezapropozowanie kobiety na stanowisko komisarza.

Nie było takiego oczekiwania ze strony Ursuli von der Leyen. Myśmy już mieli dwie kobiety na stanowisku komisarza – Danu-

tę Hübner i Elżbietę Bieńkowską. Ludzie dzielą się nie tylko na kobiety i mężczyzn, lecz także na kompetentnych i niekompetentnych. Co z tego, że Elżbieta Bieńkowska spełniała genderowe kryteria, skoro nie realizuje interesu państwa polskiego ani nie chce współpracować z polskim rządem?! Krzysztof Szczerski spełnia natomiast kryterium kompetencji. Poza tym Mateusz Morawiecki po spotkaniu z Ursulą von der Leyen jasno powiedział, że nas najbardziej interesują teki gospodarcze. A tych jest w całej komisji kilkanaście. Którąś z nich można dopasować do Szczerskiego. Tak czy inaczej decyzje zapadną we wrześniu.

To może jest pan gotów założyć się o to, który z polskich polityków jakie stanowisko dostanie?

Nie przyjmuję zakładu. Zbyt wiele jest zmiennych. Poza tym te teki nie są ukształtowane raz na zawsze i na stałe. Można również tworzyć nowe stanowiska, dopasowane do konkretnego kandydata.

W tym nowym składzie PE miał dojść do konserwatywnej kontrrewolucji. EKR, do których należy PiS, wyborów jednak nie wygrali. Dostało się paru wyrazistych eurosceptyków, bardzo dobre wyniki zanotowały partie Viktora Orbána i Jarosława Kaczyńskiego. Na ile mamy do czynienia z kontrrewolucją?

Wciąż nie możemy na to pytanie udzielić jednoznacznej odpowiedzi. Bardzo mocny jest wspomniany sojusz socjalistów, liberałów i zielonych. Nie dopuszczają pozostałych do kierowniczych stanowisk. Zobaczmy, co robi EPP. Kto wie, być może pod presją sytuacji politycznej porozumie się z EKR? Dla odpowiedzi na pytanie o stan konserwatywnej kontrrewolucji będzie ważne to, co się stanie w Wielką Brytanię. Boris Johnson zapowiada, że niezależnie od okoliczności do 31 października dojdzie do brexitu. Ja bym jednak nie był tego taki pewien. Johnson umie liczyć. Dlatego jeśli urzędnicy pokażą mu rachunek za bezumowny brexit, to albo przełożą termin, żeby wytargować lepsze warunki, albo lepiej przygotuje swój kraj do wyjścia z Unii. Możliwe więc, że brytyjscy konserwatyści jeszcze na wiele miesięcy pozostaną w Brukseli.

Przejdźmy do naszego najważniejszego sojusznika. Politycy PiS długo przekonywali, że tzw. ustawa 447 nie jest problemem w relacjach Warszawy z Waszyngtonem. Tymczasem 88 spośród 100 senatorów podpisało się pod listem, w którym żądają od sekretarza stanu USA, by ten wywarł nacisk na Polskę w sprawie restytucji mienia ofiar Holocaustu. Czy to oznacza, że w końcu, w tej czy

innej formie, będziemy musieli spłacić roszczenia dla dobra sojuszu z Amerykanami?

Wszelkie roszczenia wobec Amerykanów zostały uregulowane w 1960 r. Wszelkie inne roszczenia mogą być rozpatrzone na zasadach indywidualnych przez polskie sądy, po udokumentowaniu praw spadkowych niezależnie od narodowości. Organizacje żydowskie podnoszą problem tzw. mienia bezspadkowego. Czyli nieruchomości należących kiedyś do obywateli polskich pochodzenia żydowskiego, którzy zginęli w czasie wojny lub później i nie pozostawili następców do przejęcia tego mienia. Takie sytuacje są jednoznacznie regulowane przez prawo. Mienie bezspadkowe staje się własnością Skarbu Państwa.

Organizacje żydowskie nie godzą się z tą zasadą prawną. Uważają, że eksterminacja społeczności żydowskich w wielu państwach europejskich w czasie wojny umożliwiła państwom przejęcie pozostawionego mienia, ale nie był to proces naturalny, lecz spowodowany Holocaustem. Domagają się zatem, aby państwa podzieliły się tym majątkiem np. z organizacjami dbającymi o pamięć o Holocaustie. To m.in. zapisano w Deklaracji terezińskiej w 2009 r.

Nie zgadzamy się z takim podejściem. Uważamy, że od tysięcy lat na podstawie zasad prawa rzymskiego mienie bezspadkowe przechodzi na własność Skarbu Państwa. Nie można mienia bezspadkowego dzielić według narodowości. Nie byliśmy sprawcami Holocaustu. Nie powinniśmy być adresatami żądań odszkodowania za Holocaust. I wreszcie – to w Polsce, najmocniej poza Izraelem, pielęgnuje się pamięć o Holocaustie.

Trzeba też i wiele innych aspektów oraz kontekstów II wojny światowej cierpliwie tłumaczyć. Wymaga to starannej, przemyślanej i długofalowej polityki historycznej. Jak widać po liście senatorów, wymaga to usilnego lobbowania też w USA, docierania do Amerykanów z prawdą o wojnie różnymi środkami, w tym np. hollywoodzkimi produkcjami filmowymi pokazującymi ogrom tragedii spowodowanej działaniami Niemców w Polsce i Europie.

Donald Trump przyjedzie do Warszawy na uroczystości związane z 80. rocznicą wybuchu II wojny światowej. Nad Wisłą spędzić ma więcej czasu, niż wcześniej przewidywano. Mając w pamięci przemówienie wygłoszone na pl. Krasińskich, można założyć, że i tym razem powie wiele ciepłych słów pod adresem Polaków i polskiej historii. Co możemy zyskać na tej wizycie, nie licząc efektu

Wizerunkowego oraz kolejnego potwierdzenia, że nie jesteśmy izolowani w świecie?

A czy to jest mało?! Od przełomu lat 2015 i 2016 jest permanentny progres we wzajemnych relacjach. Coraz więcej amerykańskich żołnierzy broni polskiego terytorium, kupujemy najwyższej klasy sprzęt wojskowy – patrioty, himarsy, niebawem F-35. Jeszcze w czasie, gdy byłem ministrem spraw zagranicznych, rozpoczęliśmy poważne rozmowy o dostawach gazu na wiele lat. Czy to jest mało?! Kto dał nam więcej niż Amerykanie?! To ogromny skok w dziedzinie naszego bezpieczeństwa. Do NATO weszliśmy w 1999 r., ale po 2015 r. to NATO weszło do Polski! Głównie dzięki przychylności Amerykanów. Dopytywanie w stylu: „A co nam jeszcze mogą dać Amerykanie?” to malkontentstwo.

Donald Trump jest w Europie niezbyt lubiany...

A kto go niby nie lubi?! TVN i „Gazeta Wyborcza”?! Ja bym się tym na jego miejscu nie przejmował.

Za amerykańskim prezydentem nie przepadają elity przywódcze państw starej Unii. Trump, nie mogąc liczyć na wsparcie ze strony Niemiec czy Francji, szuka przyjaciół w Warszawie.

Polityka jest sztuką wykorzystywania możliwości i okazji w celu realizacji własnych interesów. Polski interes narodowy wymaga obecności wojsk amerykańskich w naszej części Europy. No to skorzystaliśmy z tej okazji i pogłębialiśmy przyjaźń z USA.

Czy jednak nasze relacje z Waszyngtonem nie są zbyt mocno uzależnione od osobistej sympatii Donalda Trumpa? Co, jeśli przegra wybory? Z demokratą polski rząd już tak dobrze raczej nie będzie się dogadywał.

Wcześniej chciał się pan zakładać. To teraz ja proponuję. Załóżę się, że Trump wygra drugą kadencję.

Zbyt trudne do przewidzenia, więc teraz ja odmawiam. Pańską prognozę jednak zapamiętajmy. Tak czy inaczej 1 września Trump nie spotka się w Warszawie z Putinem.

Putin nie ma czego szukać w Polsce ani w rocznicę wybuchu II wojny światowej, ani z jakiegokolwiek innej okazji. A to dlatego, że prowadzi skrajnie agresywną politykę. Dopóki Rosja prowadzi wojnę na Ukrainie...

1 września to jednak historyczna rocznica wybuchu wojny, którą ZSRS do spółki z Niemcami wywołał, ale też zakończył...

Dzisiejsza Rosja żadnej wojny nie zakończyła – ani na Kaukazie, ani na

Ukrainie. Świętując rocznice historyczne, musimy zawsze pamiętać o współczesnym kontekście. Gdybyśmy mieli do czynienia z demokratyczną Rosją, sytuacja wyglądałaby zupełnie inaczej. Putin ma jednak możliwość wykonania jednego gestu wobec Polski. Wystarczy, że załaduje do wagonów kolejowych szczątki prezydenckiego tupolewa wraz z całą dokumentacją śledztwa i wyśle do Polski, a naszym służbom umożliwi przesłuchanie kontrolerów lotu.

Odzyskanie wraku jest nawet według oficjalnych wypowiedzi MSZ głównym celem relacji z Moskwą. Część komentatorów twierdzi, że właśnie z tego faktu wynikało hamletyzowanie naszej dyplomacji w sprawie miejsca Rosji w Zgromadzeniu Parlamentarnym Rady Europy.

Nie można zapominać, że dopiero pięć lat po katastrofie polski rząd zaczął się upominać o zwrot wraku. Przychodząc do MSZ w 2015 r., nie znalazłem żadnych dokumentów, które by potwierdzały, że moi poprzednicy zrobili cokolwiek, by naszą własność odzyskać. Jedyne, co warto odnotować, to jedna czy druga wzmianka Radosława Sikorskiego, który domagał się od wysokiej przedstawicielki UE do spraw zagranicznych i bezpieczeństwa, aby jadąc do Moskwy, przypomniawszy Ławrowowi, że czekamy na zwrot wraku. Niestety, nasi poprzednicy, godząc się na śledztwo rosyjskie, zamknęli nam drogę do dalszego poszukiwania prawdy.

Skoro jednak MSZ wciąż, przynajmniej oficjalnie, wierzy w możliwość odzyskania wraku, a do tego czyni pewne nieśmiałe gesty pod adresem Rosji, licząc na wzajemność, i tej wzajemności nie otrzymując, to rodzi się pytanie: Co musielibyśmy zrobić, żeby Putin oddał nam szczątki tupolewa? Ukorzyć się, poprzez agresywną politykę Kremla?

Musielibyśmy duszę diabła sprzedać. Pogwałcić prawo międzynarodowe. Zaakceptować aneksję Krymu. Sam fakt, że Rosjanie do tej pory przetrzymują samolot, świadczy o tym, że mają coś do ukrycia. Mogą jeszcze wykorzystać wrak politycznie. Gdyby chcieli namieszać na polskiej scenie politycznej, oddaliby tupolewa tuż przed wyborami w nadziei, że pogłębi to podziały polityczne. Byłoby zbyt mało czasu, aby rzetelnie zbadać szczątki. Opozycja zaczęłaby więc komentować, że oto PiS tyle lat mówił o Smoleńsku, a kiedy w końcu Rosjanie oddali wrak, ten sam PiS „nie potrafi znaleźć żadnych śladów zamachu”.

Dobrze, skoro więc obecne rosyjskie władze nie są dla Polski partnerem do rozmów, to jak w takim razie

tłumaczyć zaproszenie Putina na rocznicę wyzwolenia Auschwitz w przyszłym roku?

W 1939 r. Rosjanie odegrali paskudną rolę. Gdyby nie pakt Ribbentrop-Mołotow, być może 1 września Niemcy nie napadłyby na Polskę. Nie mówiąc już o 17 września. Dwa lata później przystąpili do koalicji antyhitlerowskiej. Nie zamierzamy stawiać pomników walczącej z Niemcami Armii Czerwonej, jednak wyzwolenie Auschwitz należy uznać za jej zasługę.

To prawda. Mówił pan jednak wcześniej, że powodem niezaproszenia Putina nie są kwestie historyczne, tylko współczesna polityka. To dlaczego nie dotyczy to Oświęcimia?

Jedno z drugim się łączy. Zawsze jest tak, że rocznice historyczne obchodzi się w bieżącym kontekście.

Na koniec przenieśmy się nad Dniepr. Czy polski rząd nie przespał trochę sukcesu Wołodymyra Zełenskigo i jego partii? Prozachodni, niezależni – w przeciwieństwie do poprzednika – od elektoratu nacjonalistycznego, niedoświadczony, a więc podatny na wpływy polityk jeszcze się z Andrzejem Dudą nie zaprzyjaźnił. Woli Macrona, niestety.

Jesteśmy pełni uznania dla sukcesów Zełenskigo. Wybory zarówno prezydenckie, jak i parlamentarne wygrał z miazdzącą przewagą, bez żadnych – co istotne – zastrzeżeń w kwestii demokracji. To prawda, że jako polityk niedoświadczony jest bardziej podatny na ewentualne sugestie z zewnątrz. Myśmy jego zwycięstw nie przespał. Andrzej Duda jako pierwszy pogratulował Zełenskiemu wyboru na prezydenta. Sam byłem jednym z tych, którzy publicznie nawoływali do uczynienia takiego gestu. To Zełenski nie odpowiedział pozytywnie na nasze próby kontaktu. Na razie kontynuuje politykę poprzednika, który wołał postawić na Berlin i Paryż niż na Warszawę. Polska, z racji podobnych doświadczeń, ma znacznie większe możliwości pomocy Ukrainie niż państwa Europy Zachodniej. Niestety, Kijów wciąż też, zamiast szukać porozumienia ze środowiskiem PiS, woli stawiać na współpracę z politykami PO. Ukraińcy w ostatnich latach, widząc, jak traktuje nas Bruksela, postrzegali rząd dobrej zmiany jako zjawisko przejściowe, które trzeba przeczekać. Uważali, że z Europą Zachodnią można robić interesy ponad głowami Polaków. Być może zwycięstwo PiS w jesiennych wyborach uświadomił Ukraincom, że powinni szukać pragmatycznych, pozytywnych relacji z Warszawą.



Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

Nagroda dla twórców kultury
stojących na straży prawdy i umiłowania
wolności. Jej laureatem może zostać osoba,
której działalność wpisuje się w hasło:
„A jednak coś po nas zostanie”.

IV EDYCJA NAGRODY

Laureaci NAGRODY
poprzednich edycji:

III EDYCJA 2018
FRANCISZEK PIECZKA
(NA ZDJĘCIU)

II EDYCJA 2017
EWA BŁASZCZYK

I EDYCJA 2016
STANISŁAWA CELIŃSKA
JAN POLKOWSKI
ANTONINA KRZYSZTOŃ



NA ZGŁOSZENIA KANDYDATÓW CZEKAMY DO 30 WRZEŚNIA

SZCZEGÓŁY NA WWW.GINTROWSKI.PL
LUB FUNDACJA@GINTROWSKI.PL

MECENASI KONCERTU:



PARTNERZY:



PATRONI MEDIALNI:





Super Mario

Od ponad tygodnia zasiada w gabinecie szefa Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, przegląda dokumenty, analizuje sytuacje w służbach policyjnych. Od połowy ubiegłego tygodnia czyni to już oficjalnie. Kilka dni po medialnych zapowiedziach prezydent Andrzej Duda powołał, na wniosek premiera Mateusza Morawieckiego, dotychczasowego ministra koordynatora służb specjalnych Mariusza Kamińskiego na fotel szefa MSWiA. Zastąpił on na tym stanowisku Elżbietę Witek, która po rezygnacji Marka Kuchcińskiego z funkcji marszałka Sejmu objęła fotel szefowej polskiego parlamentu.

„Mario” – jak nazywają go znajomi i przyjaciele, zwłaszcza z dawniejszych czasów, czyli działalności w podziemnym NZS i antykomunistycznej Lidze Republikańskiej – zachowa jednocześnie stanowisko ministra koordynatora służb specjalnych. Będzie tym samym jedy-



Wojciech Wybranowski

Mariusz Kamiński staje się jednym z najpotężniejszych ludzi w Polsce. To jego ludzie kierują CBA, nadzorują służby specjalne, a teraz on sam przejmuje kontrolę nad policją i pozostałymi służbami mundurowymi

nym człowiekiem w Polsce mającym tak olbrzymią władzę – samodzielnie i przy pomocy zaufanych ludzi trzymającym w rękę służby specjalne i mundurowe, w tym policję. To sytuacja bez precedensu. Co prawda w okresie rządów PO-PSL dwaj szefowie MSWiA, Bartłomiej Sienkiewicz i Jacek Cichocki, kierując resortem, nadzorowali też służby, ale mogli to robić dzięki rozporządzeniu premiera. Tymczasem Kamiński de facto stał się ministrem z „dwoma tekami”.

– Nie rozpatrywałbym tego w kategoriach, czy będzie najpotężniejszym człowiekiem, czy nie. Na pewno jest osobą niezwykle odpowiedzialną, propanstwową i to właśnie taki człowiek jak on zapewni stabilizację spraw prowadzonych w MSWiA oraz kontynuację polityki tego rządu, polityki rozwoju, nie rewolucyjnego, ale ewolucyjnego, reformę wszystkich służb – przekonuje w rozmowie z „Do Rzeczy” minister Maciej Wąsik, sekretarz Kolegium ds. Służb Specjalnych i wieloletni



– Mam duże wątpliwości co do Mariusza Kamińskiego jako szefa służb. Jeśli jeszcze połączymy służby z MSWiA, to nie wiem, czy zbyt dużo władzy nie będzie skupione w ręku jednego człowieka – mówiła dziennikarzom Katarzyna Lubnauer, wiceprezidentka klubu PO-KO w Sejmie.

Podobne zarzuty stawiał Bartłomiej Sienkiewicz, były szef MSWiA w rządzie Donalda Tuska. Z kolei były szef Centralnego Biura Antykorupcyjnego Paweł Wojtunik napisał na Twitterze: „Kamiński nowym MSWiA? Kiedyś za skazanego w rodzinie nie można się było do Policji dostać... Wg kodeksu honorowego Polskiej Policji skazanemu nie należy salutować. A skazanemu ułaskawionemu? Takiej sytuacji i takiego ministra jeszcze nie było, nawet w Rosji. A czy syn też awansuje?”.

– W mojej ocenie i w relacji ludzi, których znam, to Paweł Wojtunik nie ma zdolności honorowej. Pamiętam sytuację, kiedy przychodził po pracy do Mariusza Kamińskiego, bo miał trudną sytuację w policji, i wtedy to był zupełnie inny człowiek, zupełnie inaczej się zachowujący. Myślę, że bałby się w oczy powiedzieć Mariuszowi Kamińskiemu to, co napisał sobie na Twitterze – komentuje Wąsik.

Konflikt Wojtunika z Kamińskim trwa od lat. To właśnie Wojtunik zastąpił Kamińskiego na stanowisku szefa CBA po tym, jak twórca tej służby 6 października 2009 r. usłyszał zarzut przekroczenia uprawnień i popełnienia przestępstwa przeciw wiarygodności dokumentów. Chodziło o działania CBA w słynnej „aferze gruntowej”, w której na celowniku służb znaleźli się ówczesny minister rolnictwa Andrzej Lepper i jego współpracownicy oraz wpływowi biznesmeni i ludzie z policji. 20 czerwca 2012 r. Sąd Rejonowy Warszawa-Śródmieście umorzył postępowanie, stwierdzając, że Kamiński i jego współpracownicy nie złamali prawa, a działania CBA były legalne i uzasadnione. Prokuratura jednak złożyła odwołanie. W marcu 2015 r. sędzia Wojciech Łączewski uznał Kamińskiego za winnego przekroczenia uprawnień i nieprawomocnie skazał go na karę trzech lat pozbawienia wolności oraz 10 lat zakazu pełnienia funkcji publicznych. W tym samym roku po wygranych wyborach prezydenckich Andrzej Duda ułaskawił Kamińskiego.

W ubiegłym tygodniu, dzień przed oficjalnym powołaniem Kamińskiego na fotel szefa MSWiA, sprawę przypomniała telewizja TVN24. Komentatorem w stacji był... sędzia, który Kamińskiego skazał.

– Sąd ocenił, że sprawowanie jakichkolwiek funkcji w organach administracji przez Mariusza Kamińskiego zagraża bezpieczeństwu demokratycznego państwa prawnego – stwierdził w TVN24 Wojciech Łączewski.

Wywołało to oburzenie wśród części internautów, którzy wytykali Łączewskiemu upolitycznienie i angażowanie się w polityczną walkę przedwyborczą.

– „Sędzia”, który uwikłał się kabareto-wo w politykę oraz nie rozumie instytucji ułaskawienia, już dawno nie powinien być w tym zawodzie. Tyle – komentował to Marcin Wątrobiński, prawnik.

BO WALCZYŁ Z KORUPCJĄ?

W świetle znanych już faktów uzasadnione jest pytanie – czy śledztwo prokuratorskie, które doprowadziło do oskarżenia i postawienia Kamińskiego i jego ludzi przed sądem, było ustawką polityczną oraz zemstą za ujawnienie przez Kamińskiego tzw. afery hazardowej mocno uderzającej w rząd Donalda Tuska?

– Ujawniliśmy premierowi aferę w momencie, kiedy ustawa hazardowa miała trafić na posiedzenie rządu. Udo- wodniliśmy, że gdyby została przyjęta, Polska traciłaby ok. 500 mln zł rocznie. W momencie, gdy Kamiński przekazał informacje Donaldowi Tuskowi i jego współpracownikom, zaczęły się problemy – opowiadała nam jedna z osób rozpracowywujących całą aferę. – Okazało się, że jest przeciek i osoby zamieszane w sprawę mają informacje ze śledztwa. Nagle figuranci zaczęli mówić kodem, zmienili telefony, numery kart.

Po upublicznieniu sprawy przez „Rzeczpospolitą” w październiku 2009 r. nagle gwałtownie przyspieszyło śledztwo w sprawie rzekomego przekroczenia przez Kamińskiego uprawnień w działaniach operacyjnych CBA. Tuż przed odwołaniem go z funkcji szefa CBA jesienią 2009 r. ówczesny szef Prokuratury Krajowej Edward Zalewski zorganizował, według naszych informatorów, spotkanie prokuratorów. Na nim miały zapaść decyzje o postawieniu Kamińskiemu zarzutów, co dało asumpt Tuskowi, by niepokornego szefa CBA zdymisjonować. A śledztwo przeciw Kamińskiemu i jego ludziom nadzorowała prok. Anna Habała, wówczas szefowa Prokuratury Okręgowej w Rzeszowie i ważny element przestępczego tzw. układu podkarpackiego rozpracowywanego wtedy przez CBA. W 2016 r. Habała została na

współpracownik Kamińskiego. Znają się jeszcze z czasów Niezależnego Zrzeszenia Studentów i wspólnych protestów przeciw rządowi SLD organizowanych przez Ligę Republikańską. – Przyznam się, że współpraca z Mariuszem Kamińskim jest dla mnie zaszczytem i przyjemnością – zapewnia Wąsik.

MINISTER NIWYGODNY

Kamiński, szef służb specjalnych, wyjątkowo mocno stroniący od mediów, ma zwolenników jak i przeciwników także po prawej stronie. Na razie jednak zawrzało głównie w szeregach opozycji.

– Pan Kamiński został skazany przez polski sąd za to, że nadużywał władzy jako urzędnik państwowy. To jest osoba, którą należy trzymać jak najdalej od jakichkolwiek funkcji publicznych, a szczególnie tak wrażliwych – grzmiał poseł PO Sławomir Nitras.

► polecenie prokuratury zatrzymana i usłyszała zarzuty korupcji oraz płatnej protekcji.

Akt oskarżenia przeciw Kamińskiemu, który we wrześniu 2010 r. trafił do sądu, został przygotowany przez prok. Bogusława Olewińskiego, zarejestrowanego w PRL jako konfident SB o pseudonimie Marian. Tymczasem w innym procesie warszawski sąd uznał Piotra Rybę i Andrzeja K., głównych oskarżonych w „aferze gruntowej”, za winnych. Rozpatrując tę sprawę, uznał, że działania CBA były legalne i uzasadnione.

„Polowanie” na Mariusza Kamińskiego i jego najbliższego współpracownika Macieja Wąsika prowadzono także na polecenie Pawła Wojtunika po tym, jak CBA przeprowadziło operację mającą sprawdzić, czy Aleksander i Jolanta Kwaśniewscy ukrywali majątek i źródła jego pochodzenia. Śledztwo w sprawie „willi Kwaśniewskich”, wielokrotnie opisywane przez „Do Rzeczy”, nadal jest prowadzone w katowickiej prokuraturze. Nowe kierownictwo CBA kierowało do prokuratury zawiadomienia dotyczące rzekomego przekroczenia uprawnień przez Kamińskiego przy „inwigilacji byłej pary prezydenckiej”. Jednak najpierw Sejm, zdominowany przez posłów PO, nie zgodził się na uchylenie immunitetu Kamińskiemu, uznając zarzuty za bezpodstawne, a następnie prokuratura umorzyła postępowanie.

OKO I UCHO PREZESA

W kulisach PiS głośno mówi się o tym, że Mateusz Morawiecki nie należy do wielkich zwolenników Kamińskiego, a obejmując rok temu fotel premiera, sugerował, że chciałby na stanowisku ministra koordynatora służb specjalnych zobaczyć innego, związanego z jego zapleczem, człowieka. Wtedy też miał usłyszeć od prezesa Kaczyńskiego kategorię „nie”. Publicznie jednak Morawiecki wspiera Kamińskiego.

– Relacje Jarosława Kaczyńskiego z Mariuszem Kamińskim są bardzo specyficzne. Prezes ma do niego olbrzymie zaufanie, wie, że Kamiński nie wystąpi przeciw niemu, że nie gra, że nie intryguje. I wreszcie że jest też bezwzględnie typem urzędnika, który interes państwa przedkłada ponad polityczne, wewnątrzpartyjne gierki – mówi nam jeden z polityków z centrum partii przy Nowogrodzkiej. Według naszego informatora Kaczyński miał kilka razy wcześniej prosić Kamińskiego, by to jego zaufani sprawdzili niekorzystne dla działaczy PiS informacje, które pojawiały się w bliskich opozycji mediach, np. po

publikacji „GW” o nieruchomościach, które posiada rodzina premiera Morawieckiego.

– Prezes szanuje jego zdanie, bo Kamiński nie bał się mu mówić, gdy coś nie grało. Także gdy dotyczyło to ludzi, na których Kaczyński w danym momencie stawiał – mówi nam jeden z polityków PiS. – Wśród szefów partyjnych frakcji sympatii do nowego szefa MSWiA to nie wzbudziło, ale dopóki ma tak silne wsparcie Kaczyńskie, reszta nic mu nie może zrobić.

W kończącej się kadencji o wpływy z Kamińskim rywalizowali zarówno Zbigniew Ziobro, jak i były już szef MON Antoni Macierewicz. Poszło o pomysł połączenia Agencji Wywiadu i Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Macierewicz był temu przeciwny.

Mariusz Kamiński należy do osób uważających, że pełna dekomunizacja i lustracja są warunkiem transparentnego funkcjonowania państwa

Ludzie Kamińskiego mieli też sprawdzić, czy zarzuty Macierewicza jako szefa MON wobec gen. Jarosława Kraszewskiego (byłego dyrektora departamentu zwierzchnictwa nad siłami zbrojnymi w prezydenturze BBN) są zasadne. Podległa Macierewiczowi Służba Kontrwywiadu Wojskowego odebrała certyfikat dostępu do informacji niejawnych Kraszewskiemu, co wywołało medialny konflikt pałacu prezydenckiego i MON. Bardzo szybko ludzie Kamińskiego uznali, że zastrzeżenia SKW wobec Kraszewskiego są bezzasadne. Ta opinia ponoć miała też wpływ na decyzję o dymisji Macierewicza. Już po niej, w marcu 2018 r., Kamiński, działając z upoważnienia premiera, uchylił decyzję szefa SKW wobec Kraszewskiego.

– Wpływy Mariusza Kamińskiego na Nowogrodzkiej są bardzo silne, ale teraz wzmacniając pozycję, szybko zyska nowych, potężnych wrogów wewnątrz partii. Pytanie, czy i jak długo sympatię prezesa utrzyma? – zastanawia się jeden z polityków PiS.

ANTYKOMUNISTA TOTALNY

Co czeka służby mundurowe, zwłaszcza policję, pod rządami Kamińskiego? Jeśli również po wyborach utrzyma stanowisko szefa MSWiA, to zapewne przeprowadzi

w nich dekomunizację. W maju tego roku „Dziennik Gazeta Prawna” ujawnił, że Kamiński i Wąsik przygotowali nową ustawę o ochronie informacji niejawnych, która zakładała, że poświadczeń bezpieczeństwa nie mogłyby otrzymać osoby zatrudnione m.in. w SB, komunistycznym wywiadzie czy kontrwywiadzie wojskowym. Oznaczałoby to całkowitą dekomunizację służb specjalnych. Projekt miał wejść w życie w październiku, ale na razie prace nad nim zamrożono. Niewykluczone, że pomysł wróci po wyborach.

Mariusz Kamiński należy do osób uważających, że pełna dekomunizacja i lustracja są warunkiem transparentnego funkcjonowania państwa. W okresie PRL działał w podziemnym Niezależnym Zrzeszeniu Studentów, był jednym z animatorów i organizatorów antykomunistycznych akcji w Warszawie.

– W czasie wojny śpiewane były w tramwajach piosenki o Niemcach, a myśmy za komuny potrafili przejechać autobusem po Krakowskim Przedmieściu, śpiewając antykomunistyczne piosenki. Mariusz potrafił wydzierać się na cały autobus: „NZS, NZS!” albo „Solidarność, Solidarność!”. Potem z okna tego autobusu fruun... jakieś ulotki na ulicę i „wypad” z pojazdu. Jak widziałam, z jakim zaangażowaniem on śpiewa w autobusie, nie bojąc się nikogo, pomyślałam sobie: to jest urodzony rewolucjonista – wspominała przed rokiem w „Do Rzeczy” Danuta Bolińska, fotograf podziemnego NZS.

Kamiński był też współtwórcą i liderem Ligi Republikańskiej, organizacji, która obok NZS, Naszości i RAAK w okresie rządów SLD w latach 90. zasłynęła antykomunistycznymi demonstracjami i happeningami. To właśnie działacze Ligi Republikańskiej rozklejali na całej Polsce plakaty z wizerunkiem Aleksandra Kwaśniewskiego i podpisem „Kwasula – Czerwony wampir”, prowadzili okolicznościowe akcje „Morderca mieszka obok Ciebie”, w których do wiadomości publicznej podawano nazwiska i adresy komunistycznych zbrodniarzy, czy organizowali antykomunistyczne kontrdemonstracje pierwszomajowe.

W 1997 r. Mariusz Kamiński po raz pierwszy – startując wówczas z list AWS – został posłem. W wyborach w stolicy przekonywał do siebie wielkim czerwonym plakatem, na którym opodał niewielkiego białego pasma widniał wyraźny antykomunistyczny napis: „Za dużo czerwonego”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

PRENUMERATA 2019

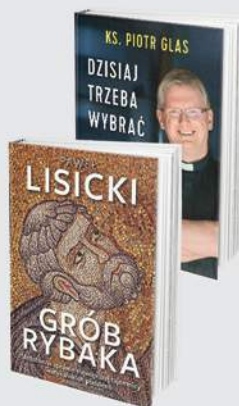
TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA



**TYGODNIK
„DO RZECZY”**

WERSJA PAPIEROWA
TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP
DO E-WYDAŃ W APLIKACJI



W PREZENCIE
KSIĄŻKI

PAWEŁ LISICKI

„GRÓB RYBAKA”

**TOMASZ TERLIKOWSKI W ROZMOWIE
Z KS. PIOTREM GLĄSEM**

„DZISIAJ TRZEBA WYBRAĆ”

~~659~~ zł



240,00 zł



**OSZCZĘDNOŚĆ
419** zł

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

Największym problemem było oczywiście to, że raptem dwa miesiące wcześniej w ramach rekonstrukcji rządu Elżbieta Witek została nowym ministrem spraw wewnętrznych i administracji.

W PiS obawiano się, że jej odejście z resortu po tak krótkim czasie zostanie źle odebrane przez opinię publiczną. Takie przerzucanie polityka z jednej funkcji na drugą wygląda mało poważnie i sprawa wrażenie krótkiej ławki kadrowej. Nie służy też samej Witek, bo prowokuje opinie, że nie poradziła sobie w resorcie. Tak stwierdził chociażby Grzegorz Schetyna, którego zdaniem Witek nie potrafiła porozumieć się ze swoim wpływowym zastępcą Jarosławem Zielińskim. – Nie zazdroszczę jej po tych przygodach – stwierdził lider PO w Polsat News. – MSWiA to jest zwieńczenie myśli o spełnieniu w polityce. Po paru tygodniach minister Witek odchodzi z niego po tym, jak mówią sejmowe kuluary, bo nie akceptuje jej wiceminister Zieliński, który nie chce się dzielić zarządzaniem resortem – dodał Schetyna, który z Witek dobrze się zna, bo oboje są z Dolnego Śląska i tam stawiali pierwsze kroki w polityce.

ZAUFANA PREZESA

Jak słyszymy od polityków PiS, mimo wszystkich wątpliwości kierownictwo partii uznało, że nie ma lepszej kandydatki do załagodzenia sytuacji w Sejmie niż Witek. Zwłaszcza że czasu było mało, a decyzję trzeba było podjąć szybko. Pod uwagę brano jeszcze Małgorzatę Wassermann, miał z nią rozmawiać prezes Kaczyński. Okazało się jednak, że Wassermann jest na urlopie i logistycznie trudno będzie ją ściągnąć w krótkim czasie do Warszawy. W tej sytuacji Witek wydawała się najlepszym pomysłem.

– Jest osobą trudną do zaatakowania, bo jest politykiem z doświadczeniem, nikomu w Sejmie nie zależała za skórę, jest dość lubiana, także przez polityków z innych partii. Jest miła, dobrze odbierana przez ludzi, a do tego jest kobietą. Była idealną kandydatką, zwłaszcza że wiedzieliśmy, że Platforma wystawi Małgorzatę Kidawę-Błońską, która też ma te wszystkie atuty – tłumaczy jeden z członków rządu.

Najważniejszym i przesądzającym argumentem było jednak to, że do Witek zaufanie ma sam prezes Kaczyński. Do tego stopnia, że jest pewien, iż nie zrobi

Witek na kryzys



Kamila Baranowska

Elżbieta Witek została marszałkiem Sejmu, bo PiS musiał szybko zażegnać kryzys związany z Markiem Kuchcińskim. W partii uznano, że Witek jest wyborem optymalnym, jeśli nie jedynym

niczego bez jego zgody i akceptacji, i wierzy, że przez te dwa miesiące na odcinku sejmowym będzie miał po prostu spokój, co w kampanii jest nie do przecenienia.

– Witek zdała test lojalności choćby wtedy, gdy bez słowa sprzeciwu odeszła z rządu, gdy premierem został Mateusz Morawiecki. Mogła mieć żal, że została szcyszczona jako człowiek Beaty Szydło, ale zachowała się lojalnie i złego słowa nie powiedziała. Takie rzeczy w PiS się pamięta – mówi jeden z naszych rozmówców.

W PiS mówią, że prezes zapamiętał także, z jaką troską Witek opiekowała się w chorobie śp. posłanką Jolantą Szczypińską. – Ponieważ nie miała nikogo bliskiego, to ja się nią opiekowałam. Mieszkaliśmy razem w hotelu. Lubiliśmy się... Zaczęło się od przynoszenia do szpitala zwykłych rzeczy, później już po prostu wiedziałam, że trzeba przy niej być, żeby nie była sama – opowiadała w „Super

Expressie”. – Dopóki była w stanie, odbierała telefony z licznymi wyrazami wsparcia. Ale później odwiedzaliśmy ją tylko ja i Jarosław Kaczyński. Bardzo go to dotknęło, podobnie jak mnie. Zwłaszcza że był przy Joli, widział tę chorobę, widział to cierpienie. Mówił o tym, że bardzo cierpiała przez całe życie, doznała wielu krzywd, nie miała łatwo, a mimo to pomagała innym – wspominała.

W PiS można jednak też usłyszeć, że przesuwając Witek na odcinek sejmowy i stawiając na czele MSWiA Mariusza Kamińskiego, prezes PiS upiekł dwie pieczenie przy jednym ogniu. Przeciął narastający polityczny kryzys wokół łotów Marka Kuchcińskiego i ustabilizował sytuację w resorcie spraw wewnętrznych.

Witek od początku zresztą nie bardzo pasowała do roli szefowej MSWiA. Wcześniej na czele resortu stał Joachim Brudziński, polityk z silną pozycją



gabinetu Szydło, przez chwilę była też rzecznikiem prasowym w KPRM. Szydło liczyła się z jej zdaniem i często słuchała jej rad, co nie zawsze podobało się jej współpracownikom, zwłaszcza tym odpowiedzialnym za wizerunek i PR. W KPRM można było usłyszeć, że trochę uderzyła jej woda sodowa i próbowała wtrącać się w sprawy, na których nie do końca się znała.

W partii jest nazywana człowiekiem Szydło i zalicza się ją do nieformalnej frakcji, wspierającej byłą premier. Zna ją się jeszcze z poprzednich kadencji, gdy w Sejmie trzymały się razem (przyjaźniły się też z Anną Zalewską, była minister edukacji).

O Witek było przez chwilę głośno w 2012 r., gdy tabloidy rozpisywały się o jej podróży taksówką z Dolnego Śląska do Warszawy (460 km). Tłumaczyła wtedy „Faktowi”, że zepsuł się pociąg i wraz z dwójką innych posłów postanowili wziąć taksówkę, by dojechać do Sejmu. Nie uniknęła jednak przydomka „Hrabina”. Później „Fakt” wytykał jej jeszcze, że podróżując pociągiem, chce mieć do dyspozycji cały przedział. Witek tłumaczyła, że chodzi jej o pulę biletów, które byłyby do dyspozycji posłów, by mieli w pociągach zapewniony komfort pracy.

Na poważnie szerszej opinii publicznej dała się poznać dopiero w tej kadencji, posłanką jest nieprzerwanie od 2005 r. Pierwszy raz w wyborach do Sejmu startowała już w 2001 r. Wtedy mandatu nie dostała, zajęła się więc działalnością samorządową, została radną w swoim rodzinnym Jaworze.

Ukończyła historię na Uniwersytecie Wrocławskim. Po studiach pracowała jako nauczycielka w Jaworze, potem awansowała na dyrektorkę szkoły. W 1980 r. przyłączyła się do Solidarności. „Za udział w manifestacji 31 sierpnia 1982 r. zostałam skazana na trzy miesiące aresztu, a następnie zwolniona z pracy i represjonowana za swoją postawę i poglądy. Dwa lata temu uzyskałam z IPN status osoby pokrzywdzonej” – informuje na swojej stronie internetowej.

Elżbieta Witek została marszałkiem na finiszu kadencji, do wyborów odbędzie się jeszcze tylko jedno posiedzenie Sejmu. Niewykluczone jednak, że jeśli PiS wygra jesienne wybory i uzyska sejmową większość, to funkcją marszałka będzie mogła cieszyć się dłużej. Może i całą kolejną kadencję.

i wpływami, który trzymał resort twardą ręką. Witek to inny polityczny kaliber, ale też inna osobowość – spokojna i niekonfliktowa. Zaczęła zresztą dość niefortunnie. Tuż po nominacji przyznała, że resort, którym jest MSWiA, to dla niej niespodzianka. – To resort dla mnie nowy, też niespodzianka, dlatego przede wszystkim będę się na początku bardzo intensywnie tego resortu uczyć. Jest mało czasu, ale ja się szybko uczę – powiedziała. Witek, z zawodu nauczycielka, nie uniknęła też porównań do byłej minister z czasów Platformy Obywatelskiej Teresy Piotrowskiej, której nominację również krytykowano ze względu na brak kompetencji (Piotrowska z zawodu była katechetką).

Co do samego ministra Zielińskiego, to słyszymy, że Witek rzeczywiście starała się w resorcie nieco ukrócić jego wpływ. Przykład? Dotychczas było tak, że Zieliński zawsze przemawiał na wszelkich

rocznicach i zabiegał o to. Mało kto jednak zwrócił uwagę, że ostatnio podczas centralnych obchodów 100. rocznicy powołania Policji obok prezydenta Andrzeja Dudy i premiera Mateusza Morawieckiego głos zabrała tylko Witek, Zieliński już nie. Zostało to skrupulatnie odnotowane przez pracowników resortu i nie tylko.

„CZŁOWIEK SZYDŁO”

Kiedy w 2015 r. po wygranych wyborach prezydenckich ruszała kolejna kampania wyborcza, z funkcji rzecznika PiS decyzją Jarosława Kaczyńskiego zdjęto Marcina Mastalerka (pozostał rzecznikiem sztabu wyborczego) i zamiast niego mianowano właśnie Witek. Beata Szydło chciała, by tę funkcję pełniła zaufana osoba, która nie będzie przeszkadzać sztabowi w kampanii. Po wygranych wyborach Witek została szefową

FOT. FORUM



Zagubiony w partiokracji



Łukasz Warzecha

Trudno pojąć, dlaczego Paweł Kukiz zdecydował się startować z listy PSL, bo jego obecność w Sejmie kolejnej kadencji – jeśli się w nim w ogóle znajdzie – nie będzie już nic znaczyć

Mnij więcej połowa obecnej kadencji Sejmu. Spotkanie z Pawłem Kukizem w gronie kilku osób, dotyczące przyszłej strategii ruchu. Jest też kilkoro posłów ugrupowania. Lider w pewnym momencie stwierdza dość niespodziewanie: „Ci moi posłowie to nic nie robią. Ja ich wszystkich wyp... i wezmę innych”. Dwa lata później okazuje się, że to sam Kukiz musi walczyć, żeby w ogóle dostać się do Sejmu. I raczej nie będzie wybierał sobie posłów do klubu, bo to on ma wejść w skład klubu PSL.

Paweł Kukiz, który do polityki wszedł jako główny krytyk systemu partyjnego,

kończy na listach PSL – partii będącej ikoną tegoż systemu.

POWOLNY ROZPAD

Maj 2015 r., pierwsza tura wyborów prezydenckich. Ponad 3 mln głosów, 20 proc. Triumfujący Paweł Kukiz na scenie. Wydaje się, że to początek czegoś nowego i trwałego – takiego entuzjazmu nie sposób zmarnować.

Kilka miesięcy później jest nadal dobrze, choć już nie tak wspaniale – ponad 8,8 proc. głosów, ponad 1,3 mln wyborców, ale to wciąż trzeci wynik. Za sprawą szczęśliwego dla PiS zbiegu okoliczności i niew wejścia do Sejmu lewicowej koalicji nie spełniają się jednak nadzieje na to, że ugrupowanie Pawła Kukiza będzie koalicjantem w rządzie PiS. Kukiz'15 trafia więc do opozycji – nie jako partia jednak, co pozbawia ugrupowanie subwencji ze Skarbu Państwa i stawia je od razu na słabszej pozycji.

Paweł Kukiz wprowadził w 2015 r. do Sejmu 42 posłów. To byli ludzie o poglądach, najogólniej mówiąc, prawicowych, ale o różnych odcieniach. Byli wśród nich republikanie, byli narodowcy, byli liberalni konserwatyści. Ta różnorodność miała być siłą ugrupowania, ale nieujęta w żadne karby stała się w pewnym momencie obciąże-

niem. Coraz trudniej było znaleźć wspólny mianownik łączący tę grupę. A taki jest potrzebny, żeby „sprzedać” ugrupowanie wyborcom.

Następował powolny rozpad klubu, rozpoczęty już w pierwszej połowie 2016 r. odejściem kilku narodowców z Robertem Winnickim na czele. Uzasadniano to kwestiami światopoglądowymi, a konkretnie – sporem o stosunek Pawła Kukiza do postulatu zaostrzenia ustawy antyaborcyjnej. To był pierwszy krok. Potem odeszli inni narodowcy, poseł Anna Maria Siarkowska, Marek Jakubiak ze swoimi ludźmi, Piotr Liroy-Marzec, Adam Andruszkiewicz, Jakub Kulesza, Jacek Wilk, w ostatnim czasie m.in. Tomasz Rzymkowski i czworo posłów o poglądach konserwatywno-liberalnych, z Bartoszem Józwiakiem i Elżbietą Zielińską. Klub stracił zdecydowaną większość rozpoznawalnych twarzy, które dawały popularność całemu ugrupowaniu. Dzisiaj klub Kukiz'15 liczy 16 osób. Do utworzenia i utrzymania klubu potrzeba minimum 15 osób, więc jest na granicy.

Politycznie ugrupowanie było przez ponad trzy lata postrzegane jako sojusznik rządzących lub oskarżane o bycie nim. Taki opis nie był sprawiedliwy, ale mieścił się w zero-jedynkowym, fatalnym schemacie

naszej polityki. Skoro Kukiz'15 nie brało udziału w awanturniczych poczynaniach opozycji, która sama siebie nazywała totalną, to zgodnie z logiką wojenną było przez tę opozycję zaliczane do obozu władzy. Faktycznie, przez długi czas osobiste relacje Pawła Kukiza z Jarosławem Kaczyńskim nie były złe. W pewnym okresie można było nawet usłyszeć o fascynacji tego pierwszego tym drugim – co zresztą nie jest zjawiskiem rzadkim, ponieważ Naczelnik umie roztaczać czar politycznego demiurga.

W pierwszym okresie swojego istnienia w Sejmie Kukiz'15 padł ofiarą własnej wstrzemięźliwości i fachowości części własnych posłów. Zamiast brać udział w burdach, happeningach i awanturach, posłowie Kukiz'15 przedstawiali się jako opozycja merytoryczna, prezentując własne projekty ustaw. Wiele z nich proponowało bardzo ciekawe rozwiązania – choćby projekt dotyczący likwidacji straży gminnych, zakazu opłacania przez samorządy reklam lokalnych włodarzy, przechodzenia posłów i senatorów na emeryturę w wieku 65 lat, o dobrowolnym znakowaniu żywności jako wolnej od GMO czy wreszcie projekt nowej ustawy o broni i amunicji. Wszystkie one były z automatu odrzucane przez PiS. Zarazem w atmosferze nieustającego wzmożenia i gonitwy mediów za emocjami Kukiz'15 miał ogromny problem z przebicciem się jako opozycja, która ma własne propozycje inne niż „obalić zły PiS”. Pytanie brzmi jednak, czy w ogóle starano się taki obraz pokazać i utrwalić. Przecież przez cztery lata swojego istnienia Kukiz'15 – ani jako stowarzyszenie, ani jako klub poselski – nie dorobiło się własnych profesjonalnych stron internetowych, z multimedialną bazą wystąpień swoich posłów czy działaczy, z forum sympatyków i tekstami programowymi. O ile takie były. To rażące zaniedbanie, jeśli wziąć pod uwagę to, że mówimy o ugrupowaniu, które miało obchodzić system, a więc bezpośrednia komunikacja z wyborcami powinna być dla niego kluczowa.

Już słaby wynik w wyborach samorządowych powinien być ostrzeżeniem – Kukiz'15 nie zdobył ani jednego mandatu w sejmikach. Wtedy jednak nie była to jeszcze klęska. Za moment ostatecznego testu uznawano wybory do Parlamentu Europejskiego, zwłaszcza że zawsze największe szanse miały w nich ugrupowania mniejsze i wyrazistsze. Tym razem jednak Kukiz'15 poniósł prawdziwą porażkę: przy rekordowo wysokiej frekwencji powyżej

45 proc. zdobył zaledwie 3,69 proc. głosów, czyli zagłosowało na niego 503 tys. osób. Kukiza pokonała nawet świeżo utworzona Konfederacja z 4,55 proc. głosów – którą zresztą zasilili i napędzali byli ludzie z klubu Kukiz'15 i która odebrała mu zapewne część wyborców.

PRZYCZYNY KLĘSKI

To był cios, po którym trudno się było podnieść. Może jednak wciąż jeszcze byłoby to możliwe, gdyby nie kolejne miesiące kręcenia, niezdeterminowania, rozmądlania. W czerwcu i lipcu w zasadzie nie sposób było stwierdzić, na jakim etapie jest polityczna taktyka Kukiza. Orientację w aktualnym stanie rzeczy tracili nawet polityczni komentatorzy, nienadążający za kolejnymi deklaracjami lidera ruchu umieszczanymi na Facebooku.

Kukiz'15 skończył jako sojusznik PSL – i to sojusznik o podrzędnej randze, bo przecież nie jest to koalicja równorzędnych podmiotów nawet nieformalnie, PSL po prostu użyczy Kukizowi miejsca na swoich listach. Pytani o przyczyny krachu projektu byli posłowie ruchu są zgodni, gdy idzie o najważniejszą z nich: mówią o niedeterminacji i chwiejności lidera. Brak jasno wyznaczonego kierunku, strategii, w gruncie rzeczy nawet programu. Ugrupowanie, które chciało głębokiej systemowej reformy polskiej polityki, nie przedstawiło żadnej kompletnej wizji. Chociaż podczas spotkań klubu Kukiz'15 pojawiały się apele choćby o to, by stworzyć własny projekt konstytucji.

Druga często wymieniana przyczyna to brak zainteresowania Kukiza jego własnym stowarzyszeniem. Moi rozmówcy, którzy w klubie Kukiz'15 przetrwali długo, twierdzą, co ciekawe, że przekształcenie tej formy w partię polityczną wcale nie było kluczowe. „Także stowarzyszenie może mieć dobrze działającą strukturę i może zbierać pieniądze na swoje funkcjonowanie. Ale trzeba o nie zadbać” – mówi jeden z nich. Lider nie dbał. Nie miał serca do mozolnej pracy nad budowaniem struktur; ze zwolennikami komunikował się przez Facebooka, podczas gdy nic nie zastąpi kontaktu bezpośredniego. Można było odnieść wrażenie, że chce odizolować wykonujących konkretną pracę posłów od struktur lokalnych. Być może za sprawą podstępów swojego złego ducha, Dariusza Pitasia. Jego nazwisko pojawia się we wszystkich opowieściach o porażce Pawła Kukiza i zawsze w bardzo niekorzystnym kontekście – jako wyjątkowo szkodliwej szarej eminencji.

Jak to często bywa w przypadku ugrupowań zbudowanych wokół charyzmy i czaru lidera, tak i tutaj największy atut, czyli Paweł Kukiz, okazał się zarazem największym problemem. Bez Kukiza, jego energii i autentyczności nie byłoby sukcesu w wyborach prezydenckich cztery lata temu i względnego sukcesu w wyborach do Sejmu. Kukiz okazał się jednak nieprzystosowaną do politycznych realiów artystyczną duszą. Nie umiał przekazać kompetencji organizacyjnych zdeterminowanej ekipie, która miałaby szansę zrobić ze stowarzyszenia Kukiz'15 prężny organizm. Uwierzył, że nie wolno wzmacniać posłów, bo na pewno mu zagrażą, więc nawet tych merytorycznie najlepszych traktował nie jako swój atut, ale jako obciążenie.

BĘDZIE ROZWÓD

Gdy jakiś czas temu podjął rozmowy z Jarosławem Kaczyńskim o wspólnym starcie w najbliższych wyborach, miał otrzymać ofertę znalezienia się w Zjednoczonej Prawicy na zasadzie ograniczonej autonomii, tak jak jej częściami są Porozumienie Jarosława Gowina i Solidarna Polska Zbigniewa Ziobry. Kukiz przedstawił jednak wtedy swoje żelazne polityczne warunki – JOW, kwestię referendum – co było oczywiście przez Kaczyńskiego nie do zaakceptowania. Można by Kukiza podziwiać za niezłomność, ale wtedy trzeba by zadać pytanie, jaki ma ona sens w sytuacji, gdy przez cztery lata nie udało się stworzyć spójnego wizerunku ugrupowania i gdy nawet te podstawowe punkty jego agendy nie są dla wielu jasne.

Jeżeli mierzyć sukces polityka skutecznością realizacji programu, to Kukiz przegrał. Inna sprawa, że wobec PiS-owskiego walca niewiele mógł zrobić. Mógł jednak znacznie lepiej przygotować swoją formację do walki.

Trudno natomiast pojąć, dlaczego zdecydował się startować z listy PSL, bo jego obecność w Sejmie kolejnej kadencji – jeśli się w nim w ogóle znajdzie – nie będzie już nic znaczyć. Można się założyć, że po kilku miesiącach Kukiz opuści klub PSL w wyniku jakiejś awantury i niewykluczone, że do końca kadencji będzie posłem niezależnym. Albo zrezygnuje z mandatu.

„Wcale bym się nie zdziwił” – mówi jeden z moich rozmówców – „gdyby Paweł w ogóle nie kandydował. Gdyby po prostu nagle zrezygnował. To byłoby do niego podobne”.



Z Tomaszem Szatkowskim, ambasadorem Polski przy NATO

rozmawia Marcin Makowski

MARCIN MAKOWSKI: W MON od 2015 r. odpowiadał pan m.in. za sprawy międzynarodowe i politykę obronną. Jak przez te cztery lata zmieniała się polska armia w kontekście działań z sojusznikami i jakie nadal stoją przed nią wyzwania?

TOMASZ SZATKOWSKI: W MON pod kierunkiem Mariusza Błaszczaka, a wcześniej Antoniego Macierewicza, był to czas konkretnych działań związanych z odbudową zdolności do obrony kraju, a także wzmacniania obrony sojuszniczej w ramach NATO. Przykłady tych działań to stworzenie Wojsk Obrony Terytorialnej czy rozpoczęcie budowy czwartej dywizji na ścianie wschodniej sojuszu. Konsekwencją działań na arenie międzynarodowej było urealnienie gwarancji sojuszniczych wobec Polski – głównie na szczycie warszawskim NATO w 2016 r. oraz poprzez późniejsze umowy z USA. Przypominam, że to w Warszawie po raz pierwszy zdecydowano, iż wojska stacjonujące na naszym terytorium będą miały charakter bojowy i odstrasżający. Byliśmy współautorami tej koncepcji.

Oprócz NATO rozwijana była także formuła bilateralna.

Tak, warto te sprawy rozróżnić w kontekście wspomnianej współpracy z USA. Wojska amerykańskie, stacjonujące np. w Orzyszu, wypełniają zobowiązania paktu północnoatlantyckiego. Te stacjonujące obecnie m.in. w Redzikowie, Żaganiu, Skwierzynie, Poznaniu czy Powidzu są jednak częścią porozumień dwustronnych, które zawarliśmy z Waszyngtonem.

W jaki sposób można wyjaśnić tę różnicę?

Na szczycie warszawskim NATO ustalono rotacyjną obecność sił w wielkości czterech batalionowych grup bojowych na flance wschodniej. W tym samym czasie zapadły uzgodnienia polsko-amerykańskie dotyczące, początkowo tymczasowej, rotacji brygady pancerniej. Natomiast już kwestią naszych indywidualnych negocjacji z USA było nadanie tej obecności statusu trwałego oraz zwiększenie jej liczebności pod względem personelu i rozlokowanego sprzętu, a przede wszystkim dodanie kluczowych zdolności. To, nad czym obecnie pracujemy z Amerykanami,



można zdefiniować jako zestaw, który będzie umożliwiał szybką integrację sił wielkości dywizji w przypadku konfliktu, wzbogacony o dodatkowe, „ponaddywizyjne” zdolności rozpoznawcze wojsk specjalnych i przyjęcia sił itp.

Na co przekłada się ta obecność amerykańska w formule dywizyjnej, w kontekście zabezpieczenia przed ewentualną rosyjską agresją?

Na początek jedno zdanie uściślenia. Wielu fascynatów militariów postrzega taki związek taktyczny jak dywizja przez pryzmat jej drugowojennej roli. Dzisiejsza dywizja ma jednak nieporównywalnie ważniejszą rolę niż jej odpowiednik z przeszłości. Jest znacznie bardziej samodzielna pod względem bojowym oraz zdolności wspierających. Gdybym „na siłę” musiał czynić takie porównanie, to jej zasięg oddziaływania czyni ją bardziej odpowiednikiem takich formacji jak korpus czy nawet armia z tamtego okresu historii. Dlatego właśnie relokacja takich elementów jak wysunięte dowództwo dywizyjne pod Poznaniem jest rzeczą bezprecedensową. Amerykanie nie mają podobnych elementów dowódczych szczebla taktycznego nigdzie indziej w Europie. Nigdzie indziej na naszym kontynencie nie stacjonuje również ciężka brygada pancerna, którą

jeden z analityków z think tanku Center for Strategic and Budgetary Assessments nazwał lądowym odpowiednikiem grupy lotniskowcowej. Do tej pierwszej brygady dojdzie niedługo druga jednostka tego typu w postaci całego zestawu sprzętu zmagazynowanego w Powidzu. Do tego doliczyć należy przemieszczającą się stopniowo do Polski brygadę lotnictwa wojsk lądowych, która w US Army funkcjonuje tylko w niektórych dywizjach. Ten zestaw może być uzupełniony w niedalekiej przyszłości o inne elementy wsparcia poziomu dywizyjnego, ale i na „wyższym” poziomie organizacji wojskowej.

To wszystko brzmi, jakby Amerykanie wreszcie wrastali wojskowo w nasz region, zamiast być jedną nogą w Polsce, a drugą w Niemczech. Czy możemy liczyć, że w razie konfliktu sojusznicy nas nie opuszczą?

Nigdy nie można opierać się wyłącznie na siłach sojuszniczych, nawet jeśli mają one tak namacalny i poważny charakter, jak to jest obecnie w Polsce. Podstawowym gwarantem naszego bezpieczeństwa powinny być nasze siły zbrojne. Na tyle jednak, na ile musimy polegać na sojusznikach, doszło do zasadniczego przełomu. Jeszcze za rządów PO ówczesny minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski,

wypowiadając się krytycznie o stanie zaangażowania USA w Europie, mówił, że jego marzeniem było, aby w Polsce stacjonowały dwie amerykańskie brygady. Można powiedzieć, że spełniamy obecnie to marzenie z nadstatkiem.

Na razie rozmawiamy o korzyściach płynących ze zwiększania obecności sił zbrojnych USA (US Army to tylko wojska lądowe) w Polsce. Jednak co realnie przynosi ona dla polskiej armii? W jakim wymiarze, choćby w kontekście budowanego Centrum Szkolenia Bojowego, zyskują polskie jednostki i polscy dowódcy? Czy następuje wymiana doświadczeń strategicznych?

Od początku w mandacie, który do negocjacji dał mi minister Mariusz Błaszczak, istotne było, aby Wojsko Polskie coś zyskiwało, szczególnie w aspekcie szkoleniowym i doktrynalnym. Dlatego m.in. przez długi czas naciskaliśmy, aby Mission Command Element w Poznaniu przeformułować w dowództwo dywizji. Nie tylko ze względów operacyjnych, lecz także z uwagi na większe wspólne możliwości szkoleniowe. Wiem, że to się już dzieje i np. gen. Jarosław Gromański, tworząc sztab nowej 18. Dywizji Zmechanizowanej, czerpie z doświadczeń Amerykanów. Nie jest jednak tak, że to działa tylko w jedną stronę. Oni również się czegoś od nas uczą. Teatr Europy Środkowo-Wschodniej jest specyficzny, trzeba umieć działać np. w terenie, na którym jest dużo przeszkód wodnych.

Wracając do Centrum Szkolenia Bojowego, jakie znaczenie będzie mieć ta placówka?

To niezwykle nowoczesny i „ucyfrowiony” poligon, a raczej laboratorium szkoleniowe, na którym ćwiczenia odbywają się w sposób zobiektywizowany. Tego typu ośrodki szkoleniowe umożliwiały rewolucję odnośnie do sposobów walki w US Army czy budziły nasz niepokój, gdy były budowane przez niemiecki Rheinmetall dla rosyjskiej armii.

Opisując tę sytuację językiem potocznym: czy to wygląda z perspektywy dowódców jak gra strategiczna w czasie rzeczywistym?

Tak, to system szkoleń, gdzie rzeczywistość wirtualna miesza się z realną. Szkolący się żołnierze i ich sprzęt są „wpięci” w ten system, a oprogramowanie, które jest z nim zintegrowane, symuluje realne parametry amunicji, toru jej lotu, oporów powietrza itd. Możemy również na poligonie „dodać” do scenariusza wirtualne jednostki, np. na skrzydłach ćwiczących

formacji, tak aby „pogłębić” sytuację operacyjną, wzmocnić efekt dodatkowej artylerii, utrudnić działania żołnierzom i konfrontować ich z nieoczekiwanymi zwrotami akcji. Tutaj już nie ma umowy szkolenia, a dzięki tak nowoczesnemu systemowi możemy symulować walki z konkretnym przeciwnikiem. W bazie Centrum Szkolenia Bojowego powstaną jednostki wcielające się w konkretnego przeciwnika – tzw. OPFOR (Opposing Force), które będą zgłębiać jego taktykę i sposób walki, aby nadać ćwiczeniom charakter dwustronny i możliwie realistyczny. Miałem okazję obserwować ćwiczenia naszej 12. Brygady Zmechanizowanej w takim właśnie amerykańskim ośrodku szkolenia poligonowego w Bawarii. Realizm szkolenia przekładał się w sposób widoczny na zaangażowanie i przeżywanie tego ćwiczenia przez naszych żołnierzy. Co więcej, uzyskane dzięki takiemu cyfrowemu poligonowi dane umożliwiły analizę zdolności naszych wojsk i wesprą właściwe decyzje o kierunkach ich reform i rozwoju. Wesprą więc decyzje MON.

Mówi pan do tej pory o harmonijnej współpracy polsko-amerykańskiej, jednak, jak udało mi się ustalić, nie wszystko i nie zawsze wygląda tak różowo. Ot, choćby między Departamentem Obrony a MON trwa obecnie spór o lokalizację bazy pancerniej brygady zespołu bojowego. My chcemy Nową Dębę, Amerykanie bliższą granicy z Niemcami i znany im Żagań.

To, że jesteśmy bliskimi sojusznikami, nie znaczy, że musimy się we wszystkim zgadzać. Naturalne jest, że nasze interesy nie zawsze są identyczne. Czasami także nasza percepcja jest odmienna. To dobrze, że potrafimy się „docierać” w, czasami trudnych, dyskusjach. Taka postawa, o ile jest oparta na uczciwym podejściu do partnera, rodzi jego szacunek. Jeśli chodzi o lokalację tej jednostki, to żadne ostateczne decyzje jeszcze nie zapadły. Nie chciałbym komentować żadnych konkretnych w tej sprawie. Nasze propozycje wobec Amerykanów oparte są na silnych argumentach pod względem operacyjnym, infrastrukturalnym i szkoleniowym.

Przejdźmy do rozmowy bezpośredniej o polskiej armii. Jak długodystansowo rozbudowywać jej samodzielną potencjał bojowy? Luk, jak wiemy, jest wiele.

Jestem zdania, że aby budować efektywne siły zbrojne, Polska powinna wykorzystać swoje położenie, a także

postępy technologiczne, które umożliwiają obecnie mniejszym państwom ekonomicznie i skutecznie stawiać czoła ofensywnym zamiarom większych agresorów. Chodzi o budowę czegoś, co nazywamy systemem antydostępowym. Jednocześnie należy mieć zdolność, poprzez zasięg i precyzję, do zadania uderzeń, które będą dla przeciwnika nieakceptowalne pod względem wrażliwości celów. Duża część działań MON w ostatnim czasie wpisuje się w tę filozofię. To m.in. powstanie Wojsk Obrony Terytorialnej, wzmacnianie siły i zasięgu rażenia poprzez rozbudowę nowoczesnej artylerii raketowej i lufowej, modernizacja obrony powietrznej i przeciwlotniczej. Myśli się także o rozbudowie zdolności inżynierskich i saperskich, co widać choćby przez pryzmat planów rozwoju 18. Dywizji Zmechanizowanej.

Czy wiadomo już coś więcej na temat precyzyjnych umów na zakup F-35?

Na tę chwilę, jak wiemy, minister Błaszczak przewiduje zakup 32 sztuk myśliwców, to równowartość dwóch eskadr. Minister Błaszczak zlecił jednocześnie opracowanie w przyspieszonym trybie 15-letniego planu modernizacji sił zbrojnych, co dzięki wydłużeniu perspektywy planistycznej dopiero pozwoli właściwie zbilansować wszystkie potrzeby i zarządzać wszystkimi kluczowymi programami uzbrojenia.

A czy w tym planie jest miejsce i czy pana zdaniem jest sens, aby rozwijać stare elementy uzbrojenia? Mowa choćby o zapowiadanej przez premiera Mateusza Morawieckiego modernizacji czołgów T-72.

Można oczywiście dyskutować o niuansach tej decyzji, o szczegółach modernizacji, ale zgadzam się z jej zasadniczym kierunkiem. Jest to w pewnej mierze pokłosie rekomendacji Strategicznego Przeglądu Obronnego, podczas którego poszukiwaliśmy różnych efektywnych kosztowo możliwości zwiększenia potencjału przeciwpancernego i wsparcia ogniowego wojsk lądowych. Zmodernizowane T-72 to oczywiście nie jest czołówka światowa, ale jest to rozwiązanie pomostowe, które przy odpowiednio zmodernizowanej amunicji umożliwia zwalczanie gros czołgów potencjalnego przeciwnika. W działaniach obronnych oprócz parametrów technicznych liczą się także: poziom wyszkolenia jednostek, znajomość i wykorzystanie terenu, które mogą działać na naszą korzyść.

Piękna dziewczyna o szlachetnym sercu, niemożliwa miłość w XIX w., w Imperium Rosyjskim, gdzie wciąż obowiązuje podział na panów i zależnych od ich kaprysów pańszczyźnianych chłopów. Tak w skrócie można streścić fabułę telewizyjnego hitu tych wakacji.

Emitowany od 1 lipca w TVP1 ukraiński serial „Zniewolona” bije rekordy oglądalności. „Pękły 3 miliony!!! Rekordowa widownia 27. odcinka »Zniewolonej«. Serial ciągle rośnie. To już zjawisko” – emocjonował się na Twitterze prezes TVP Jacek Kurski, załączając swoim zwyczajem wykres oglądalności.

TRAFIONY ZAKUP CZY PRZYPADEK?

Zniewolona to opowieść o Katierinie Wierbickiej (w tej roli Katierina Kowalczuk), pańszczyźnianej chłopce, którą na panienkę władającą językami, grającą na fortepianie i potrafiącą zachować się na salonach wychowała szlachcianka Anna Czerwińska. Jej mąż Piotr Czerwiński, jeden z najbogatszych panów w okolicach Nieżyn, gdzie toczy się akcja serialu, jest pozbawiony skrupułów. Nie podoba mu się przywiązanie żony do Katieriny, a jej samej dobitnie pokazuje, że jest jego własnością.

W tle jest rodzinna tajemnica. Katierina zastanawia się, dlaczego to ją Czerwińska wzięła na wychowanie. Pojawia się też gorące uczucie. Tyle że Piotr Czerwiński ani myśli oddać rękę swojej poddanej. Młodemu paniczowi proponuje, by odkupił od niego Katierinę.

Z odcinka na odcinek ukraińską produkcję śledziło coraz więcej widzów. W pierwszym tygodniu emisji przed telewizorami zasiadło 1,23 mln z nich. TVP, zachęcona wynikami, zdecydowała, że od drugiego tygodnia serial będzie emitowany nie trzy razy w tygodniu, a sześć. Oglądalność skoczyła do 1,79 mln, w trzecim i czwartym tygodniu przekroczyła 2 mln.

Od 3 sierpnia TVP emituje drugi sezon ukraińskiej telenoweli. Wcześniej niż na Ukrainie, gdzie będzie można go zobaczyć dopiero we wrześniu. Tam nie odniósł takiego sukcesu jak nad Wisłą. – „Zniewolona” to nasza bardzo trafna decyzja zakupowa. Produkcja notuje fantastyczne wyniki oglądalności, które rosną wręcz z dnia na dzień. W tej chwili serial ogląda już grubo ponad 3 mln widzów, a pod koniec wakacji pewnie dobijemy do 3,5 mln – stwierdził w rozmowie z portalem WirtualneMedia.pl Kurski.



Zniewoleni



Agnieszka Niewińska

Widzowie TVP oszaleli na punkcie serialu „Zniewolona”. Nowe sezony mają u nas premiery szybciej niż na Ukrainie

Wojciech Krzyżaniak, specjalista ds. mediów, autor Onet.pl i twórca bloga wTelewizji.pl, jest zdania, że nie ma prostego przepisu na telewizyjny przebój. – Nie wystarczy zaproponować widzom telenowelę w rodzaju legendarnej „Niewolnicy Isaury”, by mieć hit. To jest bardziej skomplikowany proces. Szefowie telewizyjnych ramówek, odpowiedzialni za контент i produkcję nowych programów, w rozmowach ze mną wielokrotnie podkreślali, że w wykreowaniu telewizyjnego przeboju pomagają doświadczenie zawodowe, znajomość rynku, gustów widzów. To wszystko prawda, ale czasami tym, czy coś stanie się hitem, rządzi przypadek. Tyle że po fakcie mało kto chce się do tego przyznać – mówi.

NIE TYLKO STARSI OGLĄDAJĄ

Sam jest zdania, że „Zniewolona” stała się hitem trochę przez przypadek. – Gdyby TVP spodziewała się takiej popular-

ności tego serialu, nie emitowałaby go w wakacje, tylko umieściła go w jesiennej ramówce – zauważa. – Prezes Kurski chwali się w swoich tweetach trzymilionową widownią, ale pomija fakt, że „Zniewolona” nie ma konkurencji. Latem na małym ekranie królują powtórki. Przyznaje jednak, że jest to sukces TVP. Żadna inna telewizja nie wpadła na pomysł emitowania nowej produkcji w wakacje. To też trzeba umieć zrobić – podkreśla Krzyżaniak. I zauważa, że brak konkurencji to niejedyny z powodów popularności „Zniewolonej”. Polskiego widza pociągają produkcje kostiumowe, a ta jest zrobiona z rozmachem. Jej budżet idzie w miliony. – Rodzime seriale kostiumowe są dużo biedniejsze, więc i efekt jest skromniejszy. Poza tym „Zniewolona” to pełna emocji opowieść o miłości, namietności. Ukraińcy czy Rosjanie nie boją się pokazywania na ekranie uczuć, opowiadania o miłości.



subskrypcją. Gdyby głośny „Czarnobyl” wyprodukowany przez HBO pokazać w telewizji, też nie miałby takiej oglądalności jak „Zniewolona” – przewiduje.

NAJPIERW BYŁ PAŁAC SULEJMANA

Podobnym zjawiskiem do „Zniewolonej” kilka lat temu okazały się produkcje tureckie. „Wspaniałe stulecie”, opowiadające o życiu na dworze Sulejmana Wspaniałego, w TVP zadebiutowało w listopadzie 2014 r. Szybko zgromadziło dwumilionową widownię. Serial zadziwił egzotyką, nakręcono go z przepychem. Nie brakowało pozłacanych pałacowych sal, przyciągających oko kostiumów. Były intrygi, emocje, namiętności. TVP nie tylko emitowała kolejne odsłony „Wspaniałego stulecia” wraz z powtórkami na różnych kanałach, lecz także sięgnęła po inne tureckie produkcje: „Imperium miłości”, „Sezon na miłość”, „Rozdarte serca”.

– Obawiam się, że w TVP powtórzy się historia z tureckimi serialami. Zachęcony sukcesem „Zniewolonej” prezes Kurski pójdzie teraz za ciosem i zacznie wykupywać ukraińskie produkcje. W większości są one gorsze zarówno od „Zniewolonej”, tureckich tasiemców, jak i ukraińskich kryminałów kręconych w koprodukcji z Rosjanami – ostrzega Krzyżaniak.

Na razie jednak trwa szal wokół „Zniewolonej”. Portale plotkarskie podają kolejne informacje, szczegóły z prywatnego życia nieznanych dotąd w Polsce aktorów ukraińskiego hitu.

Instagramowy wpis odtwórczyni głównej roli – Katieriny Kowalczuk – obiegi nie tylko plotkarskie media, lecz także te poważniejsze. „Polsko, jesteś szalona! Cieszę się z waszej wielkiej energii. Nie mam słów, żeby wyrazić, jak bardzo jestem wdzięczna. I jak się cieszę, że lubicie serial. Codziennie otrzymuję mnóstwo wiadomości, a najlepsza to: »Zniewolona« łączy ludzi! Po prostu to uwielbiam! Dlatego postanowiłam zrobić wam niespodziankę. Powiem wam wkrótce” – napisała Kowalczuk, a w sieci zaczęto spekulować na temat jej przyjazdu do Polski. Już pojawiły się doniesienia, że może pojawić się jesienią na konferencji ramówkowej TVP. Niewykluczone jednak, że chodzi o coś innego. „Zniewolona” to dwa sezony, których emisja niebawem się zakończy. Czyżby ukraińscy producenci, zachęceni sukcesem odniesionym nad Wisłą, zdecydowali się na opowiedzenie dalszych losów Katieriny?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Tymczasem polscy producenci wstydzą się mówienia o uczuciach wprost. Nawet niedawna produkcja TVP „Stulecie Winnych” była raczej opowieścią o polskiej historii i miłości do ojczyzny niż o ludzkich o namiętnościach. Fakt niegdyśszej popularności „Trędowatej” Mniszkówny też przyjmujemy ze wstydem. A przecież to opowieści o miłości, namiętności, emocjach przyciągają przed telewizory największą liczbę widzów. Podobna prawidłowość dotyczy literatury – wskazuje Krzyżaniak.

Wystarczy zerknąć na fanpage’ę serialu, które w krótkim czasie od premiery pojawiły się w sieci. Widzowie dyskutują o losie Katieriny, ślą gromy na czarne charaktery tej filmowej opowieści, prowadzą rozmowy na temat historycznych realiów XIX-wiecznej Rosji. Dzieli się zdjęciami aktorów serialu, udostępniają filmy z ich występami w ukraińskim „Tańcu z gwiazdami” i przypominają o tym, by zasiąść przed telewizorem o odpowiedniej porze. „Ten odcinek był jak cios w serce” – żaliła się na fanpage’u „Zniewolonej” jego administratorka, kiedy TVP wyemitowała ostatnią część pierwszego sezonu. „Traktowanie Katii było karygodne. Najpierw jak rzecz wystawiona została na sprzedaż,

a od teraz będzie poniżana, bita i poniewierana” – pisała z zaangażowaniem i nawoływała do kierowania się w życiu dobrem.

– Serial tak wciągnął moją mamę, że staram się jej nie odwiedzać ani nie dzwonić w godzinach emisji, bo wpatrzona w ekran telewizora w ogóle nie słucha, co do niej mówię – opowiada Katarzyna, 35-latką z Warszawy. – Myślę, że to produkcja, która trafia w gusta starszych widzów i jest dla nich wakacyjną rozrywką.

Wojciech Krzyżaniak przestrzega jednak przed pochopnymi ocenami widowni „Zniewolonej”. – Chociaż serial gromadzi głównie osoby w wieku więcej niż średnim, to zainteresował także młodszych widzów. Kiedy opublikowałem artykuł na temat „Zniewolonej”, swoje spostrzeżenia przesłało mi wielu czytelników. I wcale nie były to starsze panie – ujawnia. – Serial ogląda wielu młodych, zwłaszcza kobiety. To mit, że Polacy już nie oglądają telewizji, tylko śledzą serie na platformach typu Netflix czy HBO. Produkcje Netflix’a wciąż nie mają u nas takiej oglądalności jak choćby „Zniewolona”, która jednocześnie gromadzi przed telewizorami trzymilionową widownię. I nie chodzi tylko o kwestię związaną z płatną

Nie ma w „Zniewolonej” akcentów niemiłych Polakom, co odróżnia ją od innych historycznych produkcji rosyjskich i ukraińskich

Być może przez przypadek tylko „najczarniejsze charaktery” serialu, ojciec (rozpustnik i bezwzględny gnębiciel chłopów) oraz syn (tchórz, morfinista i zabójca męża zniewolonej Katii), noszą nazwiska polskiej rodziny szlacheckiej Czerwińskich. Prawdziwi Czerwińscy to ród szlachty polskiej herbu Lubicz z podkową srebrną i dwoma krzyżami w polu błękitnym oraz strusimi piórami w klejnocie. Był to herb wielu rodów polskich m.in. Żółkiewskich na Rusi.

Akcja serialu toczy się w połowie XIX w. w dawnym Księstwie Czernihowskim, które okresowo należało do Litwy i Korony Polskiej, ale odpadło od Rzeczypospolitej już w XVII w. i stało się gubernią rosyjską. Ta do 1793 r. pozostawała w bezpośrednim sąsiedztwie Polski, oddzielona granicą na Dnieprze zaledwie 60 lat przed akcją serialu.

Po 1795 r. szlachta polska zarówno na Litwie, jak i w tzw. guberniach polskich zachowała majątki po złożeniu przysięgi wierności i udowodnieniu swego szlachectwa za pomocą dokumentów, co tak bardzo zirykowało bohaterów „Pana Tadeusza” i zapewne samego Adama Mickiewicza (zob. Księga IV „Dyplomatyka i łowy”). Wielu spośród polskiej szlachty na Litwie i na Ukrainie zachowało polskość, inni uznali się za Rosjan, m.in. targowiczanie Stanisław Szczepny Potocki czy archetyp renegata mjr Płut.

Nietrudno byłoby zatem przypisać serialowym Czerwińskim polskie pochodzenie. Gdyby więc autorem scenariu-



FOT. MATERIAL PRASOWE

sza był ktoś w rodzaju Fiodora Dostojewskiego cierpiącego na atawistyczną wrogość wobec Polaków, z pewnością w kolejnych odcinkach, obok niegodziwości negatywnych bohaterów, wyszłoby na jaw również ich rzekome polskie pochodzenie. Wkrótce wybuchnie jednak przecież powstanie 1863 r. Czerwińscy mogliby do wszelkich swych niegodziwości dorzucić największą w oczach caratu – udział w powstaniu, czyli zdradę w rodzaju tej, którą „popełnił” nasz bohater narodowy Romuald Traugutt. Wierzę, że tym razem akcja serialu ustrzeże się przed antypolskimi stereotypami i serial da się dalej oglądać.

Chłopi z serialu budzą sympatię i litość. W rzeczy-

wistości ich los był gorszy, a w XIX w. wręcz tragiczny. Walcząc w XVII w. przeciw Polsce i poddając się Moskwie, dostali się z deszczu pod rynnę. Wbrew propagandzie sukcesu głoszonej na zachodzie Europy w okresie reform podejmowanych w Rosji w XIX w., od czasów Mikołaja I aż do końca panowania Aleksandra III, jak zauważył naoczny świadek – pewien Amerykanin – cytowany przez Jana Kucharzewskiego, chłop w 1892 r. wyglądał tak samo jak w latach 50., tj. w czasach akcji serialu: „chłopi ze swymi baraniami kozuchami, równo ostrzyżonymi włosami i bezmyślnymi twarzami” byli takim samym obrazem systemu ucisku jak przed reformą Aleksandra II.

O nędzy chłopów w Rosji Jan Kucharzewski pisał w swej książce „Od białego caratu do czerwonego”, że w latach nieurodzaju, a te w XIX w. powtarzały się dość regularnie, głód szerzył się jak zaraza. Sami rosyjscy ziemianie raportowali, że chłopską strawę stanowiły: żołądźcie, kora drzewna i trawa bagienna.

Okrucieństwo i rozpusta przedstawione w serialu nie są przerysowane. Rzeczywistość była dużo gorsza. Podretuszowana cepeliowska wizja chaty chłopskiej nijak ma się do rzeczywistości. Brud w izbie, sterta śmieci, a na nich niemowlę, wilgotne ściany, ciasnota, kozuch i słoma, a do spania piec lub ława, żadnych łóżek, żadnej pościeli – to prawdziwy obraz chłopskiej chaty, a nie wykreślona pościel, na której w zupełnie przyzwoitym łóżu miała odpoczywać Katia przygarnięta przez życzliwych chłopów.

Mitem było przekonanie o przywiązaniu chłopów do cara i wiary prawosławnej oraz to, że jakoby chłop, mimo nędzy, uznawał pokornie, że „im pan surowszy, tym chłopu przyjemniej”. Tego rodzaju mity wkrótce zweryfikowały wydarzenia lat 1905 i 1917. Jednak w 1920 r. wola niepodległości i pragnienie wolności ludu ukraińskiego okazały się mało przekonujące, a poparcie dla Symona Petlury nikłe. Okres niewolnictwa odcisnął zbyt duże piętno na tym nieszczęsnym narodzie, by mógł nie poddać się miazmatom bolszewizmu ze znanym skutkiem – potwornym głodem na Ukrainie w latach 30. ubiegłego wieku. „Absolutna niewola rodzi absolutny bunt” – pisał Jan Kucharzewski, bunt często ślepy i nie zawsze kierowany pod właściwym adresem. Czym jednak wytłumaczyć niesłychane bestialstwo zbrodni wołyńskiej w 1943 r., mimo że lud ten w II Rzeczypospolitej głodu nie zaznał? ©©

Romuald Kmiecik

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



- Eksplozja na Kilińskiego
- Wstrząsający wywiad z żołnierzem AK
- Dodatek specjalny na 75. Rocznicę Powstania '44



Reynald Secher – **Wolność, równość, ludobójstwo**

Piotr Semka – **Męczeństwo Ludwika XVI**

Marcin Bartnicki – **Rebelia w Wandei**

Piotr Zychowicz – **Jak Węgrzy ratowali Polaków na Wołyniu**

Tomasz Stańczyk – **Niesamowite wyczyny lotników II RP**

Yunte Huang – **Szokująca historia braci syjamskich**

Marian Zacharski – **Gestapo porywa oficera Abwehry**

Sławomir Cenckiewicz – **Zwalczać bolszewizm!**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

Książki o Eraście Fandorinie doczekały się już ekranizacji. Na zdjęciu: aktor Oleg Mieńszykow w „Radcy stanu” FOT. ITAR-TASS/PAP

Koniec świata nastąpił



Piotr Gociek

„Nie żegnam się” zamyka cykl powieści kryminalnych retro Borisa Akunina o Rosji – kraju, który „chce zamienić niedobrą przeszłość na okropną przyszłość”

Zawsze zastanawiałem się, czy Borisowi Akuninowi wystarczy sił i ochoty na doprowadzenie przygód Erasta Fandorina aż do czasów rewolucji bolszewickiej w Rosji. Ta apokalipsa majaczyła na horyzoncie historii w poprzednich książkach. Fandorin, nie kryjąc rozczarowania różnymi patologiami carskiej Rosji, jednocześnie z wielkim niepokojem spoglądał w przyszłość. Dostrzegał zwiastuny nadchodzącej burzy, choć nie wiedział jeszcze, jak przerażający kształt przybierze nowoczesność.

Poznaliśmy go w roku 2003, pięć lat po rosyjskiej premierze pierwszej powieści cyklu („Azazel”). Książka „Nie żegnam się” jest 16. tomem cyklu, przy czym dwa z nich były tomami opowiadań („Nefrytowy różaniec” i „Planeta Woda”). Zamierzenia Akunina (pseudonim Grigorija Czchar-tiszwilliego, tłumacza i wybornego znawcy literatury) były ambitne, ale wszystko udało się nadspodziewanie. Pisarz marzył o wypełnieniu na rosyjskim rynku luki między brukową literaturą produkowaną masowo przez niespecjalnie utalentowanych, acz pracowitych twórców a literaturą tzw. wysoką, dostrzeganą przez jurorów prestiżowych nagród literackich i profesorów uniwersyteckich, ale niespecjalnie zauważaną przez czytelników.

Efekt jest imponujący: Fandorin jest dziś prawdziwym popkulturowym fenomenem, a miłośnicy książek o jego przygodach żyją w wielu krajach świata. „Azazel” doczekał się wersji serialowej, powieści „Gambit turecki” i „Radca stanu” zekranizowano jako filmy kinowe (w tym ostatnim Fandorina grał Oleg Mieńszykow). Najnowszą, tegoroczną adaptacją jest „Dekorator”, szykują się i inne przedsięwzięcia.

ROSYJSKI SHERLOCK HOLMES

Gdy po raz pierwszy wkroczył na scenę, nie robił wielkiego wrażenia. W pierwszym rozdziale „Azazela” ujrzeliśmy „kancelistę, urzędnika czternastej klasy, Erasta Pietrowicza Fandorina, po raz trzeci przepisującego tygodniowy raport dla oberpolicmajstra”. Początkowo nic nie wskazywało, by był to materiał na dobrego śledczego. „Sumienny, pisze jak należy, zna języki, jest rozgarnięty, a nawet miły w obejściu”, ale „za subtelny, za delikatnie chowany”, przebywając pierwszy raz na miejscu zbrodni, „ledwo spojrzał na zabity, zzieleniał cały i trzymając się ściany, prędko, prędko – na podwórce”.

Fandorin jednak szybko się uczył, okazywał nadzwyczajną bystrość oraz inteligencję i – co ważne (ale niekoniecznie zyskowne w rosyjskim cesarstwie) – zachowywał niezachwiany pion moralny. Budził wściekłość wojskowych zupaków i policyjnych pieczeniarczy, ale awansował (aż do stanowiska radcy dworu) i dobrze służył państwu – jak długo chciało z jego usług korzystać. Nie było to państwo jego marzeń, ale będąc szczerym patriotą, Erast potrafił dla dobra wspólnego odłożyć prywatne poglądy, często mocno krytyczne wobec carskiej rzeczywistości.

Akunin skroił Fandorina na kształt rosyjskiego Sherlocka Holmesa. Z oryginałem łączą go zdolność dedukcji, upór i pewność siebie. Jego Watsonem jest japoński służący Masa, który służy zarówno jako element komiczny, jak i jako nieoceniona pomoc podczas rozwiązywania kryminalnych zagadek. Są i oczywiste różnice. Erast Pietrowicz jest głęboko zafascynowany Japonią i sztuką zen (podobnie jak jego twórca, czyli sam Akunin), jest bez wątpienia bardziej od Holmesa sentymentalny i bardziej kochliwy, choć szczęścia do kobiet niestety nie ma. Sherlock Holmes to przede wszystkim inicjatywa prywatna, Fandorin przez większość cyklu reprezentuje aparat państwowy – nie mogło być inaczej, skoro ten pierwszy jest obywatelem indywidualistycznego imperium bujnie rozwijającego się kapitalizmu, a drugi jest podwładnym cara-samodzierży.

PRZEZ SKRWAWIONE ZIEMIE

Pięć lat temu wydawało się, że podróż Fandorina dobiega kresu. Nie tylko ja byłem o tym przekonany (patrz choćby recenzja w „Wyborczej” pióra Jacka Szczerby zatytułowana „Czarne miasto – nowa i ostatnia książka o przygodach Fandorina”). Rozgrywająca się w 1914 r. opowieść o łowach na niebezpiecznego terrorystę-rewolucjonistę ukrywającego się w Baku kończyła się ponurą sceną: bandzior pakuje Fandorinowi kulę w łeb. Skoro jednak zza grobu (a właściwie z otchłani wodospadu Reichenbach) mógł powrócić Sherlock Holmes, to i Erast Pietrowicz dał radę. Wrócił w ponurej chwili: Rosję rozdziera wojna domowa, bolszewicy cementują swą władzę nad największymi miastami, ale zreorganizowana i wspierana dostawami z Zachodu armia białych bliska jest odwrócenia losów wojny.

„Nie żegnam się” opowiada o odysei Fandorina przez skrwawione ziemie

i skrojona jest tak, by mógł ujrzeć, jaką przyszłość szykują Rosji zwalczające się grupy. Kolejne części książki noszą odpowiednio tytuły: „Czarna prawda”, „Czerwona prawda”, „Zielona prawda” i „Biała prawda”. Pierwsza pokazuje życie codzienne komuny anarchistów, którzy rywalizowali wówczas z bolszewikami o rząd dusz i oprócz quasi-państwa Nestora Machno zarządzali także enklawami w miastach. Druga to rzecz o bolszewikach i ich metodach, trzecia, najbardziej chyba zaskakująca dla czytelnika mniej obeznanego z historią, to opowieść o agrarystach-totalitarystach (była i taka odmiana anarchizmu), wśród których dobrze czułby się sędziwy Lew Tołstoj. Ostatnia to już historia z terytoriów kontrolowanych przez białogwardystów, w tej części łączą się wątki rozpoczęte wcześniej (wraz z najważniejszym – szpiegowskim).

Wnioski z podróży nie są wesołe. Niezależnie od tego, jaką opcję reprezentują chwilowi władcy poszczególnych fragmentów rozrywanego na kawałki imperium, przyszłość rysuje się w ciemnych barwach. Fandorin chce więc porzucić ojczyznę: „Wydostać się z kraju, który chce zamienić niedobrą przeszłość na okropną przyszłość. Nie mogę nic zrobić, ale nie chcę obserwować tego procesu”. Szlachetny Fandorin nie byłby jednak sobą, gdyby w pewnym momencie nie zaangażował się w wydarzenia. Mocno podkreślić trzeba jednak, że nie czyni tego „za”, lecz „przeciw”. Jak objaśnia: „Nie pragnę, żeby Rosja stała się brązowa” (to jeszcze nie czasy faszystów i Hitlera, metafora Fandorina jest dosadna, bo rodem z wychodka). Jednocześnie Fandorin nie ma złudzeń, że nadejście ciężkich czasów było nieuniknione: „Rewolucja wybuchła właśnie dlatego, że w dniu wczorajszym Rosji działo się źle”. A przyszłość? Ech, szkoda gadać...

PO TRAGEDII, PRZED KATASTROFĄ

Jak zwykle u Akunina z talentem do pisania dialogów i obmyślenia intryg idzie w parze dobre oko do historycznych detali, panorama wstrząsanej przedsierniowymi konwulsjami Rosji namalowana jest świetnie. Nałogowo czytam historyczne opracowania na temat czasów rewolucji rosyjskiej i wczesnej historii Związku Sowieckiego,

a mimo to co chwila zaskakiwał mnie jakiś szczegół. Jednocześnie unikatowy klimat książki nadaje to, że jest to historyczna (choć popkulturowa) fotografia momentu zawieszenia: jesteśmy już po tragedii, którą było przechwycenie władzy przez bolszewików, ale przed ostateczną katastrofą, jaką okaże się zbudowanie zbrodniczego czerwonego imperium. W tej krótkiej chwili wciąż wszystko wydaje się możliwe, Nike waha się, zwrotnice historii zastygły w położeniu niekierującym jeszcze na żaden z torów.

Takie podejście do pielęgnowanego pod rządami Władimira Putina mitu założycielskiego współczesnej Rosji (dyktatorskiej jak imperium carów, ale pielęgnującej pamięć o „historycznych sukcesach” Lenina i Stalina) oczywiście nie przysparza Akuninowi sojuszników. Obrzucany jest w ojczyźnie epitetami takimi jak „liberal” czy „zapadnik”. Paweł Basiński (znany i w Polsce z dwóch książek o Lwie Tołstoju) nazwał Akunina „stuprocentowym człowiekiem Zachodu”. Krytyka się wzmogła, gdy twórca przygód Akunina opublikował pod własnym nazwiskiem pięciotomową (jak dotąd) popularną „Historię państwa rosyjskiego”. Historyk Igor Danilewski nazwał ją pogardliwie „historią ludową”, pisaną „przez amatora dla amatorów”. Żadna to nowina, we współczesnej Rosji tak właśnie zbywa się książki niewygodne dla władzy, podważające oficjalną, Putinowską wykładnię dziejów.

W powieści „Nie żegnam się” ta pasja historyka chwilami przeważa nad „starym” Akuninem gawędziarzem. W efekcie lektura dłuży się momentami, zwłaszcza gdy przypomnimy sobie, jak skondensowanymi, „szybkimi” kryminałami retro były pierwsze tomy serii. Tom ostatni

liczy dwa razy więcej stron od tomu pierwszego. Ci, którzy wcześniej nie zaznajomili się z żadną częścią cyklu, mogą poczuć się zagubieni, bo Akunin zamyka wątki, które rozpoczęł wiele lat temu. To jednak wciąż wymienita robota. Cykl o Eraście Fandorinie przynależy do panteonu kryminalnych serii ostatniego stulecia, nic tego nie zmienia. A jej twórca, Grigorij Czchartiszwilli, ledwie przekroczył sześćdziesiątkę. Jestem niezmiernie ciekaw, co jeszcze ma dla nas w zanadru.



★★★★★
BORIS AKUNIN
„NIE ŻEGNAM
SIĘ”
ŚWIAT KSIĄŻKI
2019



Wiesław Chetminiak

Fortuna okrutnie zakpiła sobie z Alfonsa Muchy. Chciał zostać duchowym przewodnikiem narodu, Matejką Słowiańszczyzny. Przeszedł do historii jako fenomenalny ilustrator i współtwórca kosmopolitycznego stylu belle époque

Gdyby urodził się w Polsce, pewnie mówiono by o nim: „pierwszorzędny artysta drugorzędny”. Osiągnął bowiem sukces, uprawiając lekceważoną przez mądrali sztukę dekoracyjną. Alfons Maria Mucha był designerem totalnym: projektował meble, suknie, biżuterię, witraże, afisze i programy teatralne, restauracyjne menu, talerze i sztuce, etykiety, tapety, pocztówki, winiety czasopism, drukowane na jedwabiu panele. Branża reklamowa powinna mu postawić pomnik za odkrycie, że plakat z urodziwą dziewczyną w aureoli z kwiatów zwiększa sprzedaż każdego produktu. Nawet szkodliwego dla zdrowia.

KSIAŻĘ NA HUŚTAWCE

W marcu 1939 r. Niemcy wkraczali do Pragi z gotową listą czeskich luminarzy, których należy objąć szczególnym nadzorem. Figurował na niej również twórca „Apoteozy Słowian”. Wstępne przesłuchanie okazało się jednak ostatnim. Gestapowcy, zorientowawszy się w stanie zdrowia artysty, postanowili dać mu spokój. Mucha zmarł 14 lipca, 10 dni przed 79. urodzinami. Kościół odmówił masonowi chrześcijańskiego pochówku, lecz mimo to (i mimo wydanego przez okupantów zakazu zgromadzeń) na wyszehradzkim cmentarzu zasłużonych zebrał się wielotysięczny tłum. Nie opłakiwał wybitnego rodaka, lecz utracone państwo.

Żywego Muchę Czesi traktowali z szacunkiem podszytym obojętnością. Za dużo czasu spędził za granicą. Owszem, zaprojektował godło, banknoty i znaczki republiki, nowe witraże w katedrze św. Wita, jego patriotyczne malowidła wystawiano w siedzibie prezydenta

Czech, który zdobył Paryż



Czechosłowacji. Historiozoficzne ciążoty mistrza kwitowano jednak wzruszeniem ramion, jego słowianofilstwo zaś drażniło elity, które przyszłość kraju widziały w ścisłych związkach z Zachodem. Ich zdaniem racja stanu wymagała odjęcia się od „zacofanych” pobratymców ze wschodu i południa (włączając w to Polaków).

Im pan Alfons był starszy, tym bardziej ambitne cele przed sobą stawiał. Pod koniec życia marzyły mu się dzieła drogowskazy dla zagubionej ludzkości.

Szkicował tryptyk, na który składać się miały „Wiek miłości”, „Wiek mądrości” i „Wiek rozumu”. Niestety, jego wyobrażenia utknęły w epoce art nouveau. W oczach krytyków, kibicujących awangardzie, „książę plakacistów” był postacią anachroniczną, heroldem estetyki, która bezpowrotnie przeminęła.

W komunistycznej Czechosłowacji Mucha, jako twórca schlebający burżujskim gustom, stał się persona non grata. Jego syna, cenionego pisarza, poddano reedukacji przez pracę w kopalni uranu.



Z lewej: „Słowianie w swojej kolebce” – pierwszy obraz z cyklu „Epopeja słowiańska”. Po prawej: „Taniec” z 1898 r.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



du Luxembourg odnotowała rekordową frekwencję – 342 tys. sprzedanych biletów. W lipcu w Japonii wystartowała objazdowa ekspozycja „Mucha ponadczasowy”. Jej kuratorzy twierdzą, że dzieła czeskiego artysty zainspirowały rockową psychodelię i twórców mangi. Popularność „księcia plakacistów” na Dalekim Wschodzie spotęgowały wcześniejsze wystawy w Chinach, Korei Południowej i na Tajwanie. Wśród zwiedzających praskie muzeum Azjaci już od dawna stanowią większość.

Z BRZYTWĄ NA ULICĘ

Mucha, katolik z południowych Moraw, najmłodszy syn woźnego sądowego, był kiepskim uczniem. Dwa razy powtarzał klasę. Kiedy nie dostał się na praską akademię i stracił pracę malarza teatralnych dekoracji w Wiedniu, pomocną dłoń podał mu krajan, hrabia Khuen-Bellasi. Za jego pieniądze Alfons mógł wyjechać do Monachium, by studiować w tamtejszej ASP, i do Paryża. Nie znał wtedy ani słowa po francusku, co nie przeszkadzało mu w prowadzeniu intensywnego życia towarzyskiego. Do roboty wziął się dopiero wtedy, gdy hrabia przestał wypłacać mu stypendium.

Początkowo nie szło mu najlepiej, choć przyjmował każde zlecenie. Przełomem okazał się afisz reklamujący spektakl „Gismonda” z Sarą Bernhardt. Zbliżało się Boże Narodzenie, najlepsi ilustratorzy

„Epopeję słowiańską” zestawiano zaś na głęboką prowincję. Tymczasem na Zachodzie pamięć o paryskiej cyganerii przełomu stuleci pozostała żywa. Żadna większa ekspozycja o belle époque nie mogła się obyć bez zaprojektowanych przez Czecha afiszy.

Mucha okazał się też jednym z głównych beneficjentów mody na secesję, która wybuchła w latach 70. XX w. W sklepach pojawiły się kalendarze z wizerunkami kobiet sfinksów oraz gadżety wyprodukowane na wzór i podobień-

stwo przedmiotów zdobiących wnętrza salonów doby fin de siècle’u. Muzeum Muchy, otwarte w 1998 r., rychło stało się największą turystyczną atrakcją Pragi, jego grafiki zaś przedmiotem pożądania kolekcjonerów. Tenista Ivan Lendl kilka lat temu sprzedał swój zbiór 116 oryginalnych plakatów za 3,5 mln dol.

Ich autor należy dziś do ekskluzywnego grona klasyków, których prace wystawia się, nie czekając na jubileusze i okrągłe rocznice. Zeszłoroczna retrospektywa Muchy w paryskim Musée

■ wyjechali lub świętowali z rodzinami, plakat zaś musiał być rozlepiony najpóźniej w sylwestrowy wieczór. Pod ręką był tylko Mucha, który zamiast tradycyjnego, kwadratowego anonsu zaproponował długi, wąski prostokąt, w którym zmieściła się cała postać aktorki i niewiele więcej. Afisz, zwracający uwagę kolorem i „bizantyjskim” detałem, spodobał się boskiej Sarze i paryżanom. Kolekcjonerzy, uzbrojeni w brzytwy, beczelnie wycinali go ze słupów ogłoszeniowych.

Dla Czecha zaczęły się tłuste lata. Podbić francuską stolicę znaczyło bowiem w tamtej epoce tyle, co podbić cały świat. Bernhardt podpisała z nim sześćioletni kontrakt. Mucha projektował plakaty, kostiumy i scenografię do jej spektakli. W wolnych chwilach malował portrety, eksperymentował z rzeźbą i pastelami, ale jego specjalnością pozostała grafika użytkowa. W reklamach, opłacanych przez producentów piwa, szampana, perfum i słodyczy, powracał portret kobiety idealnej, będącej połączeniem bogini i dziewczyny z sąsiedztwa.

Dekoracyjne walory tej sztuki pozostają poza wszelką dyskusją. Wystarczy przekartkować piękny album „Alfons Mucha i jego świat”, wznowiony ostatnio przez wydawnictwo Arkady, by zrozumieć, dlaczego przed wystawą światową roku 1900 na podopiecznego królowej paryskich scen spadł istny deszcz zamówień państwowych i prywatnych. Czech ozdobił słowiańskimi motywami ludowymi pawilon Bośni i Hercegowiny, dla pawilonu austriackiego zaprojektował dywan o motywach indyjskich oraz japońskich (za co dostał order od cesarza Franciszka Józefa). Wystrój stoiska znanego wytwórcy perfum był kwintesencją „la style Mucha”, podobnie jak wnętrze sklepu jubilera Fouqueta, po latach zrekonstruowane na użytek muzeum Paryża.

ZUPEŁNIE INNY ALFONS

Oczywiście nasz bohater nie był twórcą na wskroś oryginalnym. Nad Sekwaną obracał się w kręgu ludzi wybitnie utalentowanych i siłą rzeczy podlegał ich wpływom. W środowisko artystycznej bohemy wprowadził go Władysław Ślewiński. Mucha dobrze znał Wypiańskiego, który do kwiatów żywił większą namiętność niż do kobiet. Przez jakiś czas dzielił pracownię z Gauguinem, z Whistlerem założył szkołkę malarską, kibicował braciom Lumière. Przyjaź-



Plakat do spektaklu „Gismonda”, od którego zaczęła się wielka kariera Muchy. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

nił się z Rodinem, Maeterlinckiem i ze Strindbergiem. Od tego ostatniego zaraził się mistycyzmem. W paryskim mieszkaniu Czecha w każdą niedzielę zbierali się amatorzy wywoływania duchów.

Około 1905 r. estetyka art nouveau zaczęła zdradzać oznaki wyczerpania. Alfons postanowił się zmienić. Wiedząc, że w Europie zasznuflowano go jako dekoratora, przepłynął Atlantyk, by zostać portrecistą amerykańskich wyższych sfer. Plan nie wypalił, lecz w Nowym Jorku artysta poznał milionera czechofila, który zgodził się sfinansować cykl 20 wielkich obrazów – akademickich w formie i patriotycznych w treści. Miały być one przepustką Muchy do ojczyzny, zapewnić mu dożgonną wdzięczność

rodaków i miejsce w narodowym pantheonie.

W powietrzu unosił się zapach prochu. Niemcy prężyli muskuły, Francuzi gorączkowo rozglądali się za sojusznikami, panslawiści powtarzali, że w obliczu germańskiego zagrożenia obowiązkiem wszystkich Słowian jest skupić się przy rosyjskim carze. Artyści ulegali tym nastrojom. Chociaż sztuka Muchy była kosmopolityczna, nad Wełtawą zaś miano go za Francuza, to zadeklarował: „Resztę życia wypełnię wyłącznie pracą dla narodu”.

Rzeczywiście, „Epopeja słowiańska” zabrała mu 20 lat, lecz rezultat okazał się niewspółmierny do oczekiwań. Symbolizm emanujący z każdego centymetra płótna wynikał z okultystycznych pasji autora, całkowicie obcych praktycznym Czechom. Jeden z obrazów sławił zniesienie pańszczyzny przez cara Aleksandra II, bohaterem innego był XVII-wieczny filozof Jan Ámos Komenský, patron masonów. Dla Polaków Mucha też przygotował małą niespodziankę. W kontrze do Matejki przedstawił bitwę pod Grunwaldem jako porażkę chrześcijaństwa. Smutny król Jagiełło duma nad ciałami poległych Krzyżaków – to naprawdę robi wrażenie.

„Epopeja słowiańska” podobała się tylko Amerykanom. Czesi uznali ją za kicz, choć nie mówili o tym zbyt głośno. Mucha na własnej skórze przekonał się o prawdziwości porzekadła, że nikt nie jest prorokiem we własnym kraju. Nadal jednak wierzył, że artysta przez duże „A” powinien uprawiać sztukę epicką, wzniosłą i zaangażowaną. Dzieło swego życia podarował Pradze pod warunkiem zbudowania muzeum, które pomieści cały cykl. Miasto nie spełniło tego warunku do dzisiaj.

O monumentalnej apoteozie Słowian przypominano sobie, gdy zbliżało się stulecie odzyskania niepodległości. Któż bardziej mógłby przydać prestiżu jubileuszowi niż artysta rozpoznawalny od Chin do Stanów Zjednoczonych? „Epopeję słowiańską” zabrano z zamku w Morawskim Krumlovie, gdzie spędziła ostatnie pół wieku, by z fanfarami wyeksponować ją w stolicy. Po zakończeniu obchodów cykl wyruszył w podróż po świecie, reklamując potęgę czeskiej sztuki. W Japonii nieznane dotąd szerzej dzieło „księcia plakacistów” podziwiał 660 tys. ludzi. Mucha zawsze wierzył w swoją szczęśliwą gwiazdę, ale chyba nawet on byłby zdumiony tym pośmiertnym triumfem.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



**polski
produkt**

**IV EDYCJA
KONKURSU**

**NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA,
KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY**

WIĘCEJ INFORMACJI: POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL



PARTNER STRATEGICZNY



PARTNER GŁÓWNY



PARTNER



PARTNER GALI





FOT. MATERIAL PRASOWE

WIESŁAW
CZEŁMNIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Zmierzch włoskich bogów



★★★★★
REŻ. PAOLO VIRZÌ
„MAGICZNE NOCE” („NOTTI MAGICHE”)
WŁOCHY 2018

wyst. Irene Vetere,
 Giovanni Toscano,
 Mauro Lamantia

Są w życiu narodów chwile tragiczne, zwiastujące koniec epoki, która wydawało się, że będzie trwać wiecznie.

Dla makaroniarzy momentum horribilis nadszedł 3 lipca 1990 r., gdy w półfinale mistrzostw świata w piłce kopanej ich reprezentacja uległa futbolistom z Argentyny. Italia, pewna sukcesu (gospodarzom, jak wiadomo, nawet ściany pomagają), oniemiała ze zgrozy.

Boski Diego Maradona, na co dzień reprezentujący barwy Napoli, bezlitośnie umieszczając piłkę w bramce Waltera Zengi, sprawił, że w głowach i sercach Włochów coś pękło, coś się skończyło. Dni tangentopoli – korupcyjnego systemu, od pół wieku trzymającego kraj za gardło – były policzone.

Wielkim dramatom często towarzyszą mniejsze, na pierwszy

rzut oka niedostrzegalne. Gdy politycy gorączkowo zmieniali partyjne szyldy, Maradonę zaś demaskowano jako narkomana i przyjaciela przestępców, bez większego rozgłosu dogorywała włoska kinematografia. Hymnem feralnego mundialu była piosenka „Magiczne noce”.

Tak samo nazywa się paszkwil Paola Virzìego. 55-letni reżyser, wykorzystując nośną formułę kryminału, wspomina początki własnej kariery w Rzymie. Początek jest obiecujący: w limuzynie wyłowionej z Tybru karabinierzy znajdują zwłoki producenta filmowego, który wielu ludziom z branży zalał za skórę.

Podejrzenia ogniskują się wokół trójki młodych finalistów konkursu na scenariusz. Luciano – arogancki Toskańczyk, oficjalnie popierany

przez związki zawodowe, mieni się rzecznikiem proletariatu. Eugenia – jest córką wpływowego rzymianina, więc popełniła tekst traktujący o katolickim polityku, który z idealisty stał się cynikiem. Sycylijszyk Antonino odwołuje się do snobizmu jurorów, proponując „oniryczno-realistyczną” biografię malarza z okresu quattrocenta. Co ich łączy? Łatwo ulegają cielesnym i materialnym pokusom.

Hollywoodzki Babilon, oglądany oczami debutanta, znamy do przesyty. Dekadencja według Virzìego, z widokiem na Koloseum i kopułę bazyliki św. Marka, prezentuje się dość skromnie. Głównie dlatego, że cinema italiano rządzi grono utytułowanych, lecz pozbawionych złudzeń i zmęczonych sobą starców, z Fellinim na czele. Trochę werwy zachowała Ornella Muti, niegdysiejszy symbol seksu, lecz pojawia się tylko na chwilę.

Trójka „odnowicieli” włoskiego kina od początku stoi na straconej pozycji, bo – w odróżnieniu od tetryków – nie dostrzega, że czasy dolce vita już minęły. Zamiast zderzenia Titanica z lodowcem dostajemy więc historię łajby, która już dawno temu osiadła na mieliźnie, choć niektórzy pasażerowie wciąż krzyczą: „Płyniemy!”. ©©



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „ŚWIAT W OGNIU”

Trzecia odsłona opowieści o dzielnym bodyguardzie (Gerard Butler), który ratuje z opresji prezydenta USA (Morgan Freeman). Pierwszy był „Olimp w ogniu” (i atak terrorystów na Białą Dom), potem nastąpiły występy gościnne („Londyn w ogniu”). „Świat w ogniu” przynosi awans bohaterskiego agenta na szefa

Secret Service oraz wyzwanie, na które zupełnie nie był przygotowany – teraz to on staje się podejrzanym o zamach na prezydenta. ©©

• „Świat w ogniu” („Angel Has Fallen”),
reż. Ric Roman Waugh,
wyst. Gerard Butler, Morgan Freeman,
Piper Perabo, USA 2019

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Pełzająca śmierć”,
 reż. Alexandre Aja, USA 2019
- „Dora i Miasto Złota”,
 reż. James Bobin, USA/Australia 2019
- „Królowe zbrodni”,
 reż. Andrea Berloff, USA 2019
- „Playmobil: Film”,
 reż. Lino DiSalvo, USA 2019

Cygaro doktora Freuda

Ateiści też mają swoich świętych. Jeden z nich mieszkał w Wiedniu, z poświęceniem godnym lepszej sprawy lecząc mężczyzn z kompleksu Edypa, kobiety zaś z hysterii. Austriacy okazali się jednak niewdzięcznikami. Zamiast za twórcą psychoanalizy poszli za antysemitą Hitlerem.

W hagiografiach ważną rolę odgrywają młodzienci porażeni charyzmą i geniuszem bożego wybrańca. W „Trafikancie” Zygmunta Freuda oglądamy oczami naiwnego przybysza z prowincji. 17-letni Franz już na wiedeńskim dworcu dowiadyuje się, że „nastaly śmierdzące czasy”, lecz jego pryncypał, liberał starej daty, z samobójczym uporem odmawia sprzedaży prasy narodowosocjal-

stycznej, z uśmiechem obsługując komunistów, Żydów i amatorów pornografii. Franz, uznając poglądy właściciela trafiki za własne, rzecz jasna wpakuje się w kłopoty, spotęgowane dodatkowo pojawieniem się bezpruderyjnej Czesz-

ki. Nielegalna imigracja i spór o wolność słowa to tematy na wskroś współczesne, lecz z powodu przyciężkiej reżyserii film ogląda się z rosnącą obojętnością. Rola wygłaszającego banały neurologa, ostatnia w karierze Brunona Ganzę, zasmuca: ten aktor zasłużył na lepsze pożegnanie. Freud twierdził, że kultura jest źródłem cierpienia. Oglądając „Trafikanta”, odkryłby, że może też być źródłem nudy. ©©

Wiesław Chełmniał



★★★★★
REŻ. NIKOLAUS LEYTNER
„TRAFIKANT” („DER TRAFIKANT”)
AUSTRIA/NIEMCY 2018

wyst. Simon Morzé, Johannes Krisch, Emma Drogunova



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

POWRÓT Z GWIAZD

Film „Kapitan Marvel” powstał, by wprowadzić do kinowego uniwersum Marvela nową postać, która miała odegrać ważną rolę w filmie „Avengers: Koniec gry”. Ponadto miała to być manifestacja wrażliwości feministycznej: pierwsza superprodukcja według komiksów Marvela, w której najważniejsza jest kobieta.

Tytułowa Kapitan Marvel (Brie Larson) to dziewczyna z Ziemi, która nie mając pojęcia o własnej przeszłości, jest wychowywana przez obcą rasę Kree na gwiazdną policjantkę. Kree prowadzą wojnę ze zmiennokształtnymi Skrullami. Dlaczego? Prawdę poznamy dopiero pod koniec. Najważniejsze dla fabuły (i całego wszechświata Marvela) jest to, że rywalizacja w pewnym momencie dotyka także Ziemi. Jako że akcja rozgrywa się w latach 90. XX w., dowiemy się przy okazji, jak Nick Fury (Samuel L. Jackson) wpadł na pomysł powołania specjalnej grupy obrońców Ziemi. Film bawi umiarkowanie, a humor zdaje się wymuszony. Raczej tylko dla fanów Marvela.



wyst. Brie Larson, Samuel L. Jackson, Jude Law, dystr. Galapagos

★★★★★
REŻ. ANNA BODEN, RYAN FLECK
„KAPITAN MARVEL” („CAPTAIN MARVEL”)
USA 2019

CÓRKA ROBOT I JEJ WROGOWIE

Wymarzony projekt Jamesa Camerona stał się rzeczywistością dzięki Robertowi Rodriguezowi. Kinowa wersja japońskiego komiksu. Wiek XXVI, bogaci żyją w podniebnym mieście, biedni wśród ruin poniżej. Specjalista od robotyki (Christoph Waltz) znajduje na śmietniku dziewczynę robota, którą naprawia, ożywia i traktuje jak własną córkę. Alita (Rosa Salazar) jest jednak czymś więcej: śmiertelnością maszyną bojową. Na razie targają nią jednak emocje nastolatki. Poznaje świat, smak czekolady, zakochuje się, próbuje sił w sporcie. W tym efektownym widowisku jest wiele futurystycznych pejzaży zapadających w pamięć, dużo akcji, mnóstwo morderczych cyborgów i trochę zabawnych dialogów. Efekty specjalne zamieniające pannę Salazar w robololitykę są palce lizać. Całość to jednak składanka motywów znanych skądinąd i bez puenty. Miała być trylogia, ale widownia nie dopisała. ©©



wyst. Rosa Salazar, Christoph Waltz, Jennifer Connelly

★★★★★
REŻ. ROBERT RODRIGUEZ
„ALITA: BATTLE ANGEL”
USA 2019, DYSTR. IMPERIAL

recenzuje Piotr Gociak

GRA TYGODNIA: „AGE OF WONDERS: PLANETFALL”

Co by było, gdyby stworzyć grę w stylu „Heroes of Might & Magic”, skrzyżować ją z „Cywilizacją” i umieścić w uniwersum science fiction? Turowa, rozbudowana strategia w kosmosie, w której oprócz prób budowania gigantycznych miast możemy prowadzić wojny z użyciem... dinozaurów uzbrojonych

w lasery i zombi-cyborgów. Brzmi dziwnie, ale w praktyce tworzy intrygujący miks fantasy, fantastyki naukowej i postapokalipsy. Na plus wybijają się: dopracowanie fabularne, kolorowa grafika, ciekawie rozwinięte frakcje i system walk turowych. Dobry tytuł dla fanów strategii typu 4X,



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

których ukończenie zajmuje długie godziny. ©© **Marcin Makowski**

- **Gatunek:** Strategia
- **Platforma:** PC/PS4/XONE
- **Producent, dystrybutor:** Triumph Studios/CDP
- **Klasyfikacja PEGI:** 12+

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Bitwa o polską pamięć

Na pierwszą część nowej książki prof. Andrzeja Nowaka składa się 10 sążnistych rozmów przeprowadzonych przez autora z wybitnymi zawodowymi historykami: Stefanem Kieniewiczem, Piotrem Wandyczem, Richardem Pipesem, Andrzejem Sulimą Kamińskim, Romanem Szporlukiem, Henrykiem Samsonowiczem, Andrzejem Paczkowskim, Andrzejem Walickim, Antonym Polonskim oraz eseistą, „prowokatorem – jak nazywa go Nowak – ważnych debat wokół polskiej tożsamości historycznej” Tomaszem Łubieńskim. Sam autor za swój „wywiad życia” uznaje dialog, który przeprowadził z historykiem stosunków polsko-żydowskich, urodzonym w RPA profesorem Oksfordu (i wielu innych uniwersytetów) Antonym Polonskim. Rzeczywiście, tekst jest prześwietny, choć i inne, np. wywiad z Andrzejem Paczkowskim, niewiele mu ustępują. Przy tym najstarszy pochodzi z roku 1989, a najnowszy – właśnie z Polonskim – z początków roku obecnego.

Profesor Andrzej Nowak przemawia o historii i pamięci, o toczącej się „bitwie o pamięć”. Niekiedy spiera się ze swymi rozmówcami, broni swoich racji zawsze z klasą, zawsze z elegancją. W podobnej poetyce utrzymane są eseje dopełniające wielki, 600-stronicowy tom. Kontynuują one wątki poruszone wcześniej, skupiając się na sensie polskiej historii, od tej najdawniejszej do całkiem współczesnej. O dziwo, ta pierwsza nie jest wcale mniej emocjonująca. Dość przeczytać powstały dwa lata temu „Chrzest, czyli nadawanie tożsamości”. Nieprzypadkowo rozpoczyna go autor przypomnieniem naiwnej – jak sądzimy na pierwszy rzut oka – interpretacji



FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EST NEWS

naszego pierwszego encyklopedysty, ks. Benedykta Joachima Chmielowskiego, który w swych pisanych w połowie XVIII stulecia „Nowych Atenach” wywiódł nazwę wspólnoty polskiej od tego, żeśmy wszyscy zostali p o l a n i – wodą chrztu świętego. A przecież tak właśnie było. „Polska rzeczywistość zaczyna się od chrztu” – stwierdza historyk.

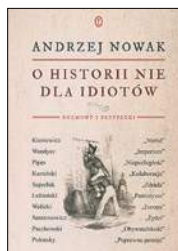
Chrześcijaństwo przyjęliśmy za pośrednictwem Czechów; tak chciały tradycja i nauka. Ostatnio jednak pojawiły się teorie głoszące inne koncepcje. Mowa jest m.in. o wpływach idących z upadłego na początku X stulecia państwa wielkomorawskiego, o chrześcijańskim otoczeniu Świętopełka II, a pojawiła się również sugestia, że Mieszko został ochrzczony na dworze cesarza Ottona I albo na zjeździe w Magdeburgu. Heroldem

owej wieści stał się poznański mediewista prof. Tomasz Jurek. Autor „Historii nie dla idiotów” przyjmuje nawet jego konstrukcję myślową. Może i Magdeburg czy Kwedlinburg były miejscem chrztu Mieszka, a co za tym idzie – Polski? Tyle że nie zgadza się z tym, co się dzieje dalej. Oto (niewymieniona z nazwy) gazeta – wiadomo która – ogłasza zaraz triumfalnie, że „ochrztili nas Niemcy”. „A więc przyznajcie to, Polacy – nawołuje owa gazeta, na każdym kroku podkreślająca, że nasza historia jest garbata, wstrętna, że Polacy nadają się sami z siebie tylko do tego, by różnić »sąsiadów« – przyznajcie, że jeśli w ogóle powstaliście, to dzięki Niemcom”.

Trudno o większy absurd i historyczne kłamstwo, „bo – czytamy dalej – trudno w X w. mówić o rozwiniętej świadomości narodowej. Mogli mieć księża na dworze cesarskim świadomość związków kulturowych ze wspólnotą saską albo frankońską, ale nie byli to Niemcy! To nie była Angela Merkel ani nie był to Martin Schulz, tak samo jak Mieszko nie miał świadomości Romana Dmowskiego ani Jarosława Kaczyńskiego”.

A kto nas ochrzcił? Może przyjmijmy, że ani Niemcy, ani Włosi, ani nawet Czesi – „zrobili to – powiada Andrzej Nowak – słudzy Kościoła powszechnego, dla chwały Pana”. Otóż to, zostaliśmy wtedy p o l a n i. A „już w pierwszym pokoleniu po Mieszku i Dobrawie, pokoleniu ich syna, Bolesława Chrobrego, ta wspólnota, którą stworzył chrzest, a umocniło świadectwo męczeństwa św. Wojciecha i zbrojne ramię Piastów, zostanie nazwana Polską”.

Bez dwóch zdań: historia naprawdę nie jest nauką dla idiotów. ©



★★★★★
ANDRZEJ NOWAK
„O HISTORII
NIE DLA IDIOTÓW.
ROZMOWY
I PRZYPADKI”
WYDAWNICTWO
LITERACKIE 2019



POCZYTANKI

O mniejszościach totalitarnych

Dorastałem w San Francisco od początku lat osiemdziesiątych zeszłego stulcia – pisze we wstępie Marek Jan Chodakiewicz. „W związku z tym byłem świadkiem wynurzania się alternatywy dla porządku normalnego, tradycyjnego, zachodniego”. Ów obszerny, kilkudziesięciostronicowy wstęp jest jedną z najważniejszych części książki „O cywilizacji śmierci”; esejem porządkującym pojęcia i objaśniającym sedno problemu. Rzecz o tym, jak rewolucyjni obyczajowi chcą przemodelować świat (jak już to robią), jak przekształcał się feminizm, jak lewica w miejsce „praw człowieka” wpisała na sztandary „marksizm-lesbianizm” i walkę o homoprzywileje. Moralny relatywizm, radykalizm seksualny, wściekła antyreligijność to już nie zagrożenia, to amerykańska rzeczywistość. A skoro „Ameryka obecnie wytycza drogę świata w przyszłość”, konstatuje Chodakiewicz, to jaka przyszłość nas czeka?

Muszę powstrzymać się przed wpisywaniem kolejnych cytatów, bo łąpię się na tym, że trzeba by zacytować całą książkę, która jest też podsumowaniem tocznej przez autora od trzech dekad walki o uświadomienie polskich czytelników i polskich elit politycznych, jaka jest natura przeciwnika. Chodakiewicz

toczył ją w tekstach publikowanych na łamach „Rzeczpospolitej” (kiedy można było to czynić w tej gazecie), „Tygodnika Solidarność”, ale przede wszystkim w felietonach dla „Najwyższego Czasu”. Ich wybór znajdziecie w „O cywilizacji śmierci”.

Jest Chodakiewicz jednym z najświetniejszych konserwatywnych umysłów współczesnej Polski, szkoda że tak rzadko słuchanym i publikowanym. Co do jego wpływu na nasze polityczne elity – nie mogę oprzeć się wrażeniu, że rząd dobrej zmiany nie ma pomysłu na to, jak wykorzystać tak znakomitego sojusznika i przenikliwego obserwatora.

A przecież pytanie, które stawia w podtytule książki – „Jak zatrzymać antykulturę totalitarnych mniejszości?” – stało się właśnie w samym centrum polskiej debaty publicznej. Coś, co jeszcze kilkanaście, ba, kilka lat temu wydawało się nad Wisłą jedynie marginesem marginesów, dziś za sprawą pożytecznych idiotów

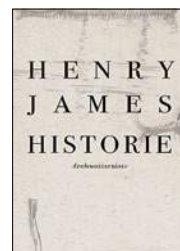
i niebezpiecznych radykałów trafia do agendy liczących się ugrupowań politycznych. „Homoseksualistów zostawmy w spokoju”, podkreśla Chodakiewicz, ale należy „aktywnie zwalczać rewolucjonistów z LGBT”. Nie tylko w głosowaniu, lecz także ich własnymi metodami, podpowiada polski historyk. ©



★★★★★
MARK JAC CHODAKIEWICZ
„O CYWILIZACJI ŚMIERCI”
35 MEDIA 2019

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Zbiór nowel amerykańskiego klasyka. Słynny „Obrót śruby” (powiastka grozy znana jako „W kleszczach lęku”) plus „W klatce”, „Jakaś historia”, „Julia Bride” i „Mora Montravers”. Wybór i przekład: Barbara Kopeń-Umiastowska.



HENRY JAMES
„HISTORIE DROBNO-ZIARNISTE”
PIW

Najlepiej napisana książka o misjach Apollo w historii non-fiction – słynny reportaż amerykańskiego mistrza prozy. Wydana w roku 1970 (w Polsce w 1978 r.) wciąż jest porywającą lekturą. Od strony edytorskiej palce liżać.



NORMAN MAILER
„NA PODBÓJ KSIĘŻYCZA”
ZYSK I S-KA

Od porwanego przez najeźdźców 12-latkę przez ponurą niewolę aż do krwawego rzemiosła okrutnego wikinga z Jomsborga – oto dzieje Torsteina. Historyczno-przygodowa powieść norweskiego autora. Ciąg dalszy nastąpi.



BJØRN ANDREAS BULL-HANSEN
„JOMSWIKING”
CZARNA OWCA

Dotąd znaliśmy film (Al Pacino i Keanu Reeves), teraz czas na literacki oryginał. Książka z roku 1990 jest najciekawszym osiągnięciem pisarza znanego poza tym głównie ze współpracy z V.C. Andrews. ©



ANDREW NEIDERMAN
„ADWOKAT DIABŁA”
VESPER

poleca Piotr Gociek

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

- Edyta Kowalczyk, Jakub Radomski „Ludzie ze złota” (Ringier Axel Springer)** – 20 rozmów z siatkarzami i trenerami tworzącymi polską potęgę w tym sporcie.
- Guillaume Musso „Zjazd absolwentów” (Albatros)** – francuski spec od krzyżowania powieści obyczajowych z kryminałem powraca.
- Christel Petitcollin „Jak mniej myśleć” (Wydawnictwo Feeria)** – „Dla analizujących bez końca i wysoko wrażliwych” – głosi podtytuł poradnika.
- Andrzej Pilipiuk „Karpie bijem” (Fabryka Słów)** – nowy tom opowiadań mistrza krótkiej formy. Ekscytujący fanów, bo powraca Jakub Wędrowczyk!
- Blanka Lipińska „Kolejne 365 dni” (Agora)** – ciąg dalszy bestsellera erotyczno-kryminalnego produkcji polskiej, wkrótce niestety także film.

(Bestsellery minionego tygodnia na Swiatksiazki.pl)

Chłopcy Kontra Basia

FOT. MATERIAŁ PRASOWE



„Za górami, za lasami...” – mogłaby się zaczynać każda ich piosenka. Każda jest opowieścią wyśpiewaną aksamitnym głosem Barbary Derlak z nienarzucającą się, subtelną muzyką budującą klimat opowieści. Opowieści inspirowanej folkem, dziejące się często gdzieś przed laty w jakiejś wiosce, przez którą

a to przejedzie „żołnierz na koniku”, a to nad wodą zasiądzie „dziewczę pasące kobyłkę”. Jednak są to tylko motywy mających współczesny wymiar i napisanych współczesnym językiem tekstów. Świat opowieści snuty przez zespół Chłopcy Kontra Basia jest przy tym pełen magii. Rozmowa ze

zwierzęciem czy z rośliną to najnormalniejsza rzecz pod słońcem, podobnie jak to, że w płynącej po stawie łódce siedzi Bóg i wiośłuje stopą.

Muzycznie twórczość zespołu zawieszona jest między folkiem a jazzem. Tak sami jego członkowie opisują swój styl: „Czasami czerpią z tradycji jazzu, ale na tyle

subtelnie, aby nie wpaść w jego ramy. Fascynują się dawnymi melodiami kościelnymi, surowymi pieśniami obrzędowymi, balladami, ale zaraz wykonują stylistyczny zwrot, tak że nie sposób określić ich jako zespół folkowy”. Prawdziwym skarbem jest w tym składzie Basia. Aksamitny głos i umiejętność snucia śpiewanych opowieści to rzecz dla tego składu charakterystyczna.

Historia zespołu rozpoczęła się w 2009 r., kiedy to zawiązał się duet kontrabasisty Marcina Nenki i Barbary Derlak, do których na początku 2010 r. dołączył perkusista Tomasz Waldowski. Na koncie ma epkę z 2011 r. i późniejsze dwie płyty – „Oj tak!” i „O” – obie nominowane do Fryderyków. Chłopcy Kontra Basia pracują nad trzecim albumem, który ma nosić tytuł „Legendy miejskie”. ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZOWICZ

NA SŁUCH

Nostalgii czar

Brytyjskie kino wyczuło koniunkturę, którą niesie muzyczna nostalgia. Po filmach o Queen i Eltonie Johnie zobaczyliśmy „Yesterday” z piosenkami Beatlesów. Niebawem wzruszy nas brytyjski Pakistańczyk, Javed, którego przed okrutnym światem Margaret Thatcher uratuje... Bruce Springsteen. Film o polskim tytule „Siła muzyki” trafi do naszych kin w październiku, ale soundtrack jest już w sklepach. Światową premierę obraz miał bowiem w ostatni piątek.

W odróżnieniu od „Yesterday” realizatorzy filmu odstawili od nagrań nowych wersji utworów Bossa. Piosenki Springsteena przeplatane są filmowymi dialogami i hitami z lat 80. Za dobór piosenek był odpowiedzialny A.R. Rahman,

zdobywca m.in. Oscarów za muzykę i piosenkę do filmu „Slumdog. Miliarder z ulicy”. Indyjski kompozytor „dołożył” od siebie dwa utwory, z których finałowa ballada „For You My Love” może się podobać.

Wśród 12 piosenek Springsteena trzy nagrania zapewne przyciągną uwagę fanów. Dwa to niepublikowane wykonania koncertowe: „The Promised Land” z 2014 r. oraz „The River” z 1979 r. Prawdziwą perłą jest ballada „I’ll Stand by You”, którą Boss nagrał do jednego z odcinków przygód Harry’ego Pottera. Aż dziw bierze, że nie została wykorzystana.

Tytuł „Blinded by the Light” nosiła piosenka z pierwszego singla Bruce’a. W 1973 r. przepadła na listach, tak jak album, z którego pochodziła. Dzisiaj to rockowy standard. ©©



★★★★★
**MUZYKA
FILMOWA**
„BLINDED
BY THE LIGHT”
SONY



★★★★★
PRINCE
„ORIGINALS”

Drugie wietrzenie archiwów przynosi piosenki, które Prince skomponował dla innych. Zanim je podarował m.in. The Bangles, Sinéad O’Connor czy Kenny’emu Rogersowi, nagrał je sam. „Nothing Compares 2 U” w wykonaniu Księża robi wrażenie.



★★★★★
DAVID BOWIE
„THE ‘MERCURY’
DEMOS”
PARLOPHONE

W kwietniu 1969 r. Bowie wraz z Johnem Hutchinsonem nagrał w domu 10 piosenek. Wytwórnię Mercury przekonała „Space Oddity”, która stała się przebojem. Album już nie. Te amatorskie nagrania w stylu Simona & Garfunkela mogą zaoroczyć tylko fanów. ©©

**POD WĄS**

Niedokszałceni

IGOR ZALEWSKI

Cóż, jesteśmy już w tym wieku, że nasi rodzice i znajomi coraz więcej czasu spędzają u lekarzy lub w szpitalach. My im w tych peregrinacjach towarzyszymy. Ja zazwyczaj wracam smutny, moja żona – wściekła. Różnica temperamentów.

Ostatnio wróciła zła jak osa. Jej bliskiej znajomej wycinano niedawno tarczycę, na której pojawił się jakiś guzek. Badania wyciętej narosły wykazały, że guz nie był szkodliwy. Odetchnęła z ulgą. Ale po kilku miesiącach inny lekarz zaordynował ponowną analizę. Tym razem te same badania tego samego wycinka były zupełnie inne. To był nowotwór złośliwy. Ten sam lekarz zakwestionował też badanie USG i polecił zrobić nowe. U specjalisty, którego zna i któremu ufa.

Jeśli do tego dodamy, że teściowa niedawno złamała nogę i lekarz, który jej zakładał gips, wpisał do dokumentów uszkodzenie jednej kości, a lekarz, który gips zdejmował, wpisał inną kość (w efekcie nie wiadomo, która była uszkodzona i jak prowadzić rehabilitację), to irytacja mojej szanownej małżonki jest całkowicie uzasadniona.

Moja żona ma tę cudowną cechę, że nie tylko się wkurza, lecz także szuka źródeł problemów. Ktoś inny rzucałby gromy na konkretnego matosa, ewentualnie polską służbę zdrowia. Ale ona przemyślała sprawę głębiej i orzekła, że te fuszerki lekarskie to efekt płytkiego wykształcenia. Rewolucja edukacyjna, która dokonała się za III RP, przy-

niosła radykalny wzrost ludzi z wyższym wykształceniem, ale poziom tego wykształcenia wcale nie jest wysoki.

Zadumałem się i (jak zwykle) przyznałem żonie rację. Zresztą ta „płytkość wykształcenia” wykluka się już wcześniej, przed studiami. Ostatnio pewien działacz piłkarski wzburzył opinię publiczną retorycznym pytaniem: „Kto nie jechał samochodem po pijaku?”, bo większość z nas jednak nie jechała. Ale moje pytanie chyba nie będzie aż tak bulwersujące: „Kto z nas nie ściągał w szkole?”. Ściąganie jako sposób radzenia sobie z promocją do następnej klasy jest czymś powszechnym i niestety akceptowanym. Nie jest piętnowane jako oszustwo, lecz jest traktowane jako specyficzna taktyka przetrwania.

Idzmy dalej i przypomnijmy sobie różnych rodziców, którzy za pomocą rozmaitych zabiegów przepychają swoje dzieci do następnych klas lub wywalczają dla nich wyższe oceny tudzież czerwone paski. To wszystko, rok po roku, klasa po klasie, nawarstwia się i w połączeniu z kiepskim poziomem studiów daje w efekcie kolejne generacje niedokszałconych ludzi z wyższym wykształceniem. I potem funkcjonujemy wśród fuszerek, niedociągnięć, błędnych decyzji i fatalnych diagnoz. Oraz błędów ortograficznych dumnie wywieszanych w publicznych urzędach czy renomowanych klinikach.

Może faktycznie nie każdy musi mieć maturę, nie każdy musi być magistrem. I lepiej byłoby postawić na jakość, a nie ilość. ☺



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Paweł Władysław Kosiniak-Kukiz

Smuci mnie dzisiejsze okładanie ze wszystkich stron Pawła Kukiza, jakby nie było spraw ciekawszych i osobników bardziej predestynowanych do okładania kijem. Paweł Kukiz, rzecz jasna, popełnił mnóstwo błędów, które się na nim mszczą, ale akurat nie o nie chodzi jego krytykom. To prawda – nie zbudował partii, nie wziął subwencji, nie wprowadził centralizmu demokratycznego. Okazał się przywódcą chimerycznym i człowiekiem trudnym. Jednocześnie jego zasługi dla polskiej demokracji są nie do przecenienia. Można spekulować, co by się stało, gdyby nie wystartował w wyborach 2015 r. Obawiam się, że Komorowski wygrałby w pierwszej turze. Andrzejowi Dudzie zabrakłoby tych dwóch bezcennych tygodni, dzięki którym szerzej mogli poznać go Polacy. Pół roku później 9 proc. wyrwanych „niepisiowi” utrudniło działalność totalnej opozycji. Będąc opozycją konstruktywną, a dla wielu inicjatyw dobrej zmiany życzliwą, wprowadził do Sejmu mnóstwo ludzi barwnych, młodych, niezgranych, z opcji dotąd znajdujących się gdzieś w planktonie – szkoda, że mało kto z nich pamięta, kto im dał szansę.

Można powiedzieć, że teraz wszystko zmarnował, zaprzedał się „obrotowej partii

postpeerelowskiej”... A co miał zrobić? Samotnie z honorem polec? A może żyrować egotyczną Konfederację, w której nie wiadomo komu gdzie bliżej – do Torunia czy do Kremla? W polskiej klasie politycznej, gdzie pełno jest Jasiów Wędrowniczków, wyszydzanie pragmatycznych wyborów po prostu nie przystoi. Jeśli chce się uprawiać politykę, to trzeba walczyć nawet w nie-sprzyjających sytuacjach. Pamiętamy, jak osamotniony Kaczyński startował przytulony do Olszewskiego, jak porzuconego Millera wpuścił na swe listy Lepper. Rozum polityczny owocuje po latach. Najważniejsza w polityce jest wyobraźnia i nie polega ona wyłącznie na rozpatrywaniu wariantu, że wszystko pójdzie dobrze. A jeśli pójdzie źle? Hybryda Kosiniak-Kukiz nie reprezentuje się okazale. Jednak czy tak trudno sobie wyobrazić, że w październiku może zabraknąć większości bezwzględnej? I co wtedy? Rozbijając Koalicję Europejską, PSL dokonało rzeczy zdumiewającej – udaremniło możliwość, nawet po doszłusowaniu Biedronia, porażki dobrej zmiany (nawet fuksem). Dzięki dwugłowej chimerze z koniczynką możemy ufniej patrzeć w przyszłość, gdzie czeka rozwiązanie albo bardzo dobre, albo całkiem niezłe. ☺



Ostatnie rozkułaczenie



Rafał A. Ziemkiewicz

Objazdowe parady LGBT przypominają wyjazdy ZMP. Te drugie miały jednak umacniać władzę ludową, a te pierwsze mają pozwolić dostać się do Sejmu

Po Polsce jeździ objazdowa impreza LGBT, która sama siebie nazwała Paradą Równości. Przedwczoraj była w Białymstoku, wczoraj w Płocku, jutro pojedzie do Kalisza i Torunia. Jeśli animatorzy tego przedsięwzięcia liczyli, że w każdym miasteczku do przybyłej autokarami „grupy inicjatywnej” dołączyć się będzie masowo miejscowa ludność, to przedsięwzięcie można uznać za klęskę. Wszędzie widzimy na zdjęciach tych samych manifestantów, w których wprawne oko dziennikarza rozpoznaje osoby od czterech lat liderujące wszelkiego rodzaju antypisowskim protestom – w obronie Trybunału i sądów, dzików, drzew, stadnin, Wałęsy, Owsiaka, przeciwko TVP itp., itd. Jednak jeśli intencją było zdobycie rozgłosu, to sukcesu odmówić nie sposób. Każda „parada” jest szeroko relacjonowana w mediach, szczególnie zachodnich, a jeśli uda się sprowokować albo nawet tylko skutecznie upozorować jakiś akt przemocy wobec paradujących, to rodzima rewolucja LGBT ma zapewnione wszystkie czołówki i jeszcze urządzić może, jak zrobiła to w Białymstoku, szumne poprawiny.

UŚWIADAMIANIE MAS

Co chce osiągnąć w ten sposób środowisko LGBT, to wiadomo. Problemem LGBT, jak każdej z marksistowskich ideologii, jest to, że „masy”, do których się zwraca, nie rozumieją swych klasowych interesów, nie wiedzą, że są prześladowane i że potrzebują obrońców. Trzeba je więc mozolnie „uświadamiać”. Jak wynika z badań prof. Szukalskiego z UŁ, o których zresztą informował on kilka lat temu w na wskroś lewicowym „Newsweeku”, sztandarowy postulat LGBT „równości małżeńskiej” samych homoseksualistów zdaje się w ogóle nie interesować: liczba par, które deklarują chęć zawarcia takiego związku, jest statystycznie nieistotna. Zgadza się to zresztą z doświadczeniem Zachodu. Wszędzie, gdzie wprowadzono „homomałżeństwa”, po krótkim „wysypie” liczba ich spada gwałtownie i szybko osiąga granice błędu statystycznego.

Importowana rewolucja LGBT ma wielu hojnych sponsorów, ale niewielu żołnierzy. Ukierunkowanie jej na uporczywe prowokowanie „normalsów”, na profanowanie świętości i ranienie dobrego smaku, krótko mówiąc – na budowanie w społeczeństwie negatywnego stereotypu homoseksualisty jako groźnego dziwadła, odrzucającego normy przyzwoitości i współżycia społecznego – jest więc logiczne: ma to

FOT. WIKTOR DABOWSKI/PAP

sprowokować przeciw homoseksualistom odruch potępienia, a jak się da, to i agresji. Po pierwsze, po to, by samych homoseksualistów w ten sposób „zaktywizować”. Po drugie, by wykazać się przed sponsorami. To nic nowego. Kto przeszedł działania innych ruchów marksistowskich, np. komunistów, gdy znajdowały się one na analogicznym „etapie”, zobaczy uderzające podobieństwa stosowanych metod i nawet używanej retoryki (na czele z zaprzeczaniem, by „ruch robotniczy” miał jakąkolwiek ideologię, i uporczywym wmawianiem, że chodzi tylko „o obronę ludzi pracy” i należne im prawa).

Ciekawsze wydaje się jednak – o co chodzi lewicowym politykom. Są oni bowiem istotną częścią objazdowej manifestacji. Trwa przecież kampania wyborcza, decydujące – także o przyszłości partii lewicowych – głosowanie odbędzie się już za dwa miesiące. Wypada więc chyba zapytać, na co liczą? Co chcą osiągnąć panowie Biedroń, Czarzasty i Zandberg, paradując w Płocku i innych miejscowościach pod wulgarnymi transparentami w rodzaju: „Prawico, nie zes...j się!”? Albo organizując wiec „potępienia dla nienawiści” w Białymstoku, przypominający gierkowski wiec „przywróćmy dobre imię miastu”, którym Radom w 1976 r., pod okiem kamer (pamiętam tę transmisję), przepraszał za „chuligańskie ekscesy garstki warcholów”.

Podobieństwo jest, ale jest też zasadnicza różnica: wiec radomski organizowały lokalne struktury PZPR i jej „sojuszników”, przynajmniej formalnie, bo rzecz oczywista, że w tamtym systemie bez inspiracji „centrali” nie było mowy o czymkolwiek. Jego sensem były przebiegłe deklaracje i kajania miejscowych. Natomiast niedawny wiec w Białymstoku był nieskrywanym najazdem na to miasto aktywistów z Warszawy i innych miast, co narzuciło mu charakter swoistej wizerunkowej „akcji pacyfikacyjnej”. Prowincjonalne miasto wykazało się brakiem tolerancji, agresją i zacofaniem, więc oto przyjeżdża lewica z całej Polski, by dzikich białostoczian postawić do pionu, pouczyć i wychować.

Doprawdy, czegoś takiego nie odnotowały jeszcze dzieje politycznego marketingu. Oczywiście wyjazdy „w teren” to elementarz. Jednak ich przekaz, wedle tegoż samego marketingowego elementarza, to zawsze wariacje nieodmiennego „jesteśmy tacy sami ja wy”. A tutaj mamy do czynienia z czymś wręcz przeciwnym.

Objazd kraju przez lewicę z Marszami Równości budzi jeszcze jedno skojarzenie z poprzednim ustrojem, nasuwające się zwłaszcza przy oglądaniu filmików, które udający się na paradę aktywiści kręcą w autokarach. Śpiewy, skandowanie haseł i ogólne „my wam pokażemy”, a przede wszystkim – przekonanie, że oto jadą, aby ciemnemu, „zaspanemu” miasteczku nieść „zastrzyk kolorowej energii”, przypominają znane z pamiętników i filmów wyjazdy „młodzieżowego aktywu MRP” na tzw. rozkułaczanie, podczas którego obdzieranym przez komunizm z dobytku chłopom urządzał ów aktyw propagandowe akcje wychowawcze, uświadamiając i „oświecając” ciemnotę nierozumiejącą, co to nieuchronny postęp.

ŚLADAMI UNII DEMOKRATYCZNEJ

Jednak i tu jest różnica. Dawni ZMP-owcy jechali do małych miejscowości, by „utrwalić” władzę ludową. Zanim się pojawili ze swą agitacją, chłopci byli już należycie sterroryzowani przez MO i KBW, „aktyw” miał więc w swej robocie propagandowej zapewniony posłuch.

Dzisiaj lewica musi dopiero o władzę... No, nawet nie o władzę, ale o dopuszczenie do parlamentu, walczyć. Przyjeżdżanie do Białegostoku, Płocka, Kalisza czy innej miejscowości z przekazem „jesteście ciemni, zacofani, musicie się zmienić pod nasze dyktando” na pewno jej głosów nie przysporzy. Ten przekaz – „jesteśmy od was lepsi, nowocześniejsi, oświeceni, zawstydzicie się swojej ciemnoty, padnijcie na kolana i w ogóle bądźcie wdzięczni, że pozwalamy wam na siebie głosować” – przeciwczyła w III RP już nieboszczyka Unia Demokratyczna. I choć ściągnęła w ten sposób na siebie wyborczą katastrofę, stale znajduje naśladowców. Przecież akcja „Twój sztab” konkurującej z lewicą PO zaczęła się od wypuszczenia w świat przekazu analogicznego – od filmiku, w którym Barbara Nowacka i Bartosz Arłukowicz „zawstydzają” spotkanego pod sklepem „PiS-owca”.

Jednak PO przynajmniej uświadomiła sobie, że to jej nie pomaga, i włożyła potem dużo wysiłku w „odkręcenie” całej sprawy. Liderzy lewicy natomiast wydają się ze swego paradowania na czele dziwadeł (z angielska „queer”, nie jest więc to chyba słowo uważane przez LGBT obelżywe) i z miotania gromów na niedorastających do postępu lokalsów czerpać niekłamanie zadowolenie.

Może więc – szukając w ich zachowaniu racjonalności – w ogóle nie chodzi tu

o owe miasteczka, lewica i tak uważa je za stracone (ale kiedyś przecież dawały one SLD ogromną liczbę głosów) i całe owo „rozkułaczanie” prowincji, owe swoiste, owe wizerunkowe pogromy osiadłej tam polskiej, katolickiej ciemnoty, mają tylko zmobilizować jej żelazny elektorat?

Jeśli tak, to stratedzy lewicy nadepnęli na grabie. Można zrozumieć zachowanie Roberta Biedronia – on „swój plan już zrealizował”, a partia, dzięki której wdrapał się do Brukseli i ani myśli stamtąd wracać wcześniej niż za pięć lat, była i tak partią „luźnych piasków”, przyciągnęła jednorazowo głosy zarówno ludzi kierujących się kryteriami celebryckimi, jak i takich, którzy wcześniej głosowali – w tej kolejności – na Korwin-Mikkego, Palikota i Kukiza (tak, wychodzi to z badań). Jednak żelazny, partyjno-mundurowy elektorat SLD i nieliczny, acz wierny sekciarski elektorat Partii Razem są wręcz rozbieżne. A akcentowanie w programie lewicy akurat haseł ruchu LGBT jest najlepszym sposobem, by je najskuteczniej rozdzielić.

Czarzastego powinno zaciekawiać niedawne badanie popularności haseł LGBT w rozbiciu na elektoraty. Sztandarowy postulat rewolucji, „związki partnerskie”, ma największe poparcie wśród respondentów deklarujących głos na lewicę – i to nie dziwi. Ale nawet w tym elektoracie jest to zaledwie 50 proc. Tymczasem Czarzasty nie tylko czyni tak mało popularne hasło osią lewicowej kampanii, lecz także dodaje do niego adopcję przez pary homoseksualne dzieci, co jest w jego elektoracie jeszcze bardziej odrzucane. I ustępuje przed szantażem tęczowych koalicjantów, nie wpuszczając na listę wyborczą Moniki Jaruzelskiej, dla elektoratu partyjno-mundurowego będącej z oczywistych względów ikoną, bo, zdaniem działaczy Razem i Wiosny, ma ona na LGBT „pisowskie” poglądy. Co zresztą jest prawdą, tyle że takie właśnie poglądy ma żelazny elektorat PZPR, i kolejne ekscesy świeżych sojuszników Czarzastego w rodzaju podrzynania gardła kukle biskupa w gejowskim klubie raczej go do obyczajowej rewolucji nie zachęca.

Może to sprawić, że typowy wyborca lewicy, kierujący się przede wszystkim sentymentem do PRL i złością na ustawę dezubekizacyjną, uzna, że to, co dostaje wraz z nimi w koalicyjnym pakiecie, nie jest jednak warte jego głosu. A wtedy radosne wyjazdy na tęczowe „rozkułaczanie” prowincji okażą się dla SLD swoistym konduktem pogrzebowym.



Podczas Marszu Równości w Gdańsku grupa uczestników szła z waginą stylizowaną na Najświętszy Sakrament FOT. PIOTR HUKALO/EAST NEWS



W trakcie Parady Równości w Warszawie odprawiono „tęczową mszę” FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/REPORTER



Uczestnicy marszu LGBT pod Jasną Górą sprofanowali wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej FOT. MACIEJ JARZĘBINSKI/FORUM



Z Jerzym Kwaśniewskim, adwokatem, prezesem Instytutu na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris rozmawia Tomasz Rowiński

Marsze Równości są aktami przemocy

TOMASZ ROWIŃSKI: Czy w Polsce jest bezwzględna wolność zgromadzeń?

JERZY KWAŚNIEWSKI: Żadna wolność nie jest bezwzględna i całkowita. Jasno wynika to z konstytucji i samej konstrukcji naszych wolności i praw. Artykuł 30 konstytucji wywodzi gwarancje wolności i praw z porządku ponadpozytywnego, z przyrodzonej, nienaruszalnej i niezbywalnej godności człowieka, ale jednocześnie każda z tych gwarancji musi czasem ustąpić pola innej. Tak też opisuje to klauzula limitacyjna w art. 31 ust. 3, wskazując, że każde z wolności i praw może być ograniczone pod wieloma warunkami.

Te warunki muszą być określone ustawowo?

Nie może to być dokonane inaczej niż w ustawie. Ograniczenia muszą być niezbędne i proporcjonalne dla zachowania bezpieczeństwa, porządku publicznego, ochrony środowiska, zdrowia i moralności publicznej oraz wolności i praw innych osób. Jednocześnie nie można naruszać istoty takiej wolności czy takiego prawa. Z tej perspektywy ważne jest rozróżnienie dokonane przez Trybunał Konstytucyjny, który wyróżnia prawa podstawowe, takie jak prawo do ochrony życia i zdrowia, a od 2015 r. także wolność sumienia. To są prawa, których nie wolno ograniczać

w imię innych praw o niższej randze. Wiele innych praw, w tym wolność słowa, prawo zgromadzeń, wolności polityczne, nie należy jednak do tego zestawu praw podstawowych.

Jakie są ustawowe ograniczenia dla wolności zgromadzeń?

Wróćmy do klauzuli limitacyjnej art. 31 konstytucji. Ograniczenie może nastąpić, gdy odbycie się danego zgromadzenia nieuchronnie prowadziłoby do zagrożenia bezpieczeństwa, zagrożenia dla życia, zdrowia czy mienia w wielkich rozmiarach, także do naruszenia moralności publicznej, a jednocześnie nie istniałaby możliwość zapewnienia przez państwo bezpieczeństwa w inny sposób niż przez ograniczenie wolności zgromadzeń. Istnieje niezwykle szerokie orzecznictwo Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu i polskiego Trybunału Konstytucyjnego oraz sądów administracyjnych wskazujące, że właściwie nie ma okoliczności, w których państwo może prewencyjnie zakazać zgromadzenia, nie mając niezbitych dowodów, że jego celem jest łamanie prawa.

Dlaczego tak jest?

Ponieważ w przypadku zgromadzenia jego prewencyjny zakaz jest narusze-

niem istoty prawa. Nie da się ograniczyć zgromadzenia, musielibyśmy go całkowicie zakazać. To byłoby użycie aparatu i siły państwa eliminujące wolność zgromadzeń. Praworządna jest inna ścieżka. Po pierwsze, trzeba zapewnić przestrzeganie prawa, i to jest obowiązek organizatora oraz władzy lokalnej, czyli samorządu terytorialnego i władzy wykonawczej, tu policji.

Nie wystarczy, że w czasie marszów politycznego ruchu homoseksualnego dochodzi do obrazy uczuć religijnych czy moralności publicznej?

Podstawowym problemem tych parad nie jest to, że one są rejestrowane, bo przecież przy ich rejestracji nikt nie deklaruje łamania prawa. Rzeczywistym problemem jest niezdolność władzy do ich rozwiązania, gdy dojdzie do oczywistego złamania prawa. Mamy do czynienia z marszami organizowanymi przez różne podmioty, pod hasłami, które nie są sprzeczne z prawem. Sama nazwa też może ulegać zmianom. Marsz Równości może się nazywać Marsz dla Równości, Marsz dla Tęczy itd. W jaki sposób zdefiniować w takiej sytuacji przesłanki prawne zakazu odbycia marszu? Zgadzając się na prawne zakazy, oddalibyśmy w ręce władzy wykonawczej instrument uznaniowego decydowania, że jakiś marsz z pewnością złamie prawo. Tymczasem, gdyby policja we współpracy z władzami lokalnymi dokonała rozwiązania kilku Marszów Równości już po ich otwarciu, z uwagi na niewątpliwie należące do ich tożsamości akty obsceny, co kwalifikuje się jako atak na moralność publiczną wypełniający znamiona czynu zabronionego, to wówczas cały ruch marszowy LGBT będzie musiał się liczyć z taką koniecznością. Ten, kto nie dostosuje się do decyzji o rozwiązaniu marszu, poniesie dalej idące konsekwencje karne.

Jednak dziś marsze te nie są rozwiązywane.

Tak, ponieważ nie jest prowadzony monitoring legalności marszów na poziomie wymaganym przez ustawę. Na przykład przedstawiciele Gdańska powinni niezwłocznie po zaobserwowaniu drwiny z Najświętszego Sakramentu zażądać od organizatora usunięcia stanu naruszenia prawa. Jeżeli organizator tego by nie zrobił, to wtedy można byłoby to zgromadzenie rozwiązać. W Warszawie mieliśmy paradę mszy świętej, w wielu innych przypadkach ludzi, którzy się obnażają – to są czyny, które podpadają pod Kodeks karny lub Kodeks wykroczeń. Nadzór nad legalnością marszów nie jest również należyty tam,

gdzie pierwotnie wydano zakazy prawekcyjne, uchylone następnie przez sądy. Tak było w Rzeszowie, gdzie władza wykonawcza zachowała się tak, jakby wyrok sądu uchylający zakaz prawekcyjny był zgodą na łamanie prawa podczas marszu. A przecież przyjęcie zgłoszenia marszu nie zwalnia organizatorów z tego, by odbył się on w zgodzie z prawem.

Czyli prawekcyjne zakazy marszu uderzałyby w demokrację?

Zakazanie marszu „z góry” naruszałoby istotę wolności zgromadzeń, szczególnie w sytuacji, kiedy wcześniej nie rozwiązywano marszu pomimo licznych naruszeń prawa. Zobaczmy, że prezydent Trzaskowski w 2018 r. pomimo tego, że przywołał historię rozwiązywania Marszu Niepodległości, i tak przegrał przed sądem, który uznał, iż prawekcyjny zakaz jest niedopuszczalny. Sąd stwierdził, że nie wolno tego robić, nawet jeśli uznamy, że historycznie były powody dla rozwiązywania marszu w czasie jego trwania. Jest też druga strona monety. Jeśli pozwolimy na wytworzenie praktyki prawekcyjnego zakazywania marszów, to wówczas o wiele łatwiej będzie władzy samorządowej rozwiązywać Marsze dla Życia i Rodziny, Narodowy Marsz Życia, Marsze Niepodległości, a wreszcie marsze polityczne tylko dlatego, że danemu samorządowi podnoszone na marszu hasła i postulaty nie byłyby na rękę. Następnie rozwiązanie jest lepszym zabezpieczeniem wolności.

Kontrmanifestanci mogą bezpośrednio przeciwstawić się atakom na moralność publiczną i bluźnierstwa?

Zgodnie z Kodeksem karnym możemy złać prawo, jeśli celem jest obrona jakiegoś bezpośrednio zagrożonego dobra. W przypadku marszu, gdy wskutek bierności władz osoby postronne stają się ofiarami czynów zabronionych, doznają zgorszenia lub obrazy uczuć religijnych, czasem może znaleźć zastosowanie konstrukcja obrony koniecznej. To wymaga zawsze indywidualnej oceny. Jednak z satysfakcją podjąłbym się obrony kogoś, kto wpadłby w gdańską paradę i wyrwał maszt z rąk grupy parodiującej procesję Bożego Ciała. Jedno jest pewne, w tej konstrukcji nie można bronić stosowania przemocy wobec manifestantów.

Wzburzenie nie jest okolicznością łagodzącą?

Nie sądzę, by miało to tu zastosowanie. Wzburzenie może uzasadniać prze-

kroczenie granic obrony koniecznej, ale nie samą obronę. Wzburzenie kontrmanifestantów jest jednak w znacznej części efektem syndromu abdykacji państwa, które albo nie broni swych obywateli, albo wybiera obronę niewłaściwej strony sporu. A państwo, które nie wykonuje swoich obowiązków jako stróż prawa, prowokuje obywateli do obrony prawa w drodze samopomocy. Przyjrzyjmy się sprawie Białegostoku. Gdy marsz zbliżył się do pokojowej blokady modlącego się pod katedrą tłum, policja wrzuciła między ludzi granat dymny, a następnie zaatakowała. Stało się to, zanim doszło do jakichkolwiek aktów agresji. Może była to próba rozproszenia tłum stojącego na drodze marszu? Jeśli tak, to reakcja policji wygląda na przekroczenie zasady proporcjonalności. Zanim dojdzie do stosowania środków przymusu bezpośredniego, policja może przecież zmienić trasę marszu. Jest to o wiele łagodniejsza formuła zapewnienia bezpiecznego odbywania zgromadzenia niż atak na kontrmanifestantów, którego następstwem musi być eskalacja agresji.

W sprawie Białegostoku zamieszanie informacyjne było zresztą ogromne. Wiemy o przypadkach przemocy, które potem okazywały się fałszywe, z kolei w niektórych ofiarach rozpoznawano kontrmanifestantów, a nie uczestników marszu.

Jednak w mediach od wielu dni można przeczytać, że mieliśmy praworządną manifestację i nastawionych na pogrom kontrmanifestantów.

Debate publiczna jest strywalizowana, spolaryzowana i zupełnie nie-nastawiona na dotarcie do prawdy. Już ustalanie stanu faktycznego jest poddane ideologicznej presji. Niezwykle rażące było oczekiwanie, że każdy – w ciągu doby – zajmie stanowisko potępiające kontrmanifestantów. A było od początku jasne, że sytuacja jest zniuansowana, a grup kontrmanifestantów było bardzo wiele. Jedni modlili się pod katedrą, były grupy kibicowskie, które chciały zająć drogę marszu, były wreszcie grupy gotowe do stosowania przemocy. Jednak i sam marsz dzielił się na frakcje, jedne chciały prowokować agresję, by uczynić się ofiarami przemocy, inne chciały pokojowo przemarszerować. Była wreszcie policja, która być może przekroczyła swoje kompetencje, próbując rozdzielić manifestantów, zamiast poprowadzić marsz bezpieczną ścieżką. Gdy zaś doszło do zamieszania, funkcjonariusze

■ wybrali dawno skompromitowaną taktykę wyłapywania wszystkich wokoło. Jest to działanie o charakterze represji i zastraszania, a z samych kilkudziesięciu zatrzymanych robi się kozła ofiarnego debaty publicznej. Władza wykonawcza cudzym kosztem pokazuje, że uczyniła zadość żądaniu sprawiedliwości, czyli stanęła po stronie Marszu Równości bez zbadania sprawy. Przed sądem może się to okazać całkowicie nieuczciwe. Jednak politycy wiedzą, że proces zakończy się za kilka lat, kiedy o sprawie wszyscy zapomnimy.

Czy w tej sytuacji polskie państwo ulega przemocy ideologicznej?

Jest oczywiste, że Marsze Równości są aktami przemocy. One są tak wyreżyszerowane, by razić obscenicznością i nas do obsceniczności, wulgarnych zachowań, naruszania uczuć religijnych przyzwyczajając i zachęcając, i tak prowokować państwo do bierności. To się dzieje wbrew prawu. To oczywiście prowadzi – tak jak każde niestosowanie prawa – do stworzenia przestrzeni dla popularyzacji rażąco radykalnych postulatów wyrażanych m.in. przez Pawła Rabieję, który mówi, że polityczny ruch homoseksualny dąży do pełnego zrównania relacji jedнопłciowych i małżeństwa, włącznie z adopcją dzieci. Jeżeli zaczynamy jako społeczeństwo i państwo tolerować najdalej idące wulgarnie zachowania na Marszach Równości, to o ile łatwiej będzie zaakceptować nam postulaty polityczne. To jest faktyczny cel marszów i stojących za nimi sił politycznych. Oczywiście nie są one siłami politycznymi homoseksualistów, tylko są siłami politycznymi budującymi swój kapitał na krzywdzie osób mających jakieś zaburzenia seksualne. Doprowadza to do sytuacji, w której te osoby są zapędzane w ideologiczny róg i albo muszą przystąpić do tej frakcji politycznej, albo żyć na jakimś całkowitym marginesie, ponieważ zaczynają być konfrontowane z całą resztą społeczeństwa niechętnego przypisywaniem im niesłusznie postulatów politycznym.

Jakie są metody działania politycznego ruchu homoseksualnego?

Wymusza on odarcie nas z prywatności, przez wymuszanie ostentacji w zakresie zachowań seksualnych, następnie formułuje postulaty polityczne całkowicie oderwane od tego, na czym może zależeć osobie praktykującej homoseksualizm. Jeśli ruch LGBT tworzy program w po-

staci warszawskiej „Deklaracji LGBT+”, której częściami są ograniczenie wolności przedsiębiorców klauzulami dyskryminacyjnymi, wprowadzanie polityki zatrudnienia powiązanej z orientacją seksualną, wulgarna edukacja seksualna od przedszkola, to definiuje on społecznie homoseksualistów, lesbijki, biseksualistów i transseksualistów. Przeciętny Polak zrozumie, zgodnie z intencją, że to są postulaty każdej osoby homoseksualnej. Polaryzacja będzie szła dalej, a jej pierwszą ofiarą zostanie homoseksualny „proletariat”, a zaraz za nim ład społeczny.

Rzeczpospolita jest zdefiniowana w pierwszych 29 artykułach konstytucji, w tym poprzez zawarty w art. 18 obowiązek wspierania rodziny zbudowanej na związku mężczyzny i kobiety

Jakie jest wyjście dla polskiego państwa w tej sytuacji?

Mamy jasno określony ład konstytucyjny. Mocno w nim zakorzeniona władza wykonawcza nie może obawiać się ataku ze strony radykalnych grup politycznych. Pamiętajmy, że Rzeczpospolita jest zdefiniowana w pierwszych 29 artykułach konstytucji, w tym poprzez zawarty w art. 18 obowiązek wspierania rodziny zbudowanej na związku mężczyzny i kobiety. Łatwo zapominać, że konstytucyjnym obowiązkiem państwa jest ochrona dzieci przed demoralizacją. Tymczasem demoralizacja, przywołana w art. 72 konstytucji, jest konstytucyjnie rozpoznany zagrożeniem dla dzieci! Podobnie łatwo pomija się preambułę ustawy zasadniczej, która deklaruje wdzięczność za kulturę zakorzenioną w chrześcijańskim dziedzictwie narodu. To są jasne fundamenty ładu społecznego i konstytucyjnego, które należy przeciwstawić postulatów radykałów. Po drugiej stronie mamy polityczny ruch LGBT, którego objazdowe Marsze Równości to nic innego jak pełzający zamach stanu, który ma na celu wywrócenie tego konstytucyjnego porządku.

Co z przemocą wobec polskiego chrześcijaństwa?

Agresja wobec chrześcijan ustępuje chyba tylko tej wobec art. 18 konstytucji

i jest w gruncie rzeczy tym samym atakiem na fundamenty ładu społecznego. Fala chrystianofobii i ataków motywowanych nienawiścią wobec chrześcijan jest świadectwem tej samej emocji politycznej, która ma być wehikułem przejęcia władzy i zbudowania nowego ładu politycznego i społecznego. To, że dochodzi do eskalacji i mamy do czynienia z atakami na księży, z nożownikami we Wrocławiu, z pobiciem w Szczecinie, z atakiem we Włocławku, to, że mamy do czynienia ze zwalnianiem pracowników za cytowanie Pisma Świętego, jest poprzedzone miękką nienawiścią w postaci plakatów z Najświętszą Maryją Panną w sześciobarwnym nimbie, z parodią mszy świętej, z tym, co się działo w Gdańsku. Państwo wobec tego wszystkiego pozostaje bierne. Prokuratura odmawia wszczęcia postępowania w sprawie oplakatowania klasztoru parodią ikony jasnogórskiej. W sprawie przedstawienia „Kłatwa” od miesięcy nie możemy doczekać się aktów oskarżenia. Widzimy zatem eskalację przemocy, najpierw pod osłoną galerii i teatrów, potem już bezpośrednio na ulicach, ale jeszcze pod pozorem Marszu Równości, w konwencji karnawału. Jeżeli pozwolimy na uspienie swej czujności, to nie dostrzeżemy, że mroczną kulminacją tego cyklu są ataki na kapłanów i deprawacja dzieci w szkołach. A jedynym oferowanym remedium – ustępstwa na rzecz burzącego ład społeczny ruchu LGBT, którego powołane do tego władze nie powstrzymały we właściwym czasie.

Zwróćmy uwagę, że wskutek tego przyzwyczajania do przemocy wobec chrześcijan po trzech atakach na księży nie mamy marszów solidarności, nie mamy selfie celebrytów z tabliczkami „Jestem księdzem”. Radykalna mniejszość była w stanie przyzwyczaić ludzi, że chrześcijan w Polsce się bije i znieważa, a prawo jest wobec tego bezsilne. Jeśli w tym kontekście spojrzymy na agresywną część kontrmanifestantów w Białymostku, to trzeba sobie zadać pytanie, kto ich wyhodował. Czy przypadkiem nie wyhodowało tych aktów agresji państwo, które pozostawało bierne i abdykowało ze swoich podstawowych funkcji?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Jerzy Kwaśniewski

– adwokat, współtwórca i prezes Instytutu na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris. Wspólnik w kancelarii Parchimowicz & Kwaśniewski.



Piotr Zychowicz

Nie można cenzurować historii w imię pojednania między Polakami a Ukraińcami. Autor „Wołyńia zdradzonego” odpowiada Pawłowi Smoleńskiemu z „Gazety Wyborczej”

Są dwa rodzaje recenzji książkowych. Autorzy pierwszych najpierw gruntownie czytają książkę, a następnie wyrażają o niej swój pogląd. Pochwalny, krytyczny lub znuansowany. Niezależnie od tego, jak oceniają książkę, w swojej recenzji posługują się merytorycznymi, rzeczowymi argumentami. Polemizują z tezami zawartymi w książce, ale zachowują szacunek dla jej autora.

Drugi typ recenzji to recenzja-połajanka. Aby napisać taki tekst, oczywiście nie trzeba książki czytać. Bo i po co? To, co napisał autor, i tak nie ma dla recenzenta najmniejszego znaczenia. Od samego początku jego celem nie jest bowiem obiektywna ocena treści, ale dokopanie „ideologicznemu wrogowi”. W recenzji takiej nie ma miejsca na argumenty. Zastępują je obelgi.

O ile pierwsze recenzje stanowią nieodzowny element cywilizowanej debaty publicznej, o tyle drugie są jej patologią.

Artykuł Pawła Smoleńskiego „Obalanie mitów trucizną języka” („Gazeta Wyborcza”, 29 lipca 2019 r.) należy niestety do tej drugiej kategorii. Autor – co wyraźnie wynika z treści tekstu – nie zadał sobie trudu przeczytania mojej książki „Wołyń zdradzony”. Ograniczył się do pobieżnego jej przejrzenia. Nie przeszkodziło mu to jednak w sformułowaniu pod jej (i moim) adresem bardzo ostrych zarzutów.

Jestem wyznawcą starej dobrej zasady, że autor książki nie powinien polemizować z jej recenzentem. Książka powinna bronić się sama. W tym przypadku muszę jednak odstąpić od tej reguły. Tekst Smoleńskiego całkowicie wypacza bowiem sens i przekaz „Wołyńia zdradzonego”, a co za tym idzie – wprowadza w błąd czytelników „Ale Historii”. Mam nadzieję, że redakcja „Gazety Wyborczej” nie odmówi mi prawa do obrony i przedstawienia własnego stanowiska.

WOŁYŃSKA AK

Już na początku recenzji Paweł Smoleński przyznał się do niekompetencji

i braku znajomości tematu. Aby ocenić prawdziwość głównej tezy „Wołyńia zdradzonego”, musiał bowiem skonsultować się ze znajomymi historykami. Zapytał ich, czy rzeczywiście Armia Krajowa w lipcu 1943 r. nie pomogła mordowanym przez banderowców Wołyńiakom? Znajomi historycy po-

których w książce wcale nie ma. Tezy, które zrodziły się w jego własnym, a nie moim, umyśle.

Paweł Smoleński deklaruje, że „między wierszami” mojej książki wyczytał, iż wołyńska AK powinna była zachować się tak jak Brygada Świętokrzyska NSZ. Czyli zamiast współpracować w 1944 r. z Sowietami w ramach akcji „Burza”, powinna była dogadać się z Niemcami. A następnie wycofać się u boku Wehrmachtu na Zachód. Rozumowanie takie Smoleński nazwał „głęboką niegodziwością” (!).

Problem w tym, że niczego takiego w mojej książce nie ma. Ani w jej wierszach, ani pomiędzy nimi. W „Wołyniu zdradzonym” znalazła się diametralnie inna teza. Moim zdaniem wołyńska

Ludobójstwo na Wołyniu – temat zakazany?

twierdzili – tak, niestety nie pomogła. Zychowicz ma rację.

Smoleński w swojej recenzji to przyznał. Napisał, że wierzy w cytowane w książce dokumenty i relacje. Wyraził żal z powodu tego, że Polskie Państwo Podziemne dopuściło się takich tragicznych w skutkach zaniedbań. I na tym właściwie recenzja Smoleńskiego powinna się skończyć.

Niestety, nie skończyła się. W dalszej części tekstu publicysta „Gazety Wyborczej” przystąpił bowiem do frontalnego, pełnego emocji i jadu ataku na... tezy,

AK zamiast współpracować z Sowietami w ramach akcji „Burza”, powinna była bronić Polaków z Wołyńia przed banderowskimi siekierami. Zawczasu stworzyć oddziały partyzanckie, które mogłyby stawiać czoło UPA i podjąć próbę powstrzymania eksterminacji.

Jak widać, między tym, co napisałem naprawdę, a tym, co „wyczytał między wierszami” Paweł Smoleński, jest diametralna różnica. W postawionej przeze mnie w „Wołyniu zdradzonym” tezie nie widzę nic „głęboko niegodziwego”. Natomiast w obrzucaniu obelgami

■ drugiego człowieka za poglądy, których nie wyraził – już tak.

BANDEROWCY CZY UKRAIŃCY

W mojej książce Smoleńskiemu najbardziej nie podoba się jej rzekomo „trujący język”. O cóż chodzi? Autor recenzji podał dwa przykłady. Po pierwsze, beszta mnie za to, że banderowców, którzy dokonywali krwawych pogromów polskich wsi, określałam w książce mianem „rezunów”. Czyli rzeźników. Brzmi to w jego uszach nieładnie, obraźliwie.

Muszę przyznać, że jest to zarzut zdumiewający. Przecież mówimy o ludziach, którzy nie walczyli w sposób honorowy przeciwko nieprzyjacielskim żołnierzom. Mowa o oprawcach, którzy bezlitośnie mordowali niewinną ludność cywilną – mężczyzn, kobiety i dzieci. Mowa o zbrodniarzach wojennych. Ludziach, których należy postawić w jednym szeregu z zabójcami z Einsatzgruppen czy NKWD.

Dlaczego Paweł Smoleński uważa, że nie wolno ich nazywać „rezunami”? Dlaczego miałbym stosować wobec nich taryfę ulgową? Nie potrafię tego pojąć. Niestety, publicysta „Gazety Wyborczej” nie pisze, jakie określenie byłoby bardziej adekwatne. A ja nie chcę zgadywać. Wiem tylko tyle, że gdyby jakikolwiek polski dziennikarz sprzeciwił się określaniu niemieckich oprawców z Babiego Jaru mianem „rzeźników”, byłby moralnie i zawodowo skończony.

Pawłowi Smoleńskiemu nie podoba się również to, że w „Wołyniu zdradzonym” znalazły się naturalistyczne, drastyczne opisy zbrodni dokonywanych przez banderowców na Polakach. Opisy te nazywa „światem wyśnionym przez Zychowicza”. Nie, to niestety nie jest świat wyśniony przez Zychowicza. Wszystkie opisy mordów, które znalazły się w „Wołyniu zdradzonym”, oparte są na relacjach ocalałych z ludobójstwa.

Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale to naprawdę tak wyglądało. Ludzie w XX w. naprawdę w ten sposób zabiłi. I w ten sposób umierali. Oczekiwanie, że autor książki poświęconej ludobójstwu na Wołyniu nie będzie pisał o tym, jak to ludobójstwo przebiegało, wydaje mi się co najmniej zaskakujące. A tego właśnie wymaga ode mnie Paweł Smoleński.



„Piotr Zychowicz twierdzi, że w »Wołyniu zdradzonym« rozprawia się z mitem AK, która zdradziła swych współbraci – pisze publicysta »Gazety Wyborczej«. – Ale to nieprawda – chodzi mu tylko o to, by jeszcze raz napisać, że Ukraińiec dorwał się do wideł, kos i noży, żeby mordować Polaków”.

To chyba najbardziej kuriozalny

fragment recenzji mojego adwersarza. Jak widać, Smoleński uważa, że wie lepiej niż ja, co chciałem przekazać w swojej książce. Jest to oczywiście piramidalna bzdura. Moja książka dotyczy braku reakcji Polskiego Państwa Podziemnego na banderowskie ludobójstwo. Gdybym chciał napisać książkę o „Ukraińcach, którzy dorwali się do kos i noży”, tobym taką książkę napisał.

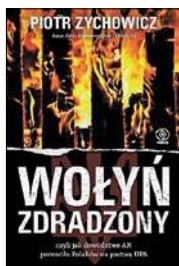
Mamy wolność słowa. Któż miałby mi tego zabronić? Po co

miałbym uprawiać taki kamuflaż? Po prostu pisząc książkę o Wołyniu, nie sposób uniknąć pisania o metodach ludobójstwa. Tak jak pisząc o Holokauście, nie sposób nie wspomnieć o komorach gazowych.

Smoleński autorytarnie stwierdza jednak, że „Wołyn zdradzony” podsycza nienawiść i nastroje rewansu wobec Ukraińców. Moja książka ma być rzekomo jakimś szowinistycznym manifestem, który przedstawia wszystkich Ukraińców jako prymitywną, żądną laskiej krwi czerń i tłuszcz. Jest tymczasem dokładnie odwrotnie. „Wołyn zdradzony” nie jest książką antyukraińską, jest książką antynacjonalistyczną.

Dowód? Proszę bardzo. Oto cytaty z „Wołynia zdradzonego” (s. 431–432):

„W książce tej znalazło się wiele niezwykle szokujących, drastycznych opisów zbrodni popełnionych przez banderowców na Polakach. Moją intencją nie było jednak wywoływanie w czytelniku niechęci do Ukraińców. Ostrze książki jest wymierzone w ukraińskich



PIOTR ZYCHOWICZ
„WOŁYŃ
ZDRADZONY”
REBIS 2019



Ciała Polaków zamordowanych przez oddział Ukraińskiej Powstańczej Armii w nocy z 26 na 27 marca 1943 r. we wsi Lipniki w dawnym województwie wołyńskim. FOT. IPN

nacjonalistów i ich totalitarną, ekstremistyczną ideologię, która doprowadziła do ludobójstwa.

Za tragedię polskich mieszkańców Wołynia nie odpowiadają wszyscy Ukraińcy, nie odpowiada za nią cały ukraiński naród. To nie była żadna masowa chłopska rewolta. To była operacja eksterminacyjna zaplanowana na zimno przez czołowych działaczy Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. I zrealizowana przez Ukraińską Powstańczą Armię. To OUN i UPA należy winić za to, co się stało.

Większość ukraińskich mieszkańców Wołynia nie brała udziału w »rzeźni Lachów«. Wielu z nich – mimo banderowskiego terroru – udzielało nawet Polakom pomocy, ukrywało ich przed siepaczkami. Jeżeli informacje o tym docierały do UPA, to ci wspinali ludzie, dobrzy sąsiedzi byli bezwzględnie mordowani.

Nigdy nie zapomnę słów, jakie usłyszałem przed laty od Sulimira Stanisława Żuka, niezwykle mądrego Polaka, który

jako młody chłopiec ocalał z banderowskiej rzezi na Podolu. »Nie ma złych narodów – powiedział mi – są tylko źli ludzie i złe ideologie«. Dlatego właśnie gdy w »Wołyniu zdradzonym« piszę o mordercach Polaków, używam zawsze określeń »banderowcy«, »ukraińscy szowiniści«, »ukraińscy nacjonaści«. A nie – »Ukraińcy«. Nie wierzę bowiem w winę kolektywną. Jest tylko wina indywidualna.

PODWÓJNE STANDARDY

Gdyby Paweł Smoleński zadał sobie odrobinę trudu i przeprowadził »research« na mój temat, dowiedziałby się, że jako konserwatysta jestem zdeklarowanym przeciwnikiem nacjonalizmu. Każdego nacjonalizmu. Ukraińskiego, polskiego, litewskiego, niemieckiego czy żydowskiego. Ideologię tę zwalczam jako patriotą ojczyzny moich przodków – wielonarodowej Rzeczypospolitej, która właśnie przez nacjonalizmy została zniszczona i rozszarpana. Unicestwiona.

Polsko-ukraińskie pojednanie i dobrosąsiedzkie relacje z Kijowem oczywiście leżą mi na sercu. W przeciwieństwie do Pawła Smoleńskiego nie widzę jednak powodu, żeby w imię osiągnięcia tych celów retuszować tragiczną historię naszych narodów. Zamiatać pod dywan niewygodne fakty sprzed 76 lat. Mówimy przecież o zagładzie kilkudziesięciu tysięcy niewinnych istnień ludzkich. Ludziom tym należy się pamięć i – przede wszystkim – prawda.

W pisarstwie Pawła Smoleńskiego – czy też szerzej całej »Gazety Wyborczej« – dostrzegam pewną rażącą niekonsekwencję. Zarówno mój adwersarz, jak i inni dziennikarze »Wyborczej« często piszą o zbrodniach popełnianych przez Polaków na Żydach. Opisuja je z najdrobniejszymi, drastycznymi szczegółami. Nie szczędzą swoim czytelnikom krwawych, realistycznych opisów gwałtów, rabunków i zabójstw. Te teksty często szokują.

W tym przypadku »Gazeta Wyborcza« stoi bowiem na stanowisku, że prawda jest najważniejsza. A prawdziwe pojednanie między Polakami a Żydami może zostać osiągnięte dopiero wtedy, gdy Polacy przyjmą do wiadomości, że ich przodkowie dopuścili się wobec Żydów wielu zbrodni i niegodziwości. I oczywiście wyrażą za to wobec swoich żydowskich bliźnich skruchę. Dojrzałe narody poznaje się bowiem po tym, że potrafią rozliczyć się ze swoich ciemnych kart.

W sprawie banderowskiego ludobójstwa dokonanego na Polakach z Wołynia »Gazeta Wyborcza« zdaje się zajmować diametralnie inne stanowisko. Temat ten na jej łamach poruszany jest rzadko i niechętnie. Po cóż bowiem jątrzyć? Po cóż »podsycać nienawiść«? Przecież przytaczanie drastycznych opisów mordów dokonywanych na bezbronnych cywilach przez banderowskich oprawców może zrobić przykrość naszym ukraińskim przyjaciółom. Patrzymy w przyszłość. Zapomnijmy o tym, co nas dzieliło, a pamiętajmy o tym, co łączy.

Obawiam się, że jest to modelowy przykład stosowania metody podwójnych standardów. Przestańcie wreszcie – Panie i Panowie – traktować Ukraińców jak dzieci.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Artykuł został odrzucony przez »Gazetę Wyborczą«.

O KSIĄŻCE »WOŁYŃ ZDRADZONY« CZYTAJ TEŻ W FELIETONIE SŁAWOMIRA CENCKIEWICZA NA STR. 96

Kiedy Belgia lizała rany



Dwaj żołnierze belgijscy na ruinach wyzwolonego miasta Ypres, listopad 1918 r.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Piotr Semka z Brukseli

Świadomość, że państwo Flamandów i Walonów wyszło z I wojny światowej z miastami zrównanymi z ziemią, po brutalnej, niemieckiej okupacji, niemal u nas nie istnieje. Niezwykle ciekawa wystawa „Po wielkiej wojnie: 1918–1928” pokazuje, jak trudne do zagojenia były rany Belgii po wielkiej wojnie

Maleńka Belgia zachwyciła aliantów odważnym wystąpieniem przeciwko armii niemieckiej w sierpniu 1914 r. Walki trwały trzy tygodnie, ale zatrzymały znacząco tempo posuwania się Niemców w kierunku Paryża i pozwoliły Francuzom stworzyć front nad Marną. Te tygodnie oporu państewka o niewielkiej armii wzbudziły z jednej strony furię Niemców, a z drugiej strony sympatię całego zachodniego świata. Rychło wzmocniły je wiadomości o zachowaniu się wojsk cesarskich w napadniętym kraju. Niemcy rozstrzelali masowo cywilów podejrzewanych o strzelanie do Niemców i bombardowali bez skrupułów belgijskie miasta w razie najmniejszego oporu. Symbolem niemieckiego barbarzyństwa tamtego czasu był

pożar biblioteki uniwersyteckiej w zabytkowym Leuven. Król Belgii także stał się bohaterem prasy w krajach ententy, gdyż zdołał zatrzymać napór wojsk niemieckich w zachodniej Flandrii. Na tym ostatnim wolnym skrawku Belgii król Albert I zbudował front, który jego armia utrzymała przez cztery lata wojny.

Niemieckie władze rządziły twardą ręką. Za najmniejszy przejaw oporu można było trafić do więzienia lub obozu internowania. Powszechne oburzenie wywoływały karne zsyłki do fabryk amunicji na terenie Niemiec. Inną ponurą sławę zyskały ogrodzenia pod napięciem, które Niemcy rozstawili na granicy z neutralną Holandią, aby zapobiec ucieczkom z okupowanego kraju. Rząd Belgii urzędował na wygnaniu w normandzkim porcie Hawr.

W końcu przyszedł kres potęgi Niemiec. 10 listopada 1918 r. w Brukseli wybuchła rewolucja w niemieckich oddziałach i na Palais des Nations wywieszono czerwoną flagę. Doszło do strzelaniny między zrewoltowanymi żołnierzami a trzydziestoma oficerami wiernymi cesarzowi. 11 listopada Niemcy podpisały zawieszenie broni i zobowiązały się w pierw do opuszczenia Belgii, a potem do wycofania się na wschodni brzeg Renu. Dla Belgii wojna się skończyła. Zaczął się bardzo niełatwy pokój.

SAMOSĄDY I OKUPACJE

Władze belgijskie wezwały swoich rodaków jeszcze pozostających pod okupacją, aby nie urządzali żadnych demonstracji i w spokoju doczekali przybycia wojsk alianckich. Tyle że wcześniejsza brutalność niemieckiej okupacji wywoływała naturalną chęć odwetu. Szczególnie we Flandrii Niemcy jako patroni narodów germańskich rozwinęli spory ruch kolaboracyjny, który bazował na wcześniejszym odmawianiu przez Brukselę Flamandom praw językowych. Pod patronatem niemieckiego gubernatora Belgii, gen. Moritza von Bissinga, stworzono flamandzki uniwersytet w Gandawie. Wielu biznesmenów, sklepikarzy i zwykłych Belgów postawiło na Niemców jako nowych władców kraju.

Teraz, gdy wiadomo było już, że Niemcy przegrały wojnę, zaczął się czas odwetu. Przez parę tygodni kobiety zadające się z Niemcami były golone na łyso. Domy i sklepy Belgów, którzy postawili na kolaborację, były plądrowane, a ich właściciele byli bici. Na wystawie oglądam eksponaty związane z tamtymi dniami. Oto policyjny album ze zdjęciami kobiet z Brugii utrzymujących intymne relacje z Niemcami. Sporządzili go w czasie okupacji Niemcy, przeczulen na punkcie szpiegomanii, ale po wojnie stał się on obciążającym dowodem zdrady dla wielu mieszkanki miasta. Oto komunikat z grudnia 1918 r. o usunięciu doktora van Bockstaele z Belgijskiego Towarzystwa Chirurgów za niegodną postawę w czasie okupacji. Tuż obok płyta z satyryczną piosenką o Belgijkach idących do łóżka z Niemcami z 1918 r. I jeszcze jedna pamiątka po tamtych czasach. List dr. Lammensa z Gandawy do syna Urbaina. List zwrócono nadawcy z adnotacją, że syn uciekł wraz z wojskami kajzerowskimi do Niemiec.

Wojska belgijskie szybko zajmowały okupowane ziemie. Rozpoczęła się trasa triumfalna króla Alberta I i jego żony Elżbiety, którzy wręczali do kolejnych miast Belgii witani przez wdzięcznych poddanych. 22 listopada prawowitemu władcy pokłoniła się w hołdzie Bruksela. Do 27 grudnia z kraju usunięto wszystkich Niemców. Jednak mimo zawieszenia wojny w Belgii stacjonowała nadal ogromna liczba obcych żołnierzy. Kraje ententy nie były pewne, czy Niemcy nie wywołają wojny raz jeszcze. W styczniu 1919 r. Belgia gościła na swoim terenie ponad 40 obcych dywizji – Amerykanów, Brytyjczyków, Australijczyków i Nowozelandczyków.

Dla wybiedzonych Belgów było to źródło pomocy żywnościowej, a niekiedy pomoc w odbudowie kraju. Do najniebezpieczniejszych prac usuwania niewybuchów i niewypałów w strefie dawnego frontu wykorzystywano niemieckich jeńców, co wywoływało protesty Berlina. I znów wzruszający eksponat. Oto list amerykańskiego oficera, który wystąpił do władz belgijskich

z wnioskiem o adopcję belgijskiego chłopca sieroty. A tuż obok cynowy talerz sprezentowany przez oficera ze sztabu jednostki nowozelandzkiej belgijskiej rodzinie Laigle z miasteczka Marchienne-au Pont w podziękowaniu za gościnę jesienią 1918 r. Armia belgijska nie tylko nie została zdemobilizowana, lecz także powołano młode roczniki. Belgowie wzięli udział w okupacji niemieckiego zachodniego brzegu Renu. Dla ludzi, którzy przez cztery lata znosili butną okupację niemiecką, była to moralna satysfakcja, a niekiedy okazja do odwetu.

Wiele zmieniało się też w samej Belgii. Powołano Rząd Jedności Narodowej i przeprowadzono wiele zmian socjalnych, które miały zatrzymać wybuch niezadowolenia społecznego. Wprowadzono ośmiogodzinny dzień pracy, zasadę sześciu dni roboczych w tygodniu i prawo kobiet do głosowania w wyborach samorządowych. W wyborach parlamentarnych mogły głosować tylko Belgijki, które brały udział w antyniemieckim ruchu oporu oraz wdowy po bohaterach wojennych. Król Belgii wprowadził te reformy bez zmian w konstytucji, co spowodowało oburzenie prawej części sceny politycznej. Konserwatyści głosili, że „belgijska konstytucja była ostatnią ofiarą wojny”.

W listopadzie 1918 r. ponad 700 tys. Belgów przebywało poza krajem. Każdy, kto pamięta przygody Herkulesa Poirota – bohatera kryminałów Agaty Christie, przypomina sobie, że trafił on po wybuchu wojny w 1914 r. do Wielkiej Brytanii jako ewakuowany podkomisarz policji z Liège. O ile Poirot nie wyjechał już z Londynu, o tyle ok. 200 tys. Belgów z Wielkiej Brytanii już w listopadzie i grudniu wróciło na belgijską stronę kanału La Manche. Anglicy sami dostarczali statki do przewozu uchodźców, bo chcieli się pozbyć obciążenia. Równie szybko do kraju wróciło 326 tys. Belgów, którzy znaleźli schronienie we Francji, nieco później, bo w lutym 1919 r., wrócili pociągami z Holandii ci, którym udało się przerwać niemiecką blokadę granicy, chociaż uchodźcy byli we Francji i Anglii traktowani z ogromną życzliwością. Pamiątką po tamtych czasach jest zdjęcie „z belgijskiego święta



U góry: australijscy żołnierze po wyzwoleniu Brukseli pozuja na tle słynnej fontanny Manneken Pis.

Na dole: Brugia, listopad 1918 r. Tłum plądruje sklep Belga, który w czasie okupacji wysługiwał się Niemcom

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



pożegnania” uczczonego w Birmingham na początku 1919 r.

Król Belgów nie został dopuszczony do wielkiej czwórki przywódców USA, Wielkiej Brytanii, Francji i Włoch, którzy rozdawali karty na konferencji w Wersalu. Mimo tego Belgowie ugrali całkiem sporo, znów wykorzystując swoją sławę małego kraju, który stawiał czoła kajzerowi cesarstwa Niemiec. Przede wszystkim Belgii złożono obietnicę rekompensat finansowych w złocie ze strony Niemiec za zniszczenia wojenne. Po drugie Belgia otrzymała dwa fragmenty Niemiec: okręgi Eupen i Malmedy. Po trzecie wreszcie w ramach odszkodowań za wojnę Belgowie otrzymali jako terytorium mandatowe były niemieckie kolonie Rwanda-Urundi. Marynarce belgijskiej przekazano też sześć kutrów torpedowych i jeden duży torpedowiec. Paradoks polegał na tym, że Belgia nie była w stanie utrzymać nawet tak niedużej floty i pozbyła się statków w ciągu paru lat po wojnie. Jednak prestiż Belgii był kartą, którą sprawnie grała władza w Brukseli. Król Albert przy okazji konferencji wersalskiej zapraszał przywódców ententy, takich jak prezydent Woodrow Wilson czy Georges Clemenceau, do odwiedzenia zrujnowanych miast wschodniej Flandrii. Gestem uznania wobec Belgii była też zgodna uchwała komitetu olimpijskiego przyznająca belgijskiej Antwerpii przywilej organizowania igrzysk olimpijskich 1920 r.

PAŃSTWO W RUINIE

Rząd musiał odbudować niemal cały swój przemysł. Niemcy wywozili sprzęt z fabryk, demontowali tory i wywozili dzwony z belgijskich kościołów jako cenne źródło kruszców. Władze belgijskie początkowo liczyły, że niemieckie reparacje pomogą szybko odbudować kraj. Belgia jednak nie dostała tyle, ile jej obiecali w Wersalu, a niemieckie reparacje spływały bardzo wolno. Belgijski frank ulegał szybkiej inflacji i dopiero w 1926 r. wprowadzono nową walutę, która miała już wreszcie jakąś wartość. Aby odbudować zaufanie do nowego franka, znów posłużono się autorytetem władcy, którego oblicze umieszczono na nowych monetach i banknotach. Z ogromną pomocą przyszła Ameryka, w której legenda o bohaterstwie Belgii uruchomiła liczne zbiórki i hojność milionerów. Biblioteka uniwersytecka w Leuven została odbudowana przez Amerykanów. Początkowo planowano, że będzie ją zdobić napis na froncie budynku: „Furore teutonico diruta, dono americano



Niedługo po wojnie zaczęła rozkwitać turystyka pól bitewnych. Te dwie entuzjastki pozują na byłej niemieckiej baterii artylerii nadbrzeżnej „Pruska Hława” w okolicach Ostendy. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

restituti” („Zniszczona przez furję teutońską, odbudowana z darów Ameryki). Z napisu po długich naradach zrezygnowano.

Pochyliam się nad modelem Ohio Bridge z jednego ze wschodnioflandryjskich miasteczek. Zacięci obywatele Ohio uczcili w ten sposób udział wojsk USA w bitwie o Skaldę w 1918 r. i odślonili go w 1928 r. Most ozdobiono czterema figurami bizonów naturalnej wielkości, które symbolizowały siłę Ameryki.

Osobnym problemem była niewiarygodnie duża liczba niewypałów, które wchłonęła belgijska ziemia w czasie walk frontowych lat 1914–1918. W latach 1920–1922 brytyjska firma Pickett wydobyla i zdetonowała 32 tys. ton amunicji w samym tylko okręgu Houthalen. Innym, nie najszcześliwszym pomysłem było zatopienie w 1919 r. przez Belgów kanale La Manche 35 tys. ton broni chemicznej, którą zdobyto na Niemcach. Do dziś co roku saperzy armii belgijskiej rozbierają ok. 200 ton niewypałów sprzed stu lat. A ostatnia rata odszkodowań niemieckich została zapłacona Belgom przez RFN w 2010 r.

ROARING TWENTIES

Ostatnia część wystawy opowiada o niepojętym pędzie do zabawy, który opanował Belgię, podobnie jak inne kraje Europy, w latach 20. Pokolenie, które spędziło młodość w warunkach okupacji lub we frontowych okopach, teraz, o ile dysponowało pieniędzmi, nadrabiało stracone lata. Szalone zabawy, powodzenie music-hallów – bardzo często nihilistyczne życie ponad stan było wtedy zjawiskiem częstym. Przekraczano też dawne kano-ny obyczajowe. Symbolem tych nowych trendów są zdjęcia z występów niemal

nagiej tancerki Josephine Baker, która została przyjęta w Brukseli z hałaśliwym entuzjazmem. Nową epokę zwiastowały jazz, kino i nowe trendy w sztuce. Trend art déco akurat w Holandii zderzył się z modą na afrykańską sztukę prymitywną, która opanowała Belgię dzięki posiadaniu ogromnego imperium kolonialnego w Kongu. Bohaterem tamtych dni był Edmond Thieffry, który przeleciał trasę Bruksela–Léopoldville w Kongu. Stworzenie potem bezpośredniego połączenia lotniczego z największą afrykańską kolonią obsługiwanego przez linie Sabena było powodem dumy ówczesnych Belgów.

Dopiero wychodząc z wystawy, można zrozumieć, jak wielkim szokiem była tak bardzo krwawa wojna dla ówczesnego pokolenia Belgów. I tym łatwiej zrozumieć, dlaczego po takiej hekatombie i upływie krwi w 1940 r. ten sam kraj walczył nieporównanie słabiej. Następca bohaterskiego króla Alberta – Leopold III – zachował się biernie, wręcz na granicy kolaboracji. Belgia była tak przetracona psychicznie I wojną, że jej opór w czasie kolejnej niemieckiej okupacji był znikomy. To samo zdarzyło się we Francji pod rządami marszałka Philippe’a Pétaina. Po wojnie jednak powrócono do czczenia ofiar I wojny światowej. Wizyty belgijskiej pary królewskiej w towarzystwie przywódców Francji, Wielkiej Brytanii i USA na wielkich polach bitewnych pierwszej wojny są w tym kraju stałym elementem protokołu.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Po wielkiej wojnie 1918–1928” w Królewskim Muzeum Armii i Historii Wojskowości w Brukseli czynna jest do 22 września 2019 r. Szczegóły na: www.klm-mra.be.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Heil Hitler przy obiedzie

Babcia mojej żony miała niemiecką niańkę, którą nazywała Emunia. Na krótko przed wojną Emunia zabrała ją na wakacje w swoje rodzinne strony – do samego serca III Rzeszy. Dla młodej polskiej dziewczyny była to bardzo atrakcyjna, egzotyczna wyprawa. Po wielu latach zapytałem ją o wrażenia.

– Najbardziej zaskoczyły mnie piekarnie – odpowiadała babcia. – Można było w nich kupić tylko czerstwy chleb wypieczony poprzedniego dnia. Świeżego chleba Hitler sprzedawać zakazał.

– Dlaczego?

– Bo czerstwego chleba je się mniej niż świeżego. Niemcy musieli zaś zaciskać pasa. Wszystkie pieniądze szły na zbrojenia.

Tę historię przypomniałem sobie, czytając ciekawą książkę Julii Boyd „Wakacje w Trzeciej Rzeszy”. Babcia mojej żony nie była oczywiście jedyną osobą, która spędziła lato w imperium Hitlera. Na podobny pomysł wpadło wielu Anglosasów.

Przyjeżdżali do III Rzeszy na wycieczki, kuracje czy miesiące miodowe.

Julia Boyd zebrała pozostawione przez nich relacje. Są oczywiście pełne kontrastów. Z jednej strony – bajeczne krajozaby. Zamki, góry, piwiarnie, jeziora i rzeki. Malownicze kamieniczki

i sympatyczni bauerzy. A z drugiej rodzący się totalitaryzm. Swastyki, tupiące buciorami kolumny brunatnych koszul i krzykliwe propaganda. Drewniane pałki i pobite szkło na chodnikach.

Niektórzy turyści starali się tych paskudztw nie dostrzegać, inni wyjeżdżali z Niemiec pełni niesmaku.

„Wyborny lunch w Helmsstedt – pisał Edward Wall – obrzydł przez natrętne »heil« z ust każdego, na powitanie i pożegnanie. Siedzieliśmy przy drzwiach i słyszeliśmy tego aż nadto. Trasa opisywana w przewodniku jako »prowincja z wieloma ośrodkami przemysłowymi« obfituje w agresywne przejawy nazistowskiego zapału”.

Inne odczucia miał brytyjski parlamentarzysta sir Arnold Wilson, który tak przemawiał do młodzieży w Królewcu:

„Miałem okazję przyjrzeć się Młodym Niemcom. Podziwiam niespożytą energię, jaką tchnął w ludzi ruch narodowosocialistyczny. Szanuję patriotyczny zapał niemieckiej młodzieży. Zazdroszczę głębi i żarliwości poszukiwań narodowej jedności. Jest całkowicie bezinteresowna, a co za tym idzie, na wskroś dobra”.

O, ironio – sir Wilson w 1940 r. poległ w walce z Niemcami. ©©



★★★★★
JULIA BOYD
„WAKACJE
W TRZECIEJ
RZESZY”
PRÓSZYŃSKI
I S-KA



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Lwowiak

W południowej pierzei lwowskiego Rynku, pod numerem 21, wznosi się XVI-wieczna kamienica zbudowana na polecenie Ubaldiniego de Ripa, wygnańca z Florencji. Był on przeciwnikiem rządzących tam Medyceuszów (posiadających już tytuł wielkich książąt Toskanii) i zmuszony do opuszczenia rodzinnego miasta osiadł we Lwowie. Jak przystało na obywatela bankierskiego grodu, dzięki udanym transakcjom finansowym szybko zrobił nad Pełtwią majątek.

W okresie międzywojennym na parterze kamienicy mieściła się znana z fantastycznych wypieków cukiernia prowadzona przez Feliksa Michotka. Lokal był największym rywalem słynnej cukierni Zaleskiego (przy dzisiejszej ul. Szewczenki 10 – obecnie cukiernia Switocza), wspominanej z łezką w oku przez niemal wszystkich lwowiaków.

Synem właściciela cukierni był Jerzy Michotek – piosenkarz, aktor, reżyser programów telewizyjnych i radiowych. Wprawdzie na świat przyszedł 31 sierpnia 1921 r. w Częstochowie, ale młodość spędził w najbardziej polskim z miast i tam też na kilka miesięcy przed wybuchem wojny zdał maturę. W 1939 r. podzielił los wielu krajanów – zesłany do kopalń Workuty, powrócił dopiero po siedmiu latach. Osiadł we Wrocławiu, gdzie ukończył studia uniwersy-

teckie (specjalność – historyk literatury polskiej), następnie zdał eksternistyczny egzamin aktorski i reżyserski. Gdy w latach 50. grał w warszawskim teatrze Syrena, dyrektor Jerzy Jurandot nieustannie upominał go podczas prób: „Bez akcentu, panie Jerzy, bez akcentu”. Jak bowiem przystało na obywatela grodu nad Pełtwią, mówił w charakterystyczny sposób, czasami też wtrącając słowa w bałaku.

Pomimo ograniczeń cenzury trzykrotnie udało mu się posłużyć lwowską gwarą w telewizyjnych produkcjach. Chociaż pierwsza próba została niemal w całości wycięta („Akcja V”), to dwie następne kreacje Michotka – Adaśko Horoszewski w serialu „Polskie drogi” i Tolek Pociągło w serialu „Dom” – na zawsze pozostały w pamięci widzów. W obu przypadkach były to role ludzi pogodnych, życzliwych innym i pełnych radości życia, bo tak właśnie wyobrażamy sobie mieszkańców Lwowa. I taki też był Jerzy Michotek, który do końca życia nie zapomniał o mieście, gdzie przeżył najbardziej beztrudne lata swojego życia. Po upadku komunizmu wydał wspomnienia „Tylko we Lwowie”. Działal w Towarzystwie Miłośników Lwowa i zaangażował się w odbudowę cmentarza Łyczakowskiego. Wprawdzie ostatnie lata życia spędził w Warszawie, ale gród nad Pełtwią na zawsze pozostał w jego sercu. ©©



FOT. MUSEUM NIEPODLEGŁOŚCI/EAST NEWS

rząd nie mógł liczyć. Rządzący byli skłonni rozmawiać i chcieli wciągnąć Solidarność do współodpowiedzialności za wychodzenie z kryzysu – nie oddając władzy politycznej.

Solidarność też nie była najsilniejsza, ale pojawiła się szansa ponownej legalizacji, pewnych reform gospodarczych i zmian systemu politycznego. Solidarność widziała to jako krok w kierunku zmiany ustroju. Patronat Kościoła oznaczał, że należy korzystać z szansy na ewolucyjną zmianę, unikając zwykłego w przypadku rewolucji przelewu krwi.

Solidarność nie zakładała, że częściowo wolne wybory do Sejmu mogą się zakończyć tworzeniem rządu. To jasno oświadczono w Magdalence – układ miał być zawarty tymczasowo, do momentu w pełni wolnych wyborów. W tym okresie powinny powstać instytucje demokratyczne takie jak partie polityczne.

4 czerwca 1989 r. wszystko zmienił, ale i wówczas Tadeusz Mazowiecki wykluczał tworzenie rządu. Tymczasem...

„SPISEK”

Pierwszy sygnał o istnieniu drugiej Magdalence i Okrągłego Stołu wpływa do pośredniczących i obserwujących negocjacje przedstawicieli episkopatu Polski 17 marca 1989 r. O nagłe spotkanie z ks. Alojzym Orszulikiem prosi Stanisław Ciosek. Mówi (z notatki ks. A.O.): „Z kolei Ciosek szeroko uzasadniał potrzebę przeprowadzenia wyborów do Sejmu i Senatu w czerwcu. Powiedział, że brutalna prawda jest taka, iż z powodu braku pieniędzy nie można czekać z wyborami do jesieni. Powiedział też, że nie można się będzie wycofać z wyborów do Senatu i z instytucji prezydentury. Na marginesie tych wywodów powiedział, że zauważył przedziwne zbliżenie między min. Urbanem a Michnikiem, który nalega, by przesunąć



Sławomir Siwek

Wyniki wyborów 4 czerwca 1989 r. zmieniły sytuację w Polsce. Pojawił się problem władzy: kto ma stworzyć rząd?

Oficjalnie Aleksander Kwaśniewski ujawnia się dopiero 2 marca 1989 r. o godz. 9.30 w czasie plenarnego spotkania w willi MSW w Magdalence. Wchodzi do gry. Generał Czesław Kiszczak zgłasza Kwaśniewskiego do zespołu roboczego, mającego przedyskutować wszystkie problemy, które powinny zostać ostatecznie załatwione przy Okrągłym Stole. Przede wszystkim – polityczne. Do zespołu wchodzi Adam Michnik.

To drugie ujawnienie. Oficjalnie pojawia się Adam Michnik, który w głównych spotkaniach w Magdalence nie uczestniczył. A niewiele wcześniej, bo 24 stycznia – w czasie spotkania Stanisława Cioska, Kazimierza Kłody, Tadeusza Mazowieckiego i ks. Alojzego Orszulika w willi URM przy ul. Bacciarellego – Ciosek protestuje przeciw obecności Michnika i Kuronia przy Okrągłym Stole.

Coś się dzieje. Nie wszyscy są zorientowani co. Oto 24 lutego w czasie kolejnego „małego”

spotkania przy ul. Bacciarellego Tadeusz Mazowiecki zgłasza zastrzeżenia do wywiadu Kwaśniewskiego, który ukazał się w prasie. Zarzuca Kwaśniewskiemu, że rozgrywa on układające się strony...

Na co występuje Andrzej Gdula – wiceminister u Czesława Kiszczaka, następnie kierownik wydziału KC PZPR – z pochwałą... wypowiedzi Michnika. Gdula jest głosem Kiszczaka.

A zatem Michnik także jest już w grze. Ciosek i Mazowiecki jeszcze nie wiedzą, że trwają inne negocjacje. A może – że mają one tak dużą wagę. Nagle się okazuje, że Jaruzelski i Kiszczak wycofują swoje zastrzeżenia wobec Michnika i Kuronia. Blokowali ich udział w głównych rozmowach w Magdalence. Zgadzają się, by usiedli przy Okrągłym Stole.

Doradcą Jaruzelskiego jest Jerzy Urban. Aleksander Kwaśniewski to tzw. młoda gwardia PZPR w rządzie Mieczysława Rakowskiego, członek prezydium rządu.

Nazwisko Jerzego Urbana musi się tu pojawić. Niesłusznie jego rola w rozmowach w Magdalence (nieobecny) i przy Okrągłym Stole (obecny, ale nie przy stole, lecz jako rzecznik strony rządowej) jest mało eksponowana. Tymczasem był członkiem tzw. zespołu trzech najbliższych doradców gen. Jaruzelskiego, w składzie: Stanisław Ciosek, gen. Władysław Pożoga – wiceminister spraw wewnętrznych oraz szef Służby Wywiadu i Kontrwywiadu MSW – oraz właśnie Jerzy Urban. Tego ostatniego sekretarz Jaruzelskiego, Wiesław Górnicki, charakteryzował jako „występującego w imieniu tow. generała”.

Urban w tym zespole miał pozycję głównego „myśliciela”, rozgrywającego. W miarę rozwoju sytuacji pozycja Cioska (głównego rozmówcy z Solidarnością i przedstawicielami Kościoła) powoli słabła. Z czego moim zdaniem zdał sobie sprawę dosyć późno. Gdy odkrył istnienie drugiego stołu – rozżalony opowiedział wszystko ks. Alojzemu Orszulikowi.

WOKÓŁ RZĄDU

Przystępując do rozmów w Magdalence i przy Okrągłym Stole, dwie strony zdawały sobie sprawę ze swoich ograniczeń. Sytuacja gospodarcza kraju była bardzo zła. Na komunistyczną Rosję polski

wybory na wrzesień. Zauważył się tworzenie swoistego »lobby żydowskiego«, które żywo interesuje się pracami Okrągłego Stołu. Urban podejmuje pewne inicjatywy, z którymi dociera do samego Jaruzelskiego. My natomiast musimy się opierać o układ stabilny».

Jasne się stało, co oznaczało pojawienie się w Magdalence Aleksandra Kwaśniewskiego i zmianę nastawienia Jaruzelskiego i Kiszczaka do obecności Michnika i Kuronia przy Okrągłym Stole. Lobby było silne – Ciosek powoli zdawał sobie z tego sprawę.

Przegrana PZPR w wyborach 4 czerwca zmieniła sytuację i przyspieszyła akcję »spiskowców«, której celem było przejęcie rządów. Strona solidarnościowa rozmów chciała dotrzymać ustaleń, że nie bierze odpowiedzialności za rządy. Tymczasem Adam Michnik pisze słynny artykuł pt. »Wasz prezydent – nasz premier».

3 lipca 1989 r., w czasie rozmowy w Sekretariacie Episkopatu Polski (SEP) – w której uczestniczą przedstawiciele KC PZPR, Stanisław Ciosek i Józef Czyrek, ze strony solidarnościowej Bronisław Geremek, Andrzej Wielowieyski, ks. abp Bronisław Dąbrowski i ks. Alojzy Orszulik – Ciosek mówi: »Artykuł w »GW« »Wasz prezydent – nasz premier« wywołał złe wrażenie. Czy wiążecie rzeczywistość prezydenturę z premierostwem?».

Geremek: »Do rządu koalicyjnego nie wejdziemy. Nie ma podstaw do zmiany naszego stanowiska. Mniejszość (w OKP) opowiedziała się za przejęciem rządu. Nastawiamy się na kalendarz ewolucyjny. Oczekujemy, że padnie z waszej strony deklaracja w sprawie wolnych wyborów za 4 lata. [...] Artykuł Michnika w »GW« należy traktować jako zdanie osobiste i jeden z poglądów» (notatki ks. A. O.). Delikatnie mówiąc – Geremek nie mówi prawdy. Ja-

sne jest, że należy do »spiskowców». Musiał wiedzieć o tym, co zasugerował Kiszczak w czasie rozmów z abp. Dąbrowskim i ks. A. Orszulikiem 10 i 13 czerwca: »Kiszczak stwierdził, że nie wszystkim doradcom Solidarności obca jest myśl sięgnięcia po władzę. 9 czerwca był u niego A. Michnik, który powiedział, że z mandatu Wałęsy ma wysondować po stronie władzy, czy byłaby ona gotowa zgodzić się na przejęcie przez opozycję urzędu premiera. Kiszczak zapytał, kogo mają na myśli? Michnik odpowiedział, że Wałęsa widzi jako kandydata na premiera Bronisława Geremka. Zastrzegł, że nie rozmawiał jeszcze z Geremkiem» (z dokumentów SEP).

Już 30 czerwca – w czasie spotkania w SEP Wałęsy, Geremka, Mazowieckiego, Kuronia, Ambroziaka, Stelmachowskiego, Wielowieyskiego, Wujca, Ślisza i Bujaka – Wałęsa potwierdza, że popiera Kiszczaka jako kandydata na prezydenta, a OKP będzie głosował przeciw Jaruzelskiemu. Książd Orszulik przekazuje to Cioskowi 1 lipca o godz. 9.30. Także 4 lipca w willi MSW przy ul. Zawrat w czasie spotkania Kiszczaka, Wałęsy, Cioska i ks. Orszulika Wałęsa potwierdza poparcie dla Kiszczaka, na co ten pyta, kogo opozycja widzi w roli premiera. Wałęsa: »Jeżeli koalicja (PZPR, ZSL, SD) uformuje rząd, to Solidarność opowie się za prof. Baką. Jeśli opozycja – to Geremek».

JARUZELSKI TAK, GEREMEK NIE

Tego samego dnia Kiszczak w wywiadzie dla PAP potwierdza, że będzie kandydował na prezydenta. 5 lipca na konferencji prasowej Marian Orzechowski (członek BP PZPR) mówi, że Jaruzelski byłby skłonny kandydować. PAP podaje, że »nie zaistniały nowe fakty» i Jaruzelski nie będzie kandydował... Stworzenie problemu prezydentury

miało przykryć prawdziwy cel »spiskowców» – przejęcie rządu i stanowisko premiera dla Bronisława Geremka. Wydawało się, że osiągnięto sukces. Ale... 11 lipca w Pałacu Namiestnikowskim, po obiedzie wydanym przez gen. Jaruzelskiego na cześć przebywającego w Polsce prezydenta USA, George'a H.W. Busha, Józef Czyrek prosi o rozmowę ks. Orszulika. Mówi, że trzeba wrócić do rozmowy o kandydaturze Jaruzelskiego wobec nacisków Komitetu Politycznego Układu Warszawskiego w czasie obrad 7 i 8 lipca w Bukareszcie i wobec poparcia udzielonego Jaruzelskiemu przez Busha w przemówieniach, a zatem publicznie. Także wobec stanowiska KC i klubu parlamentarnego PZPR.

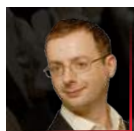
19 lipca 1989 r. Jaruzelskiego wybrano prezydentem PRL. Rozstrzygnięcie, że nie Geremek zostanie premierem, nastąpiło 10 sierpnia 1989 r.

Rozmowa ks. Alojzego Orszulika ze Stanisławem Cioskiem w Zalesiu Górnym u sióstr orionistek – 10 sierpnia 1989 r.: »Dnia 10 sierpnia 1989 r. w godzinach przedpołudniowych prosił mnie na rozmowę Stanisław Ciosek. Byłem wtedy na odpoczynku razem z biskupem Zygmuntem Kamińskim, wówczas biskupem płockim i członkiem Komisji Wspólnej Episkopatu w domu sióstr orionistek w Zalesiu Górnym. Prosiłem, by przybył do Zalesia. Razem z bpem Z. Kamińskim zasiedliśmy do rozmowy. Stanisław Ciosek poinformował nas, że desygnowany przez prezydenta Jaruzelskiego na premiera i wybrany przez Sejm gen. Kiszczak nie zdoła utworzyć rządu, złożył już rezygnację na ręce prezydenta. Powstał rozłam w koalicji. Powiedzieliśmy, by więcej tek dać ugrupowaniom politycznym ZSL lub SD. Ciosek powiedział, że się to nie uda. Trzeba szukać kandydata spoza układów partyjnych.

Powiedzieliśmy, że poza układami jest Tadeusz Mazowiecki, on z panem prowadził rozmowy, nie kandydował do Sejmu, bo miał złe doświadczenie lat sześćdziesiątych, woli redagować »Tygodnik Solidarność«. Ciosek powiedział, że istotnie Mazowiecki redaguje spokojnie ten tygodnik. Może byłby dobry, ale na jego kandydaturę muszą się zgodzić trzej generałowie: Jaruzelski, Kiszczak i Siwicki. Powiedzieliśmy, że trzeba rozmawiać z B. Geremkiem, jako przewodniczącym Klubu OKP, ale jest on obecnie w Castel Gandolfo na zaproszenie papieża. Jest jedynie marszałek Senatu A. Stelmachowski i Wielowieyski. Może z nimi porozmawiamy jutro, tzn. 11 sierpnia. Umówiliśmy spotkanie na godz. 14.00, ale zostało odwołane. Pojechaliśmy do Sekretariatu Episkopatu, dokąd w południe przyjechał Ciosek. Powiedział, że trzej generałowie godzą się na Mazowieckiego, by stanął na czele rządu z udziałem PZPR.

Po południu zatelefonowałem do Tadeusza Mazowieckiego, informując o rozmowie z Cioskiem. Przekonywałem Mazowieckiego, by przyjął propozycję. Niedługo potem zadzwonił do mnie Mazowiecki, informując, że L. Wałęsa też mu dziś złożył propozycję. Idzie bowiem do prezydenta Jaruzelskiego przedstawić trzech kandydatów, wśród nich jest nazwisko Mazowieckiego. Tym bardziej zachęcałem go, by jako bezpartyjny podjął się tego zadania» (archiwum własne ks. A.O. i dokumenty SEP).

Przeprowadzenie operacji »Mazowiecki» przez Sejm przypadło braciom, Lechowi i Jarosławowi Kaczyńskim. Adamowi Michnikowi została do nich długoletnia nienawiść. Na tym etapie przegrał grę o rząd wspólny z częścią PZPR z Bronisławem Geremkiem na czele, ale historia Polski jeszcze się nie skończyła...



Olivier Bault

Czy śmierć Vincenta Lamberta to ludzka ofiara na rzecz pełnej eutanazji we Francji na modłę belgijską i holenderską?

Eutanazja w obronie aborcji

Uznając, że prawo do życia stanowi wolność o wartości nadrzędnej, skutkowałoby natychmiast zakwestionowaniem ustawy o przerywaniu ciąży – oto konstatacja przemawiającego z ramienia rządu francuskiego prokuratora, gdy wnosił przed sądem kasacyjnym o unieważnienie wyroku sądu apelacyjnego, na mocy którego nakazano 20 maja przywrócenie sztucznego karmienia i pojenia Francuza Vincenta Lamberta, żyjącego od lat w stanie ograniczonej świadomości ze sparaliżowanymi kończynami.

Ostatecznie po decyzji sądu kasacyjnego Lamberta zabito. Zmarł 11 lipca w wieku 42 lat, po dziewięciu dniach agonii spowodowanej zaprzestaniem podawania mu jedzenia i picia.

Autorytety medyczne i media różnie określały jego stan świadomości. Zwykle zwolennicy uśmiercania tego pacjenta mówili o „stanie wegetatywnym”, podczas gdy przeciwnicy eutanazji oraz specjaliści od opieki nad pacjentami w podobnym stanie woleli w jego konkretnym przypadku mówić o „stanie minimalnej świadomości” czy nawet o „stanie ograniczonej świadomości”, gdyż miał momenty, kiedy reagował na

głos i kierowane do niego słowa oraz nawiązywał kontakt wzrokowy.

Dlatego sprawa Lamberta jest we Francji precedensowa, a jego uśmiercenie to ponure zwycięstwo zwolenników wprowadzenia prawa eutanazyjnego na wzór belgijski. Brak oświadczenia woli ze strony tego byłego pielęgniarza oraz podzielona rodzina przyczyniły się do wieloletniej walki sądowej, której zapewne nie wygrałby jego żona i ta część rodzeństwa, która była przekonana, że sam Vincent nie chciałby dalej żyć w takim stanie, gdyby nie włączyło się w ów spór, aktywnie ich wspierając, samo państwo francuskie.

Vincent Lambert zostałby uśmiercony już kilka lat temu, gdyby nie upór i silna wiara katolickich rodziców oraz części rodzeństwa, a także pomoc katolickich adwokatów w większości opłacanych przez Fundację Jérôme Lejeune znanej z walki o godne życie dla osób niepełnosprawnych (zwłaszcza osób z zespołem Downa).

Jednakże, jak napisał prezes tej fundacji w dniu śmierci Vincenta Lamberta na portalu prawnicowego tygodnika „Valeurs Actuelles”: „Zabicie Vincenta Lamberta było dla państwa francuskiego moralnym

obowiązkiem”, ponieważ w jego oczach „to już nie aborcja i eutanazja naruszają zasadę poszanowania ludzkiego życia, lecz odwrotnie: to poszanowanie ludzkiego życia zagraża aborcji i eutanazji. Ochrona życia najsłabszych staje się wyjątkiem wobec prawa do ich uśmiercania, które staje się regułą. [...] Czterdzieści pięć lat po ustawie Veil [o dopuszczalności przerywania ciąży – przyp. red.], która pozwala zabijać dzieci niepełnosprawne do dnia ich urodzenia, ustawa Leonettiego [o prawach pacjenta i końcu życia – przyp. red.] pozwala zabijać niepełnosprawne osoby dorosłe, zanim nawet zdążą się zestarzeć. Pozostaje już tylko skrócić czas trwania agonii, w tej chwili zbyt uciążliwej, wprowadzając czysto techniczne zmiany do ustawy”.

TAK SIĘ ZABIJA WE FRANCJI

Oficjalnie eutanazja nie jest we Francji legalna. Jednak w 2016 r., za czasów prezydentury socjalisty François Hollande’a, zmieniono ustawę Leonettiego i sztuczne karmienie oraz pojenie zostały przekwalifikowane z opieki na leczenie. To pozwala od tej pory uśmiercać pacjentów pod pozorem powstrzymywania się od uporczywej



Protest przeciw zaprzestaniu karmienia i pojenia Vincenta Lamberta. Paryż, 10 lipca. FOT. JULIEN MATTIA/ZUMA PRESS/FORUM

sposób, aby wreszcie pozwalać na wolny wybór co do sposobu zakończenia życia”.

RZĄD POPIERA ŚMIERĆ

Znamienne jest, że francuska minister zdrowia Agnès Buzyn osobiście zaangażowała się w działania mające doprowadzić do uśmiercenia Vincenta Lamberta. Po wyroku paryskiego sądu apelacyjnego, który nakazał przywrócić sztuczne karmienie i pojenie do czasu rozpatrzenia przez Komitet Praw Osób Niepełnosprawnych ONZ skargi na państwo francuskie wniesionej przez jego rodziców, minister Buzyn wniosła kasację od tej decyzji w imieniu francuskiego rządu. Kasacja dotyczyła tego, czy paryski sąd apelacyjny był kompetentny w sprawie Vincenta Lamberta, wcześniej rozpatrywanej przez sądy administracyjne. We Francji cywilny sąd apelacyjny może interweniować w sprawach należących do sądownictwa administracyjnego tylko wtedy, gdy działania państwa zagrażają wolnościom obywatelskim. W przypadku Lamberta sąd apelacyjny uznał, że brak przestrzegania żądań Komitetu ONZ przez rząd Philippe’a godzi w podstawową wolność obywatelską tego człowieka, jaką jest jego prawo do życia. W konsekwencji przyjął do rozpatrzenia skargę wniesioną przez adwokatów rodziców Lamberta. Następnie stwierdził, że skoro Francja podpisała międzynarodową Konwencję praw osób niepełnosprawnych i uznała kompetencję Komitetu Praw Osób Niepełnosprawnych, to należy poczekać na rozpatrzenie sprawy przez komitet (miał na to pół roku) zgodnie z jego żądaniem notyfikowanym francuskiemu rządowi na początku maja.

Sąd kasacyjny podważył jednak 28 czerwca kompetencję sądu apelacyjnego w sprawie Lamberta, uznając, że prawo do życia nie wchodzi w zakres swobód obywatelskich, i tym samym unieważnił jego decyzję.

Pani minister Buzyn i francuski rząd swoimi działaniami narażają Francję na potępienie na forum ONZ za złamanie Konwencji praw osób niepełnosprawnych i na utratę wiarygodności w oczach społeczności międzynarodowej.

Ich motywacje łatwiej zrozumieć, gdy przypomnimy, że w 2015 r. Buzyn, wówczas przewodnicząca Narodowego Instytutu Nowotworów (INCa), brała udział w konferencji zorganizowanej przez Wielki Wschód Francji na temat eutanazji dzieci. Zgodnie z tym, co raportował katolicki tygodnik „Famille

Chrétienne”, Buzyn opowiedziała się wówczas w sposób jednoznaczny za wprowadzeniem nad Sekwaną eutanazji na sposób belgijski. Agnès Buzyn, z zawodu lekarka, występowała razem z belgijskim socjalistycznym senatorem Philippe’em Mahoux, któremu przypisuje się współautorstwo ustawy belgijskiej z 2002 r., depenalizującej eutanazję, oraz ustawy z 2014 r., która rozszerzyła eutanazję na dzieci. Na spotkaniu obecny był również francuski poseł (a także lekarz) Jean-Louis Touraine, należący wówczas do Partii Socjalistycznej (dziś należy do partii LREM prezydenta Macrona). Mason Touraine, jako członek łoży Wielkiego Wschodu Francji, od lat stara się o legalizację eutanazji. Dzisiaj jest przewodniczącym grupy studyjnej Zgromadzenia Narodowego ds. końca życia. We wrześniu 2017 r. złożył projekt ustawy zakładającej pełną legalizację eutanazji, a w lutym 2018 r. z jego inicjatywy 156 posłów LREM podpisało w lewicowej gazecie „Le Monde” apel, by pacjenci będący u kresu życia mogli „dysponować własnym ciałem”.

NIEBEZPIECZEŃSTWO DLA INNYCH

Jak napisał na łamach „Le Monde” francuski pisarz Michel Houellebecq, znany ze swoich powieści o charakterze quasi-proroczym, Vincent Lambert został zabity „dla przykładu”, a w grę wchodzi także kwestie finansowe, gdyż „jeśli zaczniemy mieć zbyt wielu Vincentów Lambertów, będzie to kosztowało szalenie dużo”, choć – jak ironizował – „jedna sonda do wody, a druga do podawania pokarmów nie wydają się wymagać zastosowania jakichś niesamowitych technologii”.

Niezależnie od rzeczywistych motywacji francuskich władz ich zaangażowanie na rzecz uśmiercania Vincenta Lamberta, pomimo sprzeciwu i interwencji wielu lekarzy oraz wyspecjalizowanych zakładów opieki, stanowi bardzo niebezpieczny precedens dla grupy ponad 1,5 tys. osób będących we Francji w stanie ograniczonej świadomości.

Czy śmierć Vincenta Lamberta to początek nowego programu T4 w wydaniu francuskim, czy to „tylko” jednorazowa ludzka ofiara na rzecz pełnej legalizacji eutanazji na modłę belgijską i holenderską w trosce o spójność francuskiego prawa 45 lat po legalizacji aborcji?



Piotr Kościński

Monarchie, choć wywodzą się sprzed wieków i są zaprzeczeniem demokracji, mają się całkiem nieźle. Ostatnio mówi się o tym w kontekście Wielkiej Brytanii, gdy przy okazji brexitu zawiedli politycy, a symbolem stabilności kraju pozostaje Elżbieta II

Niemiecki publicysta Jan Fleischer z „Der Spiegel” pisał w kwietniu w brytyjskim „Guardianie”: „Moim zdaniem istnieje tylko jedno rozwiązanie: Jej Wysokość Królowa musi przejąć kontrolę [nad brexitem – przyp. red.]. Jeśli jest ktoś, kto nadal z godnością i przyzwoitością reaguje w najtrudniejszych sytuacjach, jest to królowa Elżbieta II”. I dodał: „Demokracja tak czy inaczej jest przeceniona. Prawda jest taka, że działa dobrze, jeśli liczba wyborców, którzy nie rozumieją, o co chodzi [...], nie jest zbyt duża [...]”. Pozwólmy więc zadziałać Królowej”.

W jakiejś mierze koresponduje to z artykułem w „Economiście”, który dowodził niedawno, że mamy do czynienia z narastającą słabością demokracji: „Kiedy Francis Fukuyama ogłosił w 1992 r. koniec historii, globalne zwycięstwo liberalnej demokracji wydawało się nieuchronne. Ale w naszym stuleciu postępy demokracji utknęły w martwym punkcie”. I właśnie na tym skorzystały monarchie. Co prawda, twierdzi „Economist”, „gdyby monarchia nie istniała, nikt by jej dziś nie wymyślił”, choćby dlatego, że jest „seksistowska, klasowa i rasistowska”. Jednak te monarchie, które przetrwały, przez ostatnie pół wieku funkcjonują bardzo dobrze. W XXI w. przestała istnieć jedynie monarchia na Samoa (wraz ze śmiercią ostatniego władcy) oraz w Nepalu (w efekcie dramatycznych zaburzeń wewnętrznych). Królowie wciąż panują w 44 krajach, w tym w 16 królowa brytyjska Elżbieta II.

SŁABOŚĆ DEMOKRACJI SIŁĄ KRÓLÓW

Thomas Mace-Archer-Mills, założyciel i dyrektor Brytyjskiego Towarzystwa

Monarchistycznego, podkreśla, że zna artykuł w „Economiście”. – Prawdą jest, że słabości demokracji pomagają monarchiom i że ich rola rośnie – mówi w rozmowie z tygodnikiem „Do Rzeczy”.

A dlaczego tak uważa? – Monarchie konstytucyjne zapewniają społeczeństwu w systemach demokratycznych jedność, stabilność i ciągłość, tym bardziej gdy politycy nie są w stanie uzgodnić wspólnych działań – wskazuje. Jego zdaniem w efekcie niedostatków demokracji i słabości rządów cierpią ludzie. Na skutek sporu między prezydentem Donaldem Trumpem a Kongresem doszło do czasowego zawieszenia niektórych

kolwiek wpływów politycznych. Ponosi odpowiedzialność przed społeczeństwem, a nie przed jakąkolwiek partią polityczną – podkreśla.

Co więcej, Thomas Mace-Archer-Mills widzi w demokratycznie wybieranych głowach państwa także szersze niebezpieczeństwo. Jego zdaniem dobrym przykładem są tu Stany Zjednoczone, których prezydent odgrywa ogromną rolę w całym świecie, a niestety może podejmować działania niebezpieczne i niszczyć porządek międzynarodowy – choć za kilka lat odejdzie ze swego urzędu, zastąpiony przez nowego prezydenta, mającego odmienne poglądy.



działań administracji amerykańskiej, bo wobec braku budżetu nie można było ich finansować. Jego zdaniem kryzysy polityczne w Hiszpanii, a zwłaszcza w Belgii, zostały zażegnane dzięki monarchom.

– Miejsce monarchy w ramach demokracji jest ponad podziałami politycznymi, w efekcie głowa państwa nie działa pod naciskiem jednej czy drugiej strony politycznego sporu. Innymi słowy, monarcha działa wyłącznie w imieniu społeczeństwa jako całości, bez jakich-

– Politycy przychodzą i odchodzą, czasami wywołując poważne szkody i problemy finansowe, podczas gdy konstytucyjni monarchowie działają jako zabezpieczenie przed nadgorliwymi politykami, którzy chcą odgrywać rolę władców, bez pełnego zrozumienia, co to powinno oznaczać – mówi.

Według badań Ipsos z 2016 r. aż 76 proc. Brytyjczyków chce pozostawienia monarchii, gdy zaledwie 17 proc. pragnie mieć w swym kraju republikę. Co prawda

posiadanie królowej nie jest tanie – sama renowacja rezydencji księcia Harry'ego i Meghan Markle kosztowała 2,4 mln funtów! – to jednak według VisitBritain do tego kraju właśnie z powodu chęci zobaczenia pałaców Buckingham i Windsor przybywa 2,7 mln turystów rocznie. Według firmy konsultingowej Brand Finance monarchia w 2017 r. dała Wielkiej Brytanii aż 1,8 mld funtów dochodów, z czego 550 mln pochodziło z turystyki.

W MONARCHIACH LEPSZA DEMOKRACJA?

Robert Finch, prezes Monarchistycznej Ligi Kanady, ma odmienne niż Thomas



Brytyjska królowa Elżbieta II i król Hiszpanii Filip VI podczas parady z okazji pierwszej oficjalnej wizyty hiszpańskiej pary królewskiej w Wielkiej Brytanii, Londyn, 12 lipca 2017 r. FOT. FORUM

Mace-Archer-Mills zdanie co do stosunku monarchii i demokracji. – W najnowszym rankingu demokracji „Economista” („Democracy Index”) sześć z dziesięciu krajów zajmujących czołowe pozycje to monarchie konstytucyjne – wskazuje.

O ile Wielka Brytania jest od wieków ostoją monarchii, o tyle Kanada znajduje się w zupełnie innej sytuacji. Formalnie rzecz biorąc, jest monarchią konstytucyjną, a Elżbieta II jest jej królową (tzn. z punktu widzenia Ottawy królową Kanady, a nie

brytyjską). Najnowsze, tegoroczne badanie opinii publicznej wykazuje, że 31 proc. Kanadyjczyków chce, by tak było dalej, gdy 33 proc. wolałoby wybierać głowę państwa, a pozostali albo nie mają zdania, albo uważają, że to bez znaczenia. Najbardziej republikańsko nastawieni są mieszkańcy Quebecu, ale oni po prostu nie chcą mieć królowej Brytyjki. Warto przy tym zauważyć, że Elżbieta II cieszy się poparciem 71 proc. społeczeństwa Kanady. A poparcie dla monarchii wzrasta po każdym zwyciężeniu przedstawieli rodziny królewskiej.

Jak pisała największa tutejsza gazeta, „The Globe and Mail”, Kanada ma „wirtualnego monarchę”, nieobecnego, ale istniejącego. W Londynie Elżbieta II regularnie otwiera sesje parlamentu; w Ottawie ostatni raz uczyniła to w 1977 r. Chociaż jednak królowej faktycznie nie ma, to jak najbardziej istnieje Korona – to w imieniu Korony rządzi rząd i wydają wyroki sędziowie. „The Globe and Mail” porównywał Kanadę z USA – tam głową państwa jest Donald Trump, postać jak najbardziej realna, tu – „abstrakcyjna rzecz zwana Koroną, reprezentowana przez odległą, apolityczną i stale nieobecną Królową”.

Premier Justin Trudeau zarządził usunięcie portretów królowej z urzędów – do niedawna np. w ambasadach Kanady wisiały trzy wizerunki, monarchini, gubernatora generalnego (de facto wicekróla, choć mianuje go premier) oraz szefa rządu. Przeciwno temu zdecydowanie zaprotestowała wspomniana już Liga Monarchistyczna. „The Globe and Mail” faktycznie ją popiera, pisząc, że w urzędach nie powinny wisieć portrety premiera, bo on jest jedynie „zatrudniony przez społeczeństwo”, i podsumowuje, pisząc o Elżbiecie II: „szczęśliwie i dumnie, panuj długo nad nami – i niech Bóg strzeże naszą odległą Królową”.

A Liga, tak jak jej brytyjski odpowiednik, wskazuje, że monarchia konstytucyjna „ucieleśnia wartości narodu”. – Monarcha konstytucyjny nie tylko zapewnia ciągłość w erze „postępu” i szybkich zmian – mówi Robert Finch. – Bez względu na wloty i upadki wśród burz współczesnego życia szesnaście królestw naszej monarchii i dziesiątki republik Commonwealthu są związane wspólnymi ideałami – podkreśla.

POTOMKOWIE WIKINGÓW POPIERAJĄ MONARCHIĘ

Jeszcze inna sytuacja jest w bliskich nam państwach skandynawskich.

W Danii co prawda 40 proc. badanych uważa, że królowa Małgorzata II powinna abdykować, ale nie oznacza to chęci likwidacji monarchii, lecz jedynie przekazania przez 77-letnią monarchinię tronu synowi, księciu Fryderykowi. Co zresztą jest niesłychanie mało prawdopodobne, bo w kraju tym nie ma tradycji abdykacji na rzecz następcy, a o samej Małgorzacie mówi się, że gdyby nawet wprowadzono tu republikę, to ona zostałaby wybrana na pierwszego prezydenta.

W sąsiedniej Norwegii 58 proc. ocenia króla Haralda V bardzo dobrze, a 22 proc. – dobrze. Można więc powiedzieć, że król ma tam 80-procentowe poparcie.

– Wszystkie trzy kraje skandynawskie mają monarchie bardzo dobrze zakorzenione w historii i tradycji. Królowa Danii i królowie Norwegii oraz Szwecji są bardzo popularni i nie ma absolutnie mowy o porzuceniu systemu monarchicznego – mówi Truls Velgaard, norweski polityk konserwatywno-liberalnej partii Høyre i kandydat na mera miasta Fredrikstad. – Następcy tronu we wszystkich tych trzech krajach są również bardzo popularni, więc nie ma dyskusji na temat ich zdolności do przejęcia tronu – dodaje. I podkreśla, że „posiadanie instytucji znajdującej się ponad i poza polityką, która symbolizuje i jednoczy wszystkich w kraju, ma ogromną wartość. Szczególnie w trudnych czasach. Widzieliśmy to podczas II wojny światowej”. Warto dodać, że w Norwegii sporą popularnością cieszył się wyprodukowany tu film „Kongens nei”, czyli „Królewskie nie”, o tym, jak to na samym początku inwazji na Norwegię w 1940 r. król Haakon VII odmówił poddania się Niemcom, wspierając tym samym opór przeciwko najeźdźcy.

Czy wszystko to oznacza, że powinniśmy zrezygnować z republiki i przywrócić monarchię? I radzić podjęcie podobnych działań np. Francuzom – a mają pretendenta do tronu, Ludwika Alfonsa Burbona, który mógłby na nim zasiąść jako Ludwik XX? Albo Niemcom, gdzie na tronie mógłby zasiąść Jerzy Fryderyk Hohenzollern? Na pewno nie. Warto się jednak zastanowić, dlaczego niektóre nowoczesne rozwiązania polityczne nie działają jak należy, gdy te stare, wydawałoby się – całkowicie przestarzałe, wciąż wykazują zalety.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest wykładowcą na AFiB Vistula i współpracownikiem tygodnika „Idziemy”.



Joanna Bojańczyk

Pogłoski o jego pedofilskich wyczynach krążyły od dawna, ale Jeffrey Epstein długo wymykał się wymiarowi sprawiedliwości. Kryły go elitarne znajomości i miliardowa fortuna. W końcu aresztowany, popełnił samobójstwo w nowojorskim więzieniu

Ostatni miesiąc życia Jeffrey Epstein spędził w Metropolitan Correctional Center, ponurym zakładzie karnym na dolnym Manhattanie, gdzie izoluje się najcięższych przestępców i terrorystów (o jego sprawie pisaliśmy w „Do Rzeczy” 22 lipca).

W małej celi, ze światłem zapalonym 23 godziny na dobę. Jego sąsiadem był Joaquín Guzmán alias El Chapo, baron narkotykowy skazany na karę dożywotniego więzienia. Epsteinowi groziło „tylko” 45 lat, ale zważywszy na wiek – 66 lat – miał małe szanse, że kiedykolwiek zobaczy morze.

Nie zobaczył. W sobotni ranek 10 sierpnia strażnicy znaleźli go powieszzonego w celi. Karetka zabrała więźnia do szpitala Downtown New York Hospital, gdzie lekarze stwierdzili zgon. Trzy tygodnie wcześniej Epstein także próbował samobójstwa, znaleziono go nieprzytomnego ze śladami na szyi, ale żywego. Skierowano go do celi z obserwacją „suicide watch”, ale w dniu śmierci, jak podała telewizja ABC, system już nie działał.

NAZWISKA Z ELITY

Na Jeffreyu Epsteinie ciążyą zarzuty licznych gwałtów, korzystania z prostytucji i сутенерства nieletnich. Do tej pory udawało mu się wymykać z rąk wymiaru sprawiedliwości. Chociaż odbywał areszt, wypuszczano go na 12 godzin w dni robocze. Jeździł wtedy do swojej rezydencji na Florydzie, aby tam pracować.

„Jestem wściekła, że nie stanie w sądzie oko w oko ze swoimi ofiarami i nie poniesie konsekwencji swoich ohydnych czynów” – powiedziała telewizji ABC Jena-Lisa Jones, 30-latką, którą Epstein zgwałcił, gdy miała 14 lat.

„On nie żyje, a my musimy żyć z bliznami i ranami po tym, co zrobił”. To słowa



Po Weinsteinie Epstein

FOT. STEPHANE KETH/GETTY IMAGES

32-letniej Jennifer Araoz, która twierdzi, że Epstein zgwałcił ją, gdy miała 15 lat. Wezwała władze, aby osądziły jego moco-dawców i współników.

Zeznania ofiar Epsteina mogą się okazać przykre dla wielu osób publicznych. Już wcześniej w sądzie znalazło się 2 tys. stron zeznań kobiet, które przeszły przez rezydencję na Florydzie i w Nowym Jorku. Wśród nich Marii Victorii Giuffre, która oskarża nie tylko Epsteina, lecz także jego współniczkę i narzeczoną Ghislaine Maxwell. Ta ostatnia miała ją zwać do domu Epsteina, rzekomo na masaż. 17-letnią dziewczynę uwięziono i gwałcono. W zeznaniach Giuffre znalazły się także nazwiska innych prominentnych osób, które brały udział w erotycznych zabawach w domu Epsteina: księcia Andrzeja, gwiazdy nowojorskiej palestry Alana Der-showitz, byłego gubernatora stanu Nowy Meksyk Billa Richardsons, byłego senatora George'a Mitchella... Był także „znany premier, którego nie wymienię z nazwiska, oraz cudzoziemiec, którego tytułowano księciem” – powiedziała Giuffre ABC.

Prokurator federalny Geoffrey S. Berman oświadczył, że śledztwo w sprawie Epsteina będzie kontynuowane mimo jego śmierci, i podkreślił, że w kręgu podejrzeń o współuczestnictwo są także inne osoby. Wiadomo, że towarzyskie stosunki łączyły Epsteina z Donaldem Trumpem, Billem Clintonem, księciem Andrzejem.

Spektakularny upadek miliardera, który jeszcze miesiąc temu przyleciał do Stanów prywatnym odrzutowcem boeingiem 725 z Paryża. Wracał z miesięcznych wakacji w stolicy Francji, gdzie ma dwa apartamenty – 430- i 367-metrowe na Avenue Foch, jednej z najbardziej reprezentacyjnych, najelegantszych i najdroższych ulic Paryża. Wtedy go zatrzymano. Paryskie mieszkania błędną jednak w porównaniu z gniazdkiem nowojorskim miliardera. Jest to przypuszczalnie największa prywatna rezydencja na Manhattanie – 2 tys. mkw. Epstein kupił ją w roku 1990 i zaraz zainstalował ogrzewany chodnik. Wiadomo, gołoledź w Nowym Jorku jest nieprzyjemna.

ZARABIAĆ MILIONY

Jak w wielu historiach z cyklu „od pucybuta do milionera” (teraz już raczej miliardera) i ta ma początek w sferach niezbyt wysokich. Ojciec Epsteina był ogrodnikiem miejskim, matka – sprzątaczką. Rodzina mieszkała na Coney Island, niezamożnym przedmieściu

Brooklynu. Jeffrey otrzymał wszystko, czego natura poskąpiła jego rodzicom: urodę, atletyczną sylwetkę, osobisty urok, zdolności, talent muzyczny. W swojej rezydencji grywał na fortepianie Steinway. Dyplomów nie zdobył, a mimo to dostał pracę jako nauczyciel matematyki w elitarnej szkole Dalton School. Uczniowie lubili go za nietypowe podejście, podobne do nauczyciela z filmu „Stowarzyszenie Umarłych Poetów”, którego grał Robin Williams. Jako jedynego nauczyciela zapraszano go na imprezy, nie zrażając się zbyt swobodnym traktowaniem uczennic. Jednak w końcu ze szkoły go wylano.

Długo nie pozostał bezrobotny. Ojciec jednej z uczennic, wszechpotężny magnat finansjery Alan Greenspan, zatrudnił go jako tradera w banku Bear Stearns. Są późne lata 90., giełda zwyczajnie. Derywaty, opcje, fundusze hedgingowe, zarabiał się miliony. Epstein ze swoimi zdolnościami matematycznymi czuje się w tym biznesie jak ryba w wodzie, bankowi przynosi milionowe zarobki. Zostaje nawet współnikiem. Jednak po pewnym czasie bank go zwalnia. Już wtedy mógł poczuć się ponad prawem, bo przecież i tak swoje fortuny do pomnażania powierzali mu wielcy gracze z Wall Street. Na przykład założyciel marki Victoria's Secret Leslie Wexner – miliard dolarów. Pod koniec lat 90. Epstein buduje na Wyspach Dziewiczych pałac jak z „Księgi tysiąca i jednej nocy”. Świątynię ze złotą kopułą. W 2004 r. przekazuje 30 mln Uniwersytetowi Harvarda. Na bluzie nosi jego godło – „Veritas Harvard”.

Wtedy Jeffrey Epstein poznaje Ghislaine Maxwell, córkę magnata prasowego Roberta Maxwella, byłego właściciela londyńskiego brukowca „Daily Mail”. Ojciec nie żyje, zostawił córce głównie dług, ale i kartę z adresami. Para bardzo się różni: ona – lwica salonów, zna wszystkich, on – najlepiej czuje się w dżinsach i T-shircie, ale marzy o wejściu do wysokich kręgów towarzyskich. I to się spełnia. Młody multimilioner, jeszcze wtedy poza podejrzeniami, poznaje państwa Clintonów, księcia Andrzeja, Clintonowi, który właśnie skończył kadencję i który bardzo mu imponuje, daje miliony na fundację charytatywną. Finansuje kampanię wyborczą Hillary Clinton. W 2002 r. proponuje byłemu prezydentowi podróż do Afryki swoim prywatnym samolotem. Wspo-

móc biednych ludzi na Czarnym Lądzie... Clinton zgadza się chętnie.

DZIEWCZYNI WCHODZĄ I WYCHODZĄ

Ghislaine chciała małżeństwa, ale Jeffrey się wykręca. W końcu stałe dostawy kobiecych ciał ma zapewnione. Skandal wybucha w 2005 r., gdy w Palm Beach na Florydzie, gdzie Epstein mieszka w okazałej rezydencji, na policję zgłasza się 14-latką i opowiada, jak zaproszona do rezydencji została zmuszona do „masażu”, a następnie wyrzucona z 300 dol. w kieszeni. Miejscowa policja odkrywa, że wokół rezydencji Epsteina trwa ciągły ruch dziewczynek między 13. a 17. rokiem życia, które wchodziły i wychodziły, zazwyczaj w nocy. Odnajdują się setki zdjęć nastolatków. Udaje się zebrać 17 zeznań. Epstein zostaje wpisany na listę przestępców seksualnych, dostaje 18 miesięcy więzienia. Odsiadytuje tylko 13, i to w warunkach superuprzywilejowanych. To zasługa Alexandra Acosta, eksprokuratora stanowego, ministra w gabinecie Trumpa.

Jedną z uczestniczek imprez erotycznych, Virginia Roberts, opowiada o оргiach, które się u niego odbywały. Wspomina m.in. księcia Andrzeja, z którym, jak twierdzi, odbyła sześć stosunków seksualnych. Podejrzany zaprzecza.

Na razie wszystko idzie jak dawniej i Epstein znowu rozkwita na salonach. Wszystko się zmienia, gdy 5 października 2017 r. „The New York Times” publikuje artykuł o Harveyu Weinsteinie. Rozpoczyna się skandal #MeToo. A w listopadzie 2018 r. Julie K. Brown, dziennikarka śledcza, „Miami Herald”, publikuje artykuł pt. „Perwersja czy sprawiedliwość”, w którym dokładnie prześwieca pedofilską działalność Epsteina. Udaje się jej odnaleźć 80 ofiar. Wychodzi na jaw, że imprezy z dziewczynkami odbywały się także na pokładzie prywatnego odrzutowca. Nazywano go Lolita Express.

Po Weinsteinie z molestowaniem nieletnich nie ma już żartów. 6 lipca ku swemu zaskoczeniu Jeffrey Epstein zostaje zatrzymany, gdy wysiada z prywatnego samolotu. Idzie do aresztu w oczekiwaniu na rozprawę. Dwa tygodnie później prokurator Acosta zostaje zdymisjonowany.

Jednak w tej sprawie jest wiele rzeczy niewyjaśnionych. Czy więzień istotnie zmarł śmiercią samobójczą? Dlaczego w celi nie było monitoringu ani pilnującego strażnika, jak postanowił sąd? Zeznania Epsteina mogły skompromitować wielu prominentnych znajomych, teraz pozostaje liczyć na jego ofiary.



Słowenia – słowiańszczyzna w cieniu Alp



*Tomasz P. Terlikowski
ze Słowenii*

Piękne góry, czyste jeziora, zamki, które można zwiedzać godzinami, i urocze kościoły. Tym wszystkim przyciągać może Słowenia. Ten kraj, choć niekiedy przejeżdżamy przez niego w drodze do Chorwacji tranzytem, pozostaje jednak niemal w Polsce nieznany

Nie będę ukrywał, że do Słowenii trafiłem nieco przez przypadek. Gdy wraz z rodziną i przyjaciółmi szukałem lokalu, by zatrzymać się nieopodal Zagrzebia (który chciałem szczegółowo zwiedzić), w jednym ze znanych serwisów wyskoczyła mi lokalizacja w Słowenii. A że była stosunkowo tania, urokliwie położona w górach i do tego niedaleko od stolicy Chorwacji, zamówiliśmy ją. Kiedy już dojechalismy na miejsce, okazało się, że do Lublany jest bliżej niż do Zagrzebia, że wokoło nas są nie tylko piękne i strome góry (przynajmniej raz musiałem wyrzucić wszystkich z auta, żeby móc podjechać pod podjazd), lecz także czyste jeziora i zamki, które zwiedzać można z rodziną.

A do tego, co dla mnie szczególnie ważne, sanktuarium maryjne, w którym nigdy nie byłem, a które uwodzi ludowością i piękną, inną od naszej, ale także słowiańską pobożnością. A jeśli do tego dodać autostrady i wygodne drogi (nawet wysoko w górach), to obraz tego słowiańskiego państwa stanie się pełny.

SŁOWIAŃSKA KARYNTIA

Gdybym miał najkrócej opisać Słowenię, to stwierdziłbym, że to dwumilionowe, niewielkie państwo jest uroczym skrzyżowaniem elementów austriackich, włoskich i słowiańskich, ze szczyptą, ale dodającą smaku, bałkańskości. I dotyczy to zarówno architektury, jak i kuchni (sami Słoweny żartują, że dzieli się ona na regiony pizzy, sznycła i gulaszu) czy widoków. Ani kulturowo, ani cywilizacyjnie, ani życiowo nie widać tu niemal śladu bałkańskiego kotła (wiem, wiem, że – jak słusznie zauważa Maria Todorova – oskarżenia o jakieś szczególne cechy Bałkanów to esencjalizm i – co gorsza – element polityki kolonizacyjnej, ale pewne cechy wspólne tych krajów jednak istnieją). I trudno się temu dziwić, ponieważ ani geograficznie, ani kulturowo Słowenia nigdy nie była bałkańska. Te zamieszkałe od wieków przez Słowian południowych tereny niemal zawsze zarządzane były albo przez Niemców (i Austriaków), albo przez mieszczan z Republiki Weneckiej.

W efekcie słowiańskość Słowenów przeniknięta jest elementami, które nadają jej zupełnie inny wyraz, czyniąc ich bardziej podobnymi do Czechów niż do gorącochrystów Chorwatów, o Serbach czy Czarnogórcach nie wspominając.

Jedno pozostaje jednak wspólne wszystkim południowym Słowianom – niezwykła gościnność. Gdy trafiliśmy na niedzielną mszę świętą do kościoła w Mirnej Perci, zaraz po niej podeszli do nas parafianie i miejscowy proboszcz, żeby najpierw dowiedzieć się, skąd jesteśmy (obstawiali, ciekawe dlaczego, że z Włoch). Gdy usłyszeli, że z Polski, zaczęli dopytywać się o Jasną Górę i zachwycać, iż chciało nam się jechać taki kawał drogi, a na koniec z troską pytali, czy mają nam zorganizować noclegi i coś do jedzenia, czy mamy gdzie się podziać i czy przypadkiem nie wypilibyśmy u nich kawy. A wszystko w języku, no właśnie, gościnności, bo oni nie mówili ani po angielsku, ani po rosyjsku, a my ani słowa po niemiecku. Od czego jednak pansłowiański zasób słów i Google Translator? Jedno i drugie wystarczyło, żeby spędzić razem prawie godzinę.

Nie inaczej było w skansenie obok wciąż czynnej kartuzi (klasztoru najsurowszego zakonu męskiego, jakim są kartuzi) w Pleterje, gdzie pani uraczyła nas winem (a dzieci sokiem jabłkowym z klasztornych jabłek), potem zaś



Na środku jeziora Bled jest wyspka z kościołkiem, nad którym góruje zamek. FOTADOBE STOCK

zachwycała się, gdy Małgosia wyjaśniła, że z sześciorga dzieci, które były pod naszą opieką, tylko pięcioro jest naszych. – Tylko? Tylko. Niech Wam Bóg błogosławi – rozpyłyła się na oko 35-letnia Słowenka. I jako dowód, że jej słowa były szczere, natychmiast obdarowała nasze dzieci folderkami o kartuzach. Raczej nie przekonały one moich synów do wstąpienia do tego zakonu, bo przez pół drogi zastanawiali się oni nad tym, jak można ominąć surowe zasady milczenia panujące w tej pustelniczej wspólnotce.

KARTUZI I MATKA BOŻA

A skoro już jesteśmy przy Pleterje, to warto napisać kilka słów o tym miejscu. Każdy, kto tu przyjedzie, może się poczuć, jakby nad tym miejscem ktoś rozpiął namiot z ciszą, jakby się wchodziło w głębię milczenia, które przemawia do nas Słowem Bożym. Nie wiem, na czym to polega, ale ten klasztor (do którego głównej części turyści wstępu nie mają, ale muszą zadowolić się wejściem do gotyckiego jeszcze kościółka i do kaplicy z Najświętszym Sakramentem) sprawia, że nawet najbardziej rozbrykane dzieci się wyciszają, a rodzice zanurzają w atmosferę modlitwy.

Kartuzja jednak, choć na pozór oddalona od codziennego, zwyczajnego życia, ma historię bardzo typową dla Europy. Ufundowana zostaje w 1403 r., a upada w XVI w. na skutek protestantyzmu, któ-

ry dociera także tutaj (pierwsze dzieła w języku słoweńskim piszą pastorzy), a także wysokich podatków nałożonych podczas wojen z Turcją. W 1595 r. zostaje przejęta przez jezuitów, którzy zajmują się nią aż do swojej kasaty w 1773 r., gdy staje się własnością państwa. W 1839 r. zostaje sprzedana osobom prywatnym, a w 1899 r. odkupują ją ponownie kartuzi, którzy w 1904 r. kończą prace nad odbudową kartuzji i poświęcają kościół Maryi jako „Tronowi Trójcy Przenajświętszej”. W 1943 r. komunistyczni partyzanci niszczą 13 cel zakonnych, ale kartuzja nadal trwa. I tak jest do tej pory. Mnisi niby dalecy od świata, ale obecni w sercu, robiący to, co można najważniejszego w życiu. „Oddaleni od wszystkich, jesteśmy zarazem zjednoczeni ze wszystkimi, by w imieniu wszystkich stać przed żywym Bogiem” – głoszą statuty kartuzów. I tak trwają oni, a my możemy się cieszyć ich modlitwą.

Jeśli jednak ktoś woli modlić się sam, to polecam sanktuarium Marija Pomagaj (Matki Bożej Wspomożycielki Chrześcijan) w Brezje. To miejsce cudnie położone pośród niesamowitych gór, ciepłe ludową pobożnością. Pierwsze wzmianki o tutejszych cudownych uzdrowieniach pochodzą z 1863 r., tu w pierwszej połowie XX w. odbył się Kongres Eucharystyczny, a św. Jan Paweł II odwiedził to miejsce podczas swojej pielgrzymki do Słowenii. A dla wielbicieli poloników są tu nie tylko relikwie św. Jana Pawła II, lecz także obrazy Jezusa Miłosiernego z podpisami po polsku. Warto spędzić tam godzinę czy dwie, bo – choć inne niż polska Jasna Góra – jest to miejsce naprawdę święte.

JEZIORA JAK Z BAJKI I STOLICA

Do wizyty w tym uroczym sanktuarium skłonić też może to, że jest ono po drodze (patrząc z Lublany) nad czyste i wyglądające jak wycięte z pocztówek jeziora Bled i Bohinj. Nie wiem, jak je dokładnie opisać, bo po prostu trzeba je zobaczyć. To pierwsze, pełne niestety turystów, ma lazurową barwę, na jego środku jest wyspka z kościółkiem, nad którym góruje zamek. Kolory bajkowe, a jeśli mam jakiś zarzut, to jedynie liczbę turystów (za dużą na metr kwadratowy, ale mniejsza niż w kurortach w Chorwacji) i brak plaży z miejscami do kąpieli. Ja się wprawdzie kąpałem, moje dzieci też, ale wygodnie nie było. I dlatego dużo lepsze do kąpieli jest drugie z jezior. Także

piękne, bardziej puste i do tego z plażami i plażkami, gdzie można rozkoszować się przejrzystą wodą. A jeśli będziecie mieć już dość wody (moje dzieci nigdy nie mają), to w okolicy są niesamowite szlaki górskie, wodospad Savica i wąwóz Vintgar. Te dwie ostatnie atrakcje są niestety płatne, i to sporo, ale warto wysupłać te euro i popatrzeć na one cuda przyrody.

Na deser zaś zostawiam stolicę – Lublanę. To miasto od XVI w. było centrum słoweńskiej tożsamości narodowej, a także ośrodkiem reformacji (już nim nie jest), a turystów kusi zamkiem, z którego rozpościera się widok na miasto (niestety, gdy tam byłem, przesłaniały je chmury), urokliwą starówką położoną wokół meandrującej rzeczki, mostem smoków i znakomitą kawą. Jeśli chcecie się zatrzymać na coś na ząb, to masa knajpek zapewnia naprawdę dobre jedzenie. Dzień mija błyskawicznie, a temperatura, co nie jest bez znaczenia, są niższe niż choćby w Zagrzebiu, o Sarajewie nie wspominając.

Warto też akurat w tym miejscu pomyśleć o historii słowiańskiej obecności na tych podalpejskich terenach. Otóż tak się składa, że pierwsi nasi pobratymcy przybyli na te tereny już w VI w. i od tego czasu są tam obecni. Wiek później na terenie dzisiejszej Austrii uformowali własne słowiańskie państwo o nazwie Karantania, którego władcy przyjęli chrzest, ale wiek później zostało ono włączone do państwa Franków. Od tego momentu Słowianie na tych terenach nie mieli już własnego państwa, ale nieźle sobie radzili. Z X w. pochodzi pierwszy zapis alfabetem łacińskim słowiańskich wypowiedzi, później pojawia się literatura w języku słoweńskim, a w XIX w. pomysł zbudowania własnego państwa. Ostatecznie Słowenia wchodzi do utworzonego w 1918 r. Królestwa Serbów, Chorwatów i Słowenów, przemianowanego w 1929 r. na Królestwo Jugosławii. W czasie II wojny światowej okupowane jest ono najpierw przez Włochów, a później przez Niemców, a potem ponownie wchodzi w skład Jugosławii, z której wydzieliła się po krótkich, ale upamiętnionych w wielu miejscach walkach. Obecnie jest to najbogatsze państwo Europy Południowej. Warto je odwiedzić i to nie tylko w drodze do Chorwacji, lecz także nawet poświęcając mu cały urlop. Jest tu co zwiedzać, a rodaków i turystów (poza jeziorem Bled) jest o wiele mniej niż gdzie indziej.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



AKTORKA OBRZYZDZONA TYM, ŻE JEST BIAŁA

Hollywoodzka aktorka Rosanna Arquette (grała m.in. u Tarantino w „Pulp Fiction”) przeprosiła publicznie za to, że... urodziła się biała i „uprzywilejowana”. Oświadczyła, że ją to obrzydza i czuje się bardzo zawstydzona. Później aktorka zamieściła jeszcze w sieci zdjęcie na tle pola z wbitymi wieloma flagami Stanów Zjednoczonych i dopisała: „Nigdy więcej nie stanę za flagą”. Wcześniej Arquette jasno dawała do zrozumienia, że nie przepada za obecnym prezydentem swojego kraju. Nazwała go chorym dyktatorem.

FOT. ARAYA DIAZ/GETTY IMAGES

RADOŚĆ I RASIZM

Argentyńscy siatkarze wygrali ostatni mecz dający im awans na igrzyska olimpijskie w Tokio. Na zdjęciu cieszyli się z tego sukcesu, a trzech z nich przyłożyło palce, robiąc „skośne oczy”. Jak potem tłumaczyli – chcieli pokazać, że jadą do Japonii. Pech chciał, że ostatni mecz wygrali akurat z Chińczykami. A ci odebrali gest na zdjęciu jako naśmiewanie się z Azjatów. Sprawa urosła do tak dużych rozmiarów, że fotkę zajęła się Międzynarodowa Federacja Piłki Siatkowej i zażądała od argentyńskiej federacji oficjalnych wyjaśnień.

BYŁY MINISTER NA CZWORAKA

Były francuski minister pracy Eric Woerth zapragnął pochwalić się w sieci swoją wspinaczką na Mont Blanc. Wrzucił zdjęcie, jak wspina się na niemal pionową skałę. Internauci i znawcy gór szybko jednak rozpracowali miejsce. Okazało się, że Woerth zrobił sobie zdjęcie na czworakach, a potem w komputerze obrócił kadr. Francuskojęzyczny Internet zalała po tym fala memów z wyciętym ze zdjęcia politykiem, którego wspinaczkę umieszczano w różnych śmiesznych aranżacjach.

STUDENCI ODCIĘCI OD WOŁOWINY

Goldsmiths University w Londynie wycofało z menu pozycje, w których było mięso wołowe. Rektor uczelni wytłumaczył, że to wszystko będzie wkładem uczelni w walkę z ocieplaniem się klimatu. Brak wołowiny nie będzie jedynym „wkładem” londyńskich słuchaczy – jeśli będą chcieli coś wypić w plastikowej butelce albo kubku, będą musieli do tego dopłacać 10 pensów.

CZY DOPŁYNIE NA IGRZYSKA?

Tongijczyk Pita Taufatoufa już raz przyciągnął uwagę mediów. Podczas ceremonii otwarcia igrzysk w Rio de Janeiro maszerował wysmarowany olejem kokosowym, ubrany jedynie w przepaskę biodrową (po takim występie dostawał liczne oferty matrymonialne, a także oferty pracy z agencji modeli). Tym razem ten taekwondzista wybiera się na igrzyska do Tokio jako... kajakarz. Na razie nie jest łatwo. Sam przyznał w wywiadach, że potrafi utrzymać się w kajaku najwyżej przez 20 metrów. ©

Łukasz Zboralski



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Z kieszeni do kieszeni

Gdy w musicalu „Skrzypek na dachu” pytają rabina z Anatewki, czy istnieje jakieś specjalne błogosławieństwo dla cara, rabin odpowiada: „Oczywiście.

zawsze wtedy, kiedy jakaś władza oznajmia, że bardzo się o nas troszczy i koniecznie chce nam pomagać. Taką deklarację złożył niedawno w Ostrzeszowie premier Mateusz Morawiecki, mówiąc, że „państwo musi wyciągać pomocną dłoń”. Połączmy to teraz z inną, niezwykle szczerą wypowiedzią Morawieckiego, który w Siemianowicach Śląskich zadeklarował niedawno, że „PiS ma swoje źródła także w tej lewicowej, PPS-owskiej myśli. Jest również spadkobiercą myśli socjalistycznej i robotniczej”. Pojawia się pytanie: Po co się ta pomocna dłoń państwa do nas wyciąga?

Często bowiem wyciągająca się dłoń jest dłonią kieszonkowca. Kieszonkowcy, jak wiadomo, działają poprzez znieczulenie: jeden potrafi delikwenta, żeby ten nie poczuł znacznie delikatniejszego dotknięcia, gdy drugi wyciąga mu portfel. Tutaj jest tak samo: „500+” i obniżka PIT, dająca rocznie 700 zł, a jednocześnie dziesiątki nowych lub podwyższonych opłat, paropodatków, składek.

Wołałbym więc, żeby nasze socjalistyczne państwo przestało tak do nas swoją pomocną dłoń wyciągać, bo nam się kasa skończy. ©

Pojawia się pytanie: Po co się ta pomocna dłoń państwa do nas wyciąga?

Niech Bóg chroni cara i zachowa go. Jak najdalej od nas”.

To bardzo uniwersalne błogosławieństwo, które można przywołać



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYCZAKIEM

Złotowicze po frankowiczach?

Nie mało wskazuje na to, że za rogiem czyha na nas katastrofa być może na miarę tej z frankowiczami, do których tym razem w rolach głównych dołączają – złotowicze lub – używając potocznego określenia naszej waluty – złotówkowicze. A więc ci, którzy w ostatnich latach zaciągali potężne kredyty złote, nadmiernie ufając, że niska inflacja zagościła u nas na bardzo długi czas, a może nawet „na zawsze”. Tymczasem owa inflacja zaczęła właśnie niebezpiecznie rosnąć – i nie wiadomo, na jakim poziomie się zatrzyma, tym bardziej że nie widać, by Rada Polityki Pieniężnej paliła się, żeby unicestwić ją w zarodku. Co więc poczną złotówkowicze, gdy z obecnych niemal 3 proc. poszybkuje ona do 5–6 proc. (albo i wyżej?), a w ślad za nią wysokość płaconych przez nich odsetek?

Niedawno śledziłem spór jednego z dziennikarzy z frankowiczami. Współczując im i w żadnym razie nie odmawiając im prawa do dochodzenia swego w sporach z bankami – w tym do udowadniania za pośrednictwem sądów, że zostali wprowadzeni przez banki w błąd, jednocześnie był wstrzemięźliwy w zaakceptowaniu prób przerzucenia kosztów operacji ulżenia frankowiczom na podatników i/lub klientów banków. Jego zdaniem podjęcie decyzji o wzięciu kredytu hipotecznego – takiego czy innego – nie może być wyjątkiem od reguły, że winę za swoje decyzje, w tym biznesowe,

ponosi każdy z nas, a nie społeczeństwo.

Co do zasady trudno temu rozumowaniu odmówić racji, wszelako nie powinno się zapominać, że w przypadku takich produktów jak bankowe – w tym zwłaszcza kredyty hipoteczne, które często na dekady wpływają na życie milionów obywateli – nie do przecenienia jest, a przynajmniej powinna być, rola instytucji państwowych, które mają narzędzia, by dbać o bezpieczeństwo rynku i jego uczestników. I ewidentnie w przypadku fali kredytów frankowych, która pogrążyła setki tysięcy Polaków, instytucje te zawiodły.

Niestety, mimo że po tamtej nauczce dziś są dużo aktywniejsze, rezultat ich działań pozostawia wiele do życzenia. Wystarczy przypomnieć, że w Polsce zatrważająco duży odsetek nowo zaciągniętych złotych kredytów hipotecznych stanowią te o zmiennej stopie procentowej – na co zwrócił uwagę Jacek Przybylski („DRz” nr 32/2019), a nie – tak jak w większości państw, do których tak często i tak chętnie się porównujemy – kredyty o stałej stopie procentowej. Czyli tam ryzyko zmiany (podniesienia) stóp procentowych rozłożone jest między banki i ich klientów, a u nas niemal w całości pozostaje po stronie klientów.

Czy ktoś zacznie myśleć, jak to zmienić, zanim wybuchnie kolejny skandal – zaciskającej się na szyjach kolejnych setek tysięcy Polaków pętli – tym razem złotych kredytów hipotecznych o zmiennej stopie procentowej? ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Tęczowa zaraza naukowo

Tytułowy mem, który padł z ust hierarchy kościelnego, stał się symbolem wojny kulturowej, która przetacza się przez Polskę. Z jednej strony mamy ataki środowisk liberalno-lewicowych na Kościół z powodu ukrywanych przypadków pedofilii. Z drugiej strony środowiska konserwatywno-prawicowe oskarżają praktyków i zwolenników LGBT+ o niszczenie wartości chrześcijańskich oraz formułują tezę, że pedofilia jest powiązana z homoseksualizmem. Zaciętrzewienie uniemożliwia debatę.

W tej sytuacji warto przeprowadzić badania naukowe, które pozwoliłyby potwierdzić lub obalić stawiane oskarżenia oraz przekazać dane o wszystkich przypadkach pedofilii w Kościele Ministerstwu Sprawiedliwości, które połączyłoby je z ogólnym rejestrem pedofilów w Polsce i sporządziłoby raport statystyczny, pokazujący liczbę pedofilów w podziale na zawody, grupy wiekowe, orientacje seksualne i inne cechy. To pozwoli opinii publicznej przekonać się, jaka jest faktyczna skala zjawiska. Postuluję przeprowadzenie badań wśród populacji pedofilów w Polsce w celu określenia, czy występuje zależność między pedofilią a homoseksualizmem mężczyzn – bo to mężczyźni odpowiadają za ponad 95 proc. przypadków pedofilii. Na przykład takie badania w zakładach karnych, na próbie 96 pedofilów, prowadziła w 2011 r. prof. Maria Beisert, chociaż były one nakierowane na zbadanie roli środowiska rodzinnego

w rozwoju pedofilii, a nie na badanie związku między homoseksualizmem a pedofilią.

Takich badań w Polsce jest mało. Przypomnijmy statystyki z innych krajów. Badania pokazują, że populacja gejów wynosi od 2 do 4 proc., podczas gdy blisko jedna trzecia przestępstw seksualnych dotyczy chłopców. A ponieważ ponad 95 proc. pedofilów to mężczyźni, proste porównanie pokazuje, że wśród pedofilów odsetek gejów jest nawet 10-krotnie większy niż przeciętnie w społeczeństwie.

Jak pokazuje artykuł z prestiżowego „Mayo Clinic Proceedings” z 2007 r., heteroseksualny pedofil przeciętnie krzywdził około pięciorga dzieci, podczas gdy homoseksualny pedofil krzywdził 11 dzieci. W publikacji Family Research Council z 2002 r. pokazano, że na liście Gay Mens Fiction Bestsellers był znaczny odsetek książek, w których pojawia się wątek pedofilii. „Journal of the American Medical Association” opublikował artykuł pokazujący, że ponad połowa z badanych 279 amerykańskich gejów była jako dzieci molestowana przez starszego mężczyznę. U badanych osób heteroseksualnych zjawisko molestowania w dzieciństwie prawie nie występowało.

Warto sprawdzić, czy wyniki powyższych badań naukowych znajdą potwierdzenie lub nie w Polsce. Tylko czy w totalnej wojnie poglądów głos naukowców ma jakiegokolwiek znaczenie? ©©

Autor pełni funkcję chief ideatora w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.



Tomasz Wróblewski

Jak to możliwe, że libra – facebookowa waluta – potrafiła zjednoczyć przeciwko sobie Trumpa i Macrona, bankierów i noblistów, konserwatystów i liberałów?

Dzień po ogłoszeniu tego projektu Donald Trump napisał w tweecie: „Tak jak Facebook Libra nie zyska wiarygodności”. Francuski minister finansów Bruno Le Maire w imieniu grupy G7 oświadczył: „Suwerenność narodów może zostać osłabiona lub zagrożona przez te nowe waluty”. Osiem największych banków świata opracowało własne krytyczne raporty, przy czym kilka rozdziałów zostało natychmiast utajnionych. Do tego dodajmy oczywiście niezależne raporty Międzynarodowego Funduszu Walutowego, Banku Rozrachunków Międzynarodowych i światowej Rady Stabilności Finansowej – wszystkie w podobnym tonie.

Kongresmenka Maxine Waters przygotowała własny projekt ustawy zakazującej wszelkich transferów pieniężnych za pomocą platform społecznościowych, a część jej kolegów żąda wręcz wstrzymania jakichkolwiek prac nad libą, pod rygorem zablokowania kont bankowych Facebooka.

Ostatni raz świat w jakiegokolwiek sprawie zajął tak jednoznaczne stanowisko chyba tylko po zamachu na World Trade Center w 2001 r. Wtedy chodziło jednak o terrorystów, a nie o platformę do obrotu kryptowalutami.

Libra, co do zasady, ma być jeszcze jedną kryptowalutą. Na całym świecie emitowanych jest dziś ich bez mała 2,5 tys., sprzedawanych na łącznie 220 kryptogieldach. Czym libra będzie się od nich różnić? Przede wszystkim ma być w zasięgu ręki 2,5 mld użytkowników Facebooka, którzy nie będą musieli wykonywać żadnych skomplikowanych operacji ani ściągać certyfikatów – wystarczy, że mają profil na Facebooku, by kupić dowolną ilość libr. Operacja ma być prostsza niż zakup książki przez Internet. Zresztą motyw kupowania książki często wykorzystywany jest też przeciwko librze. Przywoływana tu historia Amazona i jego Kindle'a ma być dowodem

Kryptopotencjał Zuckerberga



FOT. THOMAS TRUTSCHEL/PHOTOTHEK/GETTY IMAGES

na to, że dobrze funkcjonujący rynek książki w ciągu kilku lat mógł być przejęty i zdziesiątkowany przez sprytny system zamówień. Czy libra powtórzy ten sam zabieg w przypadku systemów płatności elektronicznych i banków? Zaczniemy od tego, że libra będzie czymś więcej niż bitcoin i nawet jeżeli ma nie być suwerenną narodową walutą, to spełniać będzie wiele parametrów tradycyjnych systemów monetarnych. To może wzbudzać najwięcej kontrowersji światowej finansjery.

GLOBALNA WALUTA

Koncept stworzenia globalnej waluty jest tak stary jak współczesny system monetarny, a jego przeciwnicy są wciąż silni i równie zdeterminowani jak w 1944 r., gdy w Bretton Woods spotkali się ministrowie największych gospodarek, żeby zaprojektować powojenny system monetarny. Dobre pół roku przed tymi negocjacjami brytyjski ekonomista John Maynard Keynes, rozumiejąc, że brytyjski sterling nie będzie już w stanie utrzymać dotychczasowej pozycji globalnej waluty transakcyjnej, robił wszystko, by globalnym pieniądzem nie stał się dolar. Stąd pomysł bancor – waluty o konstrukcji do złudzenia przypominającej projekt Facebooka, opartej na koszyku największych walut świata. Pierwsza konferencja w Bretton Woods toczyła się w czasie, kiedy alianckie wojska wciąż jeszcze walczyły w Normandii i gdy największym sojusznikiem Waszyngtonu był Londyn. To jakoś nie przeszkodziło sekretarzowi skarbu Henry'emu Morgenthau wyznaczyć na swojego doradcę ekonomistę z doświadczeniem wywiadowczym – Harry'ego White'a, który miał storpedować wszystkie monetarne plany Brytyjczyków. White, jak się później okazało, występował tam w roli podwójnego sowieckiego szpiega. Do dziś nie jest jasne, czy podmienił treść ostatecznego dokumentu na zlecenie Waszyngtonu czy Moskwy, ale całkiem możliwe, że działał w interesie obydwu mocarstw jednocześnie. W każdym razie w uzgodnieniach końcowych zamiast zwrotu „rezerwy monetarne” znalazł się zwrot „złoto i dolary”.

Dwadzieścia lat później Charles de Gaulle oskarżył Amerykę o oszustwo, finansowanie swojej gospodarki kosztem reszty świata, a gdy to nie pomogło, zażądał wymiany 80 proc. rezerw. Ostatecznie w 1971 r. Amerykanie zrezygnowali z powiązania dolara ze złotem, a w 1973 r. na kolejnym spotkaniu ministrów przyjęto nowy globalny system – Special Drawing

Rights (SDR). SDR został oparty na koszyku walut państw członkowskich MFW i miał być przygrywką do nowej globalnej waluty. I znów Amerykanie storpedowali pomysł. Zostały dolary, już bez złota. Potem jeszcze kilka razy podejmowano próby stworzenia globalnej waluty, ostatnio jakieś pięć lat temu apelowały o to Chiny, a całkiem niedawno szefowa MFW Christine Lagarde. Jednak równie szybko, jak to powiedziała, odeszła do EBC.

Wiele wskazuje na to, że Mark Zuckerberg dobrze wybrał moment na ogłoszenie swoich planów. Notowania kryptowalut i złota w ostatnich tygodniach zbliżają się do historycznych wielkości. Banki centralne kupiły w tym roku najwięcej złota od 1968 r., od sławetnego załamania się pierwszej umowy z Bretton Woods. Wskaźniki niepewności ekonomicznej notują rekordowe wartości, a co za tym idzie – zaufanie do globalnego systemu monetarnego wydaje się poniżej poziomu z 2008 r. Facebook rzuca więc światu swój koncept w chwili, kiedy miliony ludzi szukają nowej bezpiecznej przystani dla swoich pieniędzy.

KTO STOI ZA LIBRĄ

Facebook jest tu oczywiście znakiem rozpoznawczym, ale za librą stoją niemal wszystkie największe innowacyjne firmy technologiczne w Ameryce. Stowarzyszenie Libra powołane zostało przez 28 podmiotów. Są wśród nich korporacje od lat działające w systemach płatniczych, takich jak PayPal, Spotify, Uber, MasterCard. Docelowo fundatorów ma być 100. Każdy z nich ma zainwestować 10 mln dol.

W białej księdze libry szczegółowo omówione jest, jak w teorii system ma działać w oparciu o portfel nazwany Calibra. Za stabilność libry ma odpowiadać Swiss Financial Market Supervisory Authority (FINMA) – szwajcarski nadzór bankowy. To dlatego zarówno Trump, jak i demokraci w komisji Kongresu ds. finansów wyrazili oburzenie i ostrzegli, że każdy mechanizm płatniczy działający na terenie USA musi mieć wszystkie certyfikaty amerykańskiego regulatora.

Wartość libry ma być oparta na koszyku innych walut. Skład koszyka będzie zmienny w zależności od sytuacji na rynku. Biała księga nie precyzuje, jak wyznaczone będą proporcje walut – ile dolarów, ile franków szwajcarskich, a ile euro i dlaczego. Nie odnosi się też do hipotetycznych scenariuszy, gdzie od

doboru walut w koszyku zależeć będzie czasem sytuacja monetarna niektórych państw. Od tego, jak Facebook z MasterCard ułożą proporcje, mogą zależeć rozkwit lub recesja danego państwa.

STRACH PRZED MONOPOLEM

Inwestorzy założyciele – 10-milionowcy – stworzą pulę aktywów, rezerwę finansową. Następnie stowarzyszenie zdecyduje o składzie koszyka i zwiąże z nim libré. Każda „wybita” moneta ma mieć pokrycie w koszyku innych walut. Autoryzowani sprzedawcy dokonują zakupu monet libry od stowarzyszenia, dostarczając w zamian inne waluty, które są dodawane do rezerw. Konstrukcja jest o tyle interesująca, że do tego momentu w zasadzie pokrywa się z oryginalnym konceptem Keynesa. Dalej to się nieco komplikuje.

Rezerwy zostaną zainwestowane w krótkoterminowe stabilne papiery dłużne. Aktywa będą nisko oprocentowane i mają zarobić na koszty operacyjne. Reszta zysku ma pójść na wypłatę dywidendy. Twórcy libry minimalizują dziś znaczenie dywidendy, co nie zmienia faktu, że za kilka lat może uznać, iż chcieliby jednak mieć coś więcej z tego na starość. W każdym razie model biznesowy wygląda tu bardzo zachęcająco. To, co najbardziej niepokoi banki centralne, to Calibra, cyfrowy portfel (wymiana kryptowalut), gdzie będzie przechowywana libra. Facebook ma siłę dotarcia i skalę nieporównywalną z żadną inną kryptowalutą, co natychmiast ustawi w roli mniejszego brata wszystkie narodowe banki.

Potencjał ogromnej bazy użytkowników może doprowadzić do zmonopolizowania rynku kryptowalut, co zdaniem krytyków może stanowić zagrożenie rynkowe. Jeżeli pada system czytników Kindle'a, to na jakiś czas użytkownicy tracą dostęp do swoich książek. Jeżeli pada Facebook, to przez chwilę nie dowiemy się, że nasza kuzynka moczy nogi w jeziorze, ale jeżeli padnie Calibra, której potencjał jest mierzony w dziesiątkach bilionów dolarów, to może to doprowadzić do krachu całego systemu walutowego na świecie. Co w pewnym stopniu jest wspomniane w białej księdze, która zapowiada uruchomienie nieznanych dziś systemów zabezpieczeń i backupów, ale mimo wszystko sama wizja pobudza wyobraźnię i daje amunicję politykom wystraszoną nowym niekontrolowanym narzędziem.

Twórcy libry, co naturalne, chcą, żebyśmy mniej zajmowali się potencjalnymi zagrożeniami, a zainteresowali się szansami, choćby „sierotami cyfrowymi” – 1,7 mld osób na całym świecie pozostaje wciąż poza systemem usług bankowych. Facebook szacuje też, że dzięki librze ponad 90 mln firm dostałoby do ręki narzędzie, które pozwoliłoby im podbijać transgraniczne rynki, dając globalnej gospodarce dodatkowe paliwo. Każde zdanie zdaje się tu przemysłane i dobrane pod kątem zagrożeń, z którymi dziś borykają się rynki. Brak wiarygodności systemu monetarnego, brak przejrzystości i gwarancji stabilności. To, z czym Facebook słabo sobie radzi, to zarzuty o otwieranie drzwi dla organizacji przestępczych, które mogą wykorzystywać libkę do nielegalnych transakcji. Na specjalnym posiedzeniu komisji w czerwcu David Marcus, członek zarządu Facebooka, tłumaczył, że wręcz przeciwnie – libra może się okazać skutecznym narzędziem dla służb specjalnych, pomagając w zbieraniu niedostępnych dziś informacji o zagranicznych podmiotach. Gwarantował gotowość do współpracy. Problem w tym, że wbrew wcześniejszym obietnicom Facebook, jeżeli chodzi o współpracę z FBI czy CIA, jest dość nieprzewidywalny. Przy okazji ostatnich dwóch strzelanin i masowych zabójstw w Teksasie oraz Idaho okazało się, że FBI ma mocno ograniczone możliwości monitorowania prywatnych informacji osadzonych na Facebooku.

Krytycy libry nie podzielają zachwytu Zuckerberga nad możliwością popularyzacji nowej platformy płatniczej wśród „analfabetów cyfrowych”. Eksperti Europejskiego Banku Centralnego uważają, że jest to proszenie się o kłopoty. Ludzie, którzy nie korzystali wcześniej z kart kredytowych, ba, nawet z usług banków, rzuceni na głęboką wodę mogą szybko wpędzić się sami w problemy.

To nieco protekcjonalne podejście unijnych regulatorów nie znajduje potwierdzenia w faktach, zwłaszcza po doświadczeniach z nowymi technologiami i płatnościami elektronicznymi w Chinach – w kraju, w którym miliony ludzi z gospodarki barterowej przeskoczyły niemal natychmiast do systemu płatności telefonami komórkowymi.

GRA NA PRZECZEKANIE

Libra wszelkie zarzuty zbija obietnicą restrykcyjnych regulacji i przyjęciem mechanizmów kontroli porównywalnych

z obrotem złotymi walorami. Niektórzy zaczęli nawet określać libkę jako rodzaj cyfrowego „złota”. To jednak nieco na wyrost, obrót złotem jest ściślej regulowany. Określa maksymalną liczbę transakcji i gwarantuje przejrzystość obrotu, w większym nawet stopniu niż obrót gotówką. W przypadku libry łatwo wyobrazić sobie świat, w którym waluta zamiast do opłacenia rachunku za rzadkie kosmetyki w odległej Korei Południowej wykorzystywana będzie do spekulacji walutowych, przy których Forex będzie dziecinną zabawą. Skala pozwoli na spekulację, o jakich nawet nam się nie śni. Teoretycznie 5 zł można będzie obrócić w setki milionów.

Profesor Uniwersytetu Pekńskiego Michael Pettis na blogu omawiającym, czy libra może ułatwić spekulacje transgraniczne, zauważył: „Oszczędności będą płynąć tam, gdzie kary czy opłaty są najniższe, a nie tam, gdzie mogą być najbardziej produktywnie”. Facebook z racji skali może się okazać najtańszym sposobem przechowywania oszczędności, a tam też natychmiast pojawiają się oferty oprocentowanych depozytów, które przy takiej skali mogą być nieporównanie korzystniejsze od obligacji czy jakichkolwiek funduszy, wypływając tym samym rynek z pieniędzy pod inwestycje. W ostatnich latach przeprowadzono wiele badań akademickich, które pokazują, że funkcja systemu finansowego w wielu zaawansowanych gospodarkach nie polega już na przekazywaniu pieniędzy na nowe i produktywnie inwestycje, ale na angażowaniu się w kupowanie i sprzedawanie istniejących aktywów poprzez kompleksową sekurytyzację.

Profesor Pettis zauważa, że głównym czynnikiem wpływającym na płatności transgraniczne nie są już bieżące potrzeby osób fizycznych, a nawet firm. Oszczędności przemieszczają się w ułamku sekundy, poszukując najlepszego zwrotu. „Nie ma powodu – pisze – żeby ta dynamika gwałtownie nie wzrosła przez użycie libry”. Nie wiemy dziś, jak może wyglądać świat monetarny, gdzie każdy zaskórniak okazuje się częścią globalnej spekulacji.

Dla amerykańskiego regulatora libra stanowi dodatkowe wyzwanie. Od czasów wojny secesyjnej Stany Zjednoczone mają zakaz łączenia bankowości i handlu. Zakaz był później wielokrotnie wzmacniany. Najpierw w 1956 r. ustawą o spółce bankowej i dopuszczalnych

granicach aktywności, a w 1970 r. poprawką, która miała być odpowiedzią na konsolidację banków z innymi usługami finansowymi. Za każdym razem Kongres blokował możliwość poszerzania działalności banków tak, żeby instytucje finansowe nie konkurowały ze swoimi klientami w innych obszarach. A teraz spróbujmy sobie wyobrazić, że Calibra, spółka zależna Facebooka, zna saldo konta swojego klienta, wie, na co wydaje swoje pieniądze, a jednocześnie oferuje sprzedawcom detalicznym algorytm, do kogo ma wysłać swoje oferty.

Biała księga libry zapewnia, że informacje zaszyte w Calibrze nie będą udostępniane innym aplikacjom Facebooka (takim jak WhatsApp lub Instagram). Problem w tym, że Facebook całkiem niedawno zapłacił 5 mld dol. kary za niedotrzymywanie wcześniejszych obietnic. Charakterystyczne też, że dzień po wpłacie 5 mld dol. kary akcje firmy wystrzeliły w górę. Inwestorzy uznali, że to niska cena za możliwość obracania danymi osobowymi Facebooka. Tydzień po zapłaceniu kary wpompowali w serwis dwa razy więcej, niż wynosiła kara. Jaka suma mogłaby powstrzymać Facebooka od handlowania danymi finansowymi?

Wiarygodność może się okazać poważnym wyzwaniem, stąd też stowarzyszenie na pierwszy plan wysuwa szwajcarskiego legislatora i pokazuje wielopiętrowe struktury wewnętrznej regulacji. Jednak w końcu specjalne struktury miały też obowiązywać przed ostatnią karą nałożoną za łamanie zasad prywatności.

Mark Zuckerberg gra na przeczekanie. Z jednej strony zapewnia, będzie stosował się do wszystkich wymogów regulacyjnych, z drugiej strony – chwilowo czeka z dalszymi pracami. Z całą pewnością czeka na nowe regulacje, nad którymi pracują zarówno amerykański Kongres oraz FED, jak i Europejski Bank Centralny. Wie, że gdyby ogłosił już datę wejścia, to regulacje zostaną tak zaprojektowane, żeby libra nigdy się nie urzeczywistniła. Jednak jest coś jeszcze, na co Facebook najprawdopodobniej czeka – kryzys. Zawirowania walutowe i wojny celne szalejące nad światem nie tylko mogą złe nastawić regulatorów. Przede wszystkim sztorm może zmieść obecny ład monetarny z powierzchni ziemi i niespodziewanie pojawi się przesłrzenie na nowy koncept walutowy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Tomasz Cukiernik

Regulacje i fiskalizm niekoniecznie ograniczają negatywny wpływ plastiku na środowisko

Pod wpływem coraz ostrzejszych celów Unii Europejskiej, dotyczących ograniczenia wpływu odpadów z tworzyw sztucznych na środowisko (PE chce m.in., by do 2029 r. kraje członkowskie zbierały 90 proc. plastikowych butelek), Ministerstwo Środowiska zamierza wprowadzić opłatę kaucyjną od plastikowych butelek i innych opakowań w wysokości 10 gr.

– Propozycja ta wynika wprost z zapisów dyrektywy SUP, gdzie mowa o konkretnych poziomach odzysku i recyklingu butelek PET oraz o udziale rPET w produkcji nowych butelek. Czy kaucja w wysokości 10 gr rozwiąże problem? Nie widziałam badań w tej sprawie, na podstawie których podjęto taką decyzję. Jeśli 10 gr wynika z analizy ekonomiczno-ekologicznej i gwarantuje realizację celów środowiskowych, to tak. Jeśli jest to kwota niepoddana weryfikacji, to obawiam się, że nie uda się osiągnąć zamierzonego efektu – ocenia dr Katarzyna Michniewska, prezes zarządu Eko Cykl Organizacja Odzysku Opakowań SA we Wrocławiu.

– Decydującym czynnikiem w sukcesie kaucyjnym będzie organizacja logistyczna – kto zainwestuje w maszyny i obsługę logistyczną, czy będzie to system scentralizowany, działający na zasadach wolnorynkowych, czy odgórnie sterowany. Wciąż brak tego typu informacji – dodaje.

Tymczasem samorządy same wychodzą niejako przed szereg. Władze Wałbrzycha jako pierwsze zdecydowały, że w ratuszu i spółkach miejskich oraz na imprezach gminnych będzie obowiązywał zakaz używania jednorazowych przedmiotów z plastiku. Podobne decyzje podjęły władze Krakowa i Gdyni, a także Górnośląsko-Zagłębiowskiej Metropolii i Sosnowca. Plastik ma zostać zastąpiony opakowaniami wielokrotnego użytku ze szkła, z metalu lub materiałów biodegradowalnych. „Ponieważ wszechobecny plastik zagraża nam, a przede wszystkim środowisku, które nas otacza, walkę z nim zaczynamy od siebie. Chcę, aby

w urzędzie miejskim oraz w jednostkach i spółkach podległych skończył się czas jednorazowych opakowań i naczyń wykonanych z plastiku, a także reklamówek, sztućców i butelek PET” – napisał na Facebooku Arkadiusz Chęciński, prezydent Sosnowca.

W połowie kwietnia w Urzędzie Miasta Krakowa, wzorem krajów Europy Zachodniej, ustawiono pierwszy w Polsce automat, który skupował plastikowe butelki za 10 gr lub 20 gr. Jednak po dwóch tygodniach urządzenie zniknęło, gdyż po przyjęciu 15 tys. butelek... skończyły się fundusze na jego działanie. W Sosnowcu z kolei za każdą butelkę można przelać 10 gr na lokalny sport. „W Sosnowcu

automatów, to te 10 gr pójdzie na straty. Jeśli w każdym większym sklepie będzie automat, to będzie to zachęcało konsumentów do wrzucania przy okazji zużytych butelek – dodaje poseł.

BUTELKOMATY NIEKONIECZNIE DOBRYM POMYSŁEM

Pojawiają się jednak opinie, że butelkomaty są fatalnym pomysłem. – Skupomaty są bardzo drogie, a ich wprowadzenie w Polsce to kwota rzędu 20 mld zł. Do tego dochodzą koszty serwisu, obsługi. Jeśli klient w butelkomacie otrzymuje za butelkę PET tę samą kwotę, którą zapłacił za nią w sklepie, to żeby to się opłacało, w tej butelce napój musi być

Walka z plastikiem

mamy pięć automatów, do których tylko w tym roku sosnowiczanie wrzucili ponad 35 tys. butelek. Jeszcze przed wakacjami MPGO Recykling w Sosnowcu ustawi kolejne dwa automaty” – napisał w kwietniu na FB prezydent Chęciński.

O butelkomatach, które kosztują minimum 20 tys. zł, myślą także radni w Płocku, Gdańsku czy Starachowicach. – Kaucja powinna być, ale ważniejszą rzeczą są automaty, w których te opakowania będą przyjmowane, tak jak zrobiono to w Krakowie. Takie automaty powinny być obecne w każdym większym sklepie – mówi dr hab. Józef Brynkus, poseł Kukiz'15, członek sejmowej Komisji Ochrony Środowiska. – Jeśli ktoś kupi butelkę wody mineralnej za 1,1 zł zamiast za 1 zł, to jeżeli ta świadomość ekologiczna nie wzrośnie i nie będzie ułatwionej dostępności do takich

gorszej jakości za tę samą cenę albo musi być droższy – tłumaczy inż. Andrzej Bartoszkiewicz, autor innowacyjnej metody odbioru i segregacji odpadów komunalnych Systemu EKO AB.

– Co więcej, skupomat jest anty-ekologiczny, bo drugim strumieniem pieniędzy, które zasilają te automaty, jest paradoksalnie nieoddawanie butelek przez część ludzi bogatych albo leniwych, którym szkoda czasu na wrzucanie butelek do butelkomatów. Dlatego właściciele skupomatów marzą o tym, by plastikowe butelki kupione w sklepie nie wróciły do nich, co pokazuje praktyka w bogatych krajach UE. Do skupomatów trafiają butelki PET i niektóre butelki szklane, które to akurat opakowania można sprzedawać na rynku. Ściągając je w ten sposób z rynku, zmniejszamy wartość strumienia



■ odpadów. To tak, jakbyśmy z mleka ściągnęli śmietanę – podkreśla.

Zdaniem Bartoszkiewicza ekolodzy chcieliby sprowadzić do Polski skupomaty do sklepów, zasilając w ten sposób miejsca pracy na Zachodzie i kieszenie zachodnich przedsiębiorców, czego rezultatem w niedługim czasie będzie znaczący wzrost opłat za odpady segregowane.

Co gorsza, recykling nie jest skutecznym rozwiązaniem. – Trzeba zdać sobie sprawę z tego, że ostatecznie i tak plastikowa butelka musi zostać albo spalona, albo zdeponowana na składowisku, gdzie rozłoży się za 500 lat. Recykling może odbyć się dwa–trzy razy, a potem butelka już nie nadaje się do kolejnego recyklingu, ponieważ ma za słabe wiązania polimerowe – mówi anonimowo producent paliwa alternatywnego ze Śląska.

– Recykling to także kosztowny ekologicznie i ekonomicznie proces produkcyjny – nie stanowi on więc skutecznego rozwiązania w skali makro, w długim okresie – wszakże recyrkulacja w nieskończoność bez konieczności uszlachetniania wsadu do recyklingu surowcami naturalnymi nie jest możliwa – potwierdza dr Michniewska.

FOLIÓWKI FRUWAJĄ, JAK FRUWAŁY

Tymczasem niewypałem okazała się ustawa wprowadzająca, zgodnie z unijną dyrektywą, opłaty za tzw. foliówki, która weszła w życie 1 stycznia 2018 r. Budżet miał pozyskiwać ponad 1 mld zł rocznie, a – jak informuje Ministerstwo Finansów – do 30 kwietnia br. wpłynęło niecałe 70,2 mln zł. Chodzi o to, że opłatą 20 gr obłożono torby o grubości od 15 do 50 mi-

krometrów. W odpowiedzi na tę regulację sieci supermarketów sprzedają torby grubsze – powyżej 50 mikrometrów – i biorą za nie opłaty dla siebie.

– Per saldo zwiększona produkcja grubszych foliówek (powyżej 50 mikrometrów) spowodowała, że mimo iż ludzie biorą mniej tych toreb, to masa tworzyw sztucznych z foliówek jest taka sama jak przed ustawą. Ustawa ani nie dała wpływów podatkowych, ani nie zmniejszyła masy odpadów – komentuje inż. Bartoszkiewicz, dodając, że opłatę recyklingową zapłacili głównie apteki, które nie chciały omijać ustawy.

– Torebki fruwały w środowisku, jak fruwały. Zwyczajnie zmienia edukacja, a nie opłata za foliówkę – ocenia dr Michniewska.

Teraz błąd ustawowy ma zostać naprawiony poprzez likwidację górnego



jach rozwijających się. Ale łatwiej jest wprowadzić podatek od plastikowych toreb w krajach rozwiniętych, prawda? Będąc ogólnie wrogo nastawionymi do kapitalizmu, wolą kradzież (mam na myśli opodatkowanie) niż rozwiązania wolnorynkowe” – ocenił na FB Jacek Spendel, prezes amerykańskiej organizacji libertariańskiej Liberty International.

Tym bardziej że z zeszłorocznego badania duńskiej agencji rządowej Miljøstyrelsen wynika, iż biorąc pod uwagę proces produkcji i utylizacji, uznawane za ekologiczne torby bawełniane czy papierowe są znacznie bardziej szkodliwe dla środowiska niż cienkie torby plastikowe. Podobnie, według raportu przedstawionego islandzkiemu ministrowi środowiska, torba nieplastikowa musiałaby być używana aż 52 razy, aby zrównoważyć wpływ foliówki na środowisko.

ODPOWIEDZIALNOŚĆ PRZEMYSŁU

Jak mówi dr Michniewska, lepszym rozwiązaniem jest zastąpienie jednorazowych produktów o krótkim cyklu życia trwałymi produktami, tym bardziej że picie z ceramiki czy szkła bądź kontakt z ciałem bawełny zamiast tworzywa sztucznego, często nieznanego pochodzenia, ma dużo lepszy wpływ na nasze zdrowie środowiskowe.

– Z punktu widzenia globalnego to, ile w Polsce jest wykorzystywanych torebek plastikowych, to jest tak naprawdę kropla. Niemniej jednak ze względu na nasze środowisko powinniśmy ograniczyć produkcję opakowań plastikowych na rzecz alternatywnych biodegradowalnych, papierowych, które mogłyby być wykorzystywane wielokrotnie – uważa poseł Brynkus. – Musimy sobie poradzić z tym problemem, bo to jest problem związany nie tylko ze zdrowotnością, lecz także estetyką. Nad Jeziorem Mucharskim w Wadowicach, mimo że na wiosnę zbierano butelki i inne plastiki, nadal są tego tony – dodaje.

Doktor Brynkus krytykuje jednak zakazy Unii Europejskiej. – Koszty produkcji i korzystania z zastępczych narzędzi będą znacznie wyższe niż w przypadku plastikowych. Nie wiem, dlaczego Unia podejmuje takie rozwiązania, które są nieekonomiczne, ale też z punktu widzenia technologicznego i ekologicznego są idiotyzmem. Kiedyś była moda na choinki plastikowe, bo miały one rzekomo chronić te naturalne. Okazało

się, że wyprodukowanie takiej plastikowej choinki jest bardziej szkodliwe niż ścięcie 10 choinek. Są pewne rozwiązania ekologiczne, powstające z pobudek ideologicznych, powodujące więcej straty niż stosowanie tych narzędzi z plastiku. Wprowadzenie obowiązku stosowania sztuczków nieplastikowych może przynieść większe straty – uważa poseł.

Michał Dąbrowski, przewodniczący Rady Polskiej Izby Gospodarki Odpadami, zauważa, że brakuje współodpowiedzialności przemysłu za opakowania po produktach wprowadzonych na rynek i w efekcie w systemie brakuje 1,5–2 mld zł. – Zapłaci ten, kto więcej kupuje produktów w opakowaniach, a więc więcej konsumuje. Przemysł powinien sfinansować ponowne użycie i recykling odpadów opakowaniowych w wysokości co najmniej 80 proc. kosztów poniesionych na zbiórkę, doczyszczanie i recykling tych odpadów – mówi Dąbrowski. Zdaniem posła Brynkusa przerzucenie tych kosztów na producentów zmusiłoby ich do odbierania opakowań po zużyciu. Wprowadzenie rozszerzonej odpowiedzialności producentów nakazuje nam dyrektywa unijna. Oczywiście ostatecznie i tak za to zapłaci konsument poprzez wyższą cenę towaru w sklepie.

Tymczasem pojawiają się technologie, które pozwolą zastąpić plastik. Projektantka Róża Rutkowska za pomocą grzyba kombuchy i procesu fermentacji stworzyła biodegradowalne opakowania, których produkcja jest jednak droższa od plastikowych. Natomiast naukowcy z Politechniki Gdańskiej z surowców pochodzenia naturalnego opracowali tańszy niż plastik materiał, z którego można wytwarzać jednorazowe produkty, takie jak zakazane przez UE słomki, patyczki higieniczne, sztuczne czy talerze.

A może trzeba by zacząć nie od likwidacji skutków w postaci nadmiernej liczby opakowań, ale od usunięcia przyczyn, czyli spowodowania, by produkowano trwalsze i niepsujące się towary, a nie sezonowe i jednorazowe, co dzieje się w coraz większej liczbie branż. Jeśli klient nie kupi kolejnych butów, bo poprzednie się nie rozkleiły, to nie będą też potrzebne do nich kartonowe opakowanie czy plastikowa siatka.

Zdaniem dr Michniewskiej wyedukowany ekologicznie konsument jest w stanie wymusić zmianę modeli biznesowych. – Po części już się to dzieje, np. wykupywanie wydłużonej gwarancji – zaznacza dr Michniewska.

limitu grubości foliówek, które mają być opodatkowane. Ten ruch zagraża jednak egzystencji wielu polskich firm. „Wprowadzenie opłaty recyklingowej od grubszych toreb foliowych będzie miało negatywny wpływ na przyszłość wielu przedsiębiorstw. Nowe przepisy stawiają w uprzywilejowanej pozycji dużych producentów papieru i importerów materiałów takich jak bawełna” – oświadcza Polski Związek Przetwórców Tworzyw Sztucznych, członek Konfederacji Lewiatan.

Opodatkowanie plastikowych toreb nie jest także dobrym rozwiązaniem z wolnościowego punktu widzenia. „Aby osiągnąć swój cel, ekolog powinien raczej skupić się na promocji własności prywatnej, praworządności, gospodarowania odpadami oraz eliminacji/redukcji nieszczęścia wspólnych dóbr w kra-

**Z Jerzym Polaczkiem,
byłym ministrem
transportu, posłem PiS,
szefem sejmowej Komisji
Infrastruktury**

rozmawia Łukasz Zboralski



ŁUKASZ ZBORALSKI: Opozycja alarmuje, że mamy zawał inwestycyjny na drogach, że przepadną nam miliony dofinansowania z Unii. Rząd PiS przestał budować drogi w Polsce?

JERZY POLACZEK: Zarzut opozycji jest niestosowny i nie jest oparty na faktach. Przede wszystkim dlatego, że już na początku mijającej kadencji rząd o kilkanaście miliardów złotych zwiększył program drogowy i ten program – tak jak każdy program wieloletni – jest z jednej strony kontynuacją, a z drugiej pewnym uzupełnieniem o nowe projekty inwestycyjne.

Obserwując to, co się dzieje na drogach, mogę tylko skonstatować, że z uwagi na zakres tych inwestycji zaczyna po prostu brakować rąk do pracy. W dodatku równoległe trwa olbrzymi program inwestycji kolejowych, przy których także potrzeba wielu pracowników. I nie da się nie zauważyć, że włoskie firmy – bo to im ostatnio wypowydano umowy na budowę dróg ze względu na nieosiągnięcie „kamieni milowych” w tych projektach – mają taką specyfikę, że polegają głównie na polskim podwykonawstwie.

Owszem, gdy spojrzysz się na zerwane kontrakty, to za połowę odpowiada jedna włoska firma, jest też drugi włoski wykonawca. Przedstawiciele tych firm przestali budować, gdyż żądali dopłat do kontraktów, które wcześniej wygrali w przetargach, oferując takie, a nie inne ceny. Czy państwo zachowuje się właściwie, zrywając te kontrakty? Kolejne, które potem rozpisuje, opiewają na wyższe kwoty. Przypomina to trochę sytuację z poprzedniego boomu budowlanego w Polsce, a miało być przecież inaczej, w umowach miała zostać zapewniona waloryzacja w przypadku np. wzrostu cen materiałów.

Pragnę zwrócić uwagę na to, że odmiennie niż w okresie rządów PO-PSL nie mamy dziś w Polsce skrajnie negatywnych praktyk polegających na wyścigu szczurów i dominacji najniższej ceny w ofertach przetargowych. To bowiem właśnie rujnowało rynek firm średnich i skutki takich zjawisk w latach 2011–2014 odczuwamy do dziś. Borykamy się m.in. z rozliczeniami za tamten



FOT. TITUS ZWIERSKI/PAP

Budujemy nie tylko autostrady

czas na podstawie postępowań arbitrażowych. Nakłada się na to zwiększenie oferty publicznej dotyczącej inwestycji przez rządy Beaty Szydło i Mateusza Morawieckiego.

Dodać należy też, że jeśli w Polsce poprawia się rynek pracy, bezrobocie notuje rekordowo niskie poziomy, a płaca minimalna się zwiększa, to również ma to wpływ na ceny kontraktów na wykonanie inwestycji drogowych.

Tam, gdzie państwo może zgodnie z Ustawą o zamówieniach publicznych zwiększyć wartości kontraktowe, oczywiście w uzasadnionych przypadkach, przecież to robi. Dlatego rekomendowałbym analizę przypadków trudnych, nietypowych, które pozwalają wyciągnąć wnioski co do lepszej współpracy strony publicznej z wykonawcami inwestycji drogowych czy kolejowych.

Przez chwilę w mediach podsumowywano, że od 2016 r. nie zbudowano ani kilometra autostrady, pomijając przy tym liczbę kilometrów oddanych do ruchu dróg ekspresowych...

Ale to w tej kadencji został uruchomiony projekt budowy brakującego odcinka autostrady A1 – jedynej łączącej południe kraju z północą – od węzła Częstochowa do Piotrkowa. I niedawno właśnie oddano 33-kilometrowy odcinek tej trasy. Co więcej, to właśnie za naszych rządów zaplanowano realizację autostrady A2 od Warszawy do granicy wschodniej. W dodatku skorygowano plan inwestycji, zwiększając zakres budowy dróg ekspresowych, które stanowią bardziej rozległą sieć drogową od autostrad.

Przy okazji – właśnie w przypadku autostrady A1 mamy przypadek rozwiązania kontraktu przez stronę publiczną. Warto zauważyć, że zanim to nastąpiło, od wiosny ubiegłego roku GDDKiA prowadziła dialog z wykonawcą, by uniknąć radykalnego rozwiązania. I można się zastanawiać, czy strona publiczna, mając wątpliwości co do możliwości terminowego wykonania tego odcinka, nie powinna przeciąć tego węzła gordyjskiego wcześniej. Moim zdaniem gdyby tak się stało, mielibyśmy dziś finał prac na tej drodze. Więc to jest też świadectwo tego, że państwo nie postępuje radykalnie wobec wykonawców inwestycji, bez względu na strukturę kapitałową tych firm.

To skąd ta krytyka?

Nie wiem. I czasem się opozycji dziwię. Zwłaszcza że budowa dróg to nie tylko

drogi ekspresowe i autostrady, lecz także trasy lokalne. I to ten rząd bezprecedensowo zwiększył nakłady na ich modernizację. Takiej oferty w ciągu ostatnich 30 lat samorządy jeszcze nie miały.

Widzę za to potrzebę zintegrowania tego wielomiliardowego programu – a jest to ponad 67 mld zł w Funduszu Dróg Samorządowych – z jasnymi kryteriami poprawiającymi bezpieczeństwo ruchu na lokalnych drogach. W ten sposób jednocześnie zbudujemy infrastrukturę, ale zbudujemy też świadomość publiczną tej problematyki. To pomoże nam zmniejszyć skalę wypadków i obniżyć koszty z tym związane. Musimy świadomość bezpieczeństwa ruchu drogowego wznieść na wysoki poziom.

Program modernizacji kolei, na który nakłady podniesiono już do 70 mld zł, ma być jeszcze dofinansowany. Jak nam idzie z remontowaniem torów i budowaniem nowego taboru? Jakie są dziś najważniejsze zadania?

Przede wszystkim w sferze kolejowej najistotniejsze są te zadania, które służą pasażerom, czyli pozwalają osiągnąć niż-

bardzo istotną ofertę dla transportu pasażerskiego.

Czy myśląc o ofercie dla pasażerów, nie powinniśmy już zastanawiać się, jak otworzyć rynek przewozów pasażerskich? Żeby ludzie nie tylko mogli krócej jeździć, lecz także by było to dla nich atrakcyjne cenowo, tak jak np. w Czechach.

W tym przypadku kłania się temat integracji oferty sprzedażowej dla pasażera, którego obsługują różni przewoźnicy. Przecież poza InterCity mamy sporo przewoźników samorządowych, są też prywatni. Widzę tu ogromny potencjał w konstruowaniu oferty zarówno dla pojedynczych pasażerów, jak i np. dla rodzin. Zresztą takie działania w tej kadencji już były podejmowane. Przypomnę, że jeszcze kilka lat temu na rynku kolejowym mieliśmy sytuację, w której pasażer na dłuższej trasie musiał kupować bilet od każdego przewoźnika indywidualnie. To był kompletny absurd. Dlatego rząd podejmował działania propasażerskie. I nadal tu jest ogromny potencjał oraz pole do współpracy z samorządami wojewódzkimi.

A czy myślimy szerzej – o łączeniu różnego rodzaju gałęzi transportów na terenie Polski?

Dzięki tej potężnej modernizacji infrastruktury drogowej i kolejowej Polska staje się coraz bardziej atrakcyjna w Europie pod względem transportu, również intermodalnego czy morskiego. Ostatnia ustawa o portach morskich zawiera rozwiązania zabezpieczające finansowanie odcinków drogowych integrujących porty z całą siecią drogową. I to jest znakomity pomysł. Przysłuży się to rozwojowi transportu w Polsce.

Jedno nam jednak nie wychodzi w transporcie i mamy na to dowody w statystyce – nie potrafimy obniżyć liczby Polaków ginących w wypadkach drogowych. Co powinniśmy zrobić?

Bezpieczeństwo ruchu drogowego musi stać się jednym z priorytetów polityki krajowej, tak by rozumiał to każdy obywatel. Dużą szansę upatruję też w modernizacji infrastruktury lokalnej. Mamy wiele miejsc, które trzeba poprawić. Dlatego wnioski o finansowanie inwestycji, które składają samorządy, powinni pod kątem poprawy bezpieczeństwa analizować eksperci. Inaczej możemy wydać wiele miliardów i przegapić tę szansę, doprowadzając np. do tego, że wyremontowany po latach odcinek powiatowej drogi obfitował będzie w wypadki.



Katarzyna Pinkosz

Dzięki lekom biopodobnym, które wchodzą na rynek, można zaoszczędzić pieniądze i przeznaczyć je na innowacyjne terapie. To szansa dla chorych, dla których są one wręcz niezbędne

Na ochronę zdrowia przeznacza się w Polsce znacznie mniej pieniędzy niż w innych krajach, dlatego pacjenci często czekają kilka lat, zanim nowe terapie znajdą się w refundacji. Chorzy na raka tak długo czekać nie mogą, bo tracą szansę na życie. Dlatego niecierpliwie wypatrują kolejnych list refundacyjnych, mając nadzieję, że pojawi się na nich lek, na który czekają.

Dodatkową nadzieją są dziś także coraz częściej leki biopodobne, ich pojawienie się oznacza obniżki cen. To szansa na refundację oczekiwanej terapii. – Leki biopodobne są wytwarzane po wygaśnięciu ochrony patentowej leku oryginalnego. Mają takie same skuteczność i bezpieczeństwo. Jeśli zostały zarejestrowane przez Europejską Agencję Leków, to nie ma sensu dyskusja, czy są tak samo skuteczne, tak jak nie warto dyskutować, czy z Warszawy do Łodzi jest 150 km – mówi obrazowo dr Leszek Borkowski, farmakolog kliniczny, były prezes Urzędu ds. Rejestracji Leków.

Niedawno właśnie, po wygaśnięciu ochrony patentowej, weszły na rynek leki biopodobne dla oryginalnego trastuzumabu stosowanego w leczeniu jednego z podtypów raka piersi (HER2 dodatniego). – Bezpieczeństwo leczenia i skuteczność są takie same – potwierdza dr n. med. Aleksandra Łacko z Katedry Onkologii Uniwersytetu Medycznego im. Piastów Śląskich we Wrocławiu.

EFEKT ŚNIEŻNEJ KULI

Skoro leki staniały, to – zdaniem onkologów – następnym krokiem powinno być przeniesienie możliwości leczenia nimi z tzw. programów lekowych do katalogu chemioterapii. – Kryteria włączenia do programów lekowych są bardzo restrykcyjne, dlatego w praktyce innowacyjnymi terapiami jest leczonych niewiele chorych. Dzięki oszczędnościom i przeniesieniu do katalogu chemio-

terapii więcej kobiet mogłoby mieć nowoczesne terapie – dodaje dr Leszek Borkowski.

Zgodnie z efektem kuli śnieżnej mogłoby to spowodować kolejne oszczędności: np. czasu lekarzy, którzy nie musieliby wypełniać drobiazgowej dokumentacji niezbędnej w programach lekowych. Zmniejszenie biurokracji przełożyłoby się na oszczędności finansowe, a lekarze mieliby więcej czasu, by zająć się pacjentami.

SZANSA DLA INNYCH

Oszczędności mogłyby przyczynić się do tego, że w refundacji znajdą się inne nowoczesne leki, na które czekają pacjentki z nowotworem piersi. – Naszym zdaniem zaoszczędzone pieniądze nie powinny być wydawane na inne procedury, tylko pozostać w obszarze leczenia raka

piersi. Pojawienie się leków biopodobnych zbiegło się w czasie z pojawieniem się innowacyjnych leków w raku piersi. Dlatego uważamy, że etyczne, moralne i ważne społecznie byłoby zabezpieczenie tej grupy patientek – mówi Anna Kupecka, prezes fundacji Onkocafe – Razem Lepiej. Doskonale rozumie pacjentki z rakiem piersi, bo sama kilka lat temu na niego zachorowała.

Na nowe leki czekają chore z rozpoznaniem HER2 dodatniego raka piersi – zarówno wczesnego (zastosowanie innowacyjnych terapii zwiększa o ok. 15 proc. szanse na całkowite wyleczenie), jak i zaawansowanego – a także pacjentki z zaawansowanym podtypem raka HER2 ujemnym. To najczęściej występujący podtyp nowotworu piersi – występuje u ok. 70 proc. patientek. Rozwija się powoli, dlatego zwykle rokuje lepiej

Oszczędności



na życie

niż inne podtypy. Niestety, u ok. jednej trzeciej kobiet dochodzi do wznowy, często nawet po wielu latach: medycyna nie potrafi dziś określić, dlaczego tak się dzieje. Przerzuty pojawiają się w odległych narządach, głównie w kościach, płucach, wątrobie. Rozsianego raka piersi nie można dziś wyleczyć, jednak – dzięki dostępowi do nowoczesnych terapii – wiele kobiet żyje z nowotworem przez wiele lat. Podobnie jak żyje się z nadciśnieniem czy cukrzycą. Konieczne jest jednak przyjmowanie leków.

W tym podtypie nowotworu w ostatnich latach pojawiła się nowa grupa leków: inhibitory CDK 4/6 (palbocyclib, rybocyclib, abemaciclib). – Ich dołączenie do hormonoterapii, która jest podstawową metodą leczenia systemowego tej grupy chorych, podwaja czas do progresji (postępu) choroby. Wyniki kolejnych

badań klinicznych pokazują, że taka terapia skojarzona wydłuża także przeżycie chorych – przekonuje dr Łacko.

Dodatkową korzyścią stosowania inhibitorów CDK 4/6 jest ich dobra tolerancja. – Pozwalają chorym na normalne życie, co jest zasadniczym celem leczenia pacjentek z rozsianym rakiem piersi. Takie leczenie opóźnia konieczność włączenia chemioterapii, nieporównanie bardziej toksycznego leczenia – przekonuje dr Aleksandra Łacko.

Kobiety, które dziś dowiadują się, że mają wznowę HER2 ujemnego raka piersi, muszą same dla siebie szukać pomocy. Wznowa często pojawia się po kilku, a nawet kilkunastu latach od zakończenia leczenia, kiedy często myślą, że nowotwór już nie powróci. Wiadomość o wznowie choroby i o tym, że nie ma w refundacji optymalnego leczenia, spada na nie jak

grom. Niektóre próbują same zbierać pieniądze na cykluby, jednak nie jest to proste, a leczenie musi być prowadzone w sposób ciągły. – Kilkaset pacjentek w Polsce samodzielnie finansuje takie leczenie, do naszej fundacji też zwracają się o pomoc. Wiemy, jak jest dla nich trudne zebrać pieniądze; jednym to się udaje, innym nie. W przypadku zaawansowanego raka piersi czas goni, nie wolno czekać, by choroba nie zaczęła postępować – mówi Anna Kupiecka.

Trudną sytuację chorych potwierdza Krystyna Wechmann, prezes Federacji Stowarzyszeń „Amazonki” i Polskiej Koalicji Pacjentów Onkologicznych, która sama wiele lat temu zachorowała na raka piersi. – Najwięcej telefonów mamy w sprawie inhibitorów CDK 4/6 z prośbą o pomoc w zebraniu pieniędzy. Dlatego gdy słyszę, że pacjentka ma taki wynik, martwię się, jak będzie przebiegało jej leczenie – mówi Krystyna Wechmann.

DOGONIĆ EUROPE

Wyniki leczenia raka piersi w Polsce są obecnie dużo gorsze niż w innych krajach Europy – jesteśmy jedynym krajem UE, w którym w ostatnich latach wzrasta śmiertelność z powodu tego nowotworu. – Składa się na to wiele przyczyn, na przykład brak efektywnego skринingu, słaba organizacja opieki, rozdrobnienie ośrodków leczenia. Ta sytuacja bardzo powoli się zmienia. Mijamy nadzieję, że poprawę umożliwi akredytacja kolejnych ośrodków kompleksowego leczenia raka piersi (tzw. Breast Cancer Unit) – dodaje dr Aleksandra Łacko.

Leki są tylko częścią tej układanki. Dostęp do nowych technologii, zwłaszcza dla chorych na rozsianego raka piersi, jest w Polsce bardzo ograniczony. – Jeśli wprowadzenie leków biopodobnych wygeneruje oszczędności w budżecie, to na pewno warto je przeznaczyć na rozszerzenie dostępu do nowych leków. To oczywiste, że każda nowa technologia jest kosztowna, a w przypadku dużych grup chorych, które są kandydatkami do takiego leczenia, wpływ na budżet będzie niemały. Nie potrafię określić, czy samo zastąpienie jednego leku oryginalnego biopodobnymi pokryje koszt wprowadzenia nowej terapii dla chorych na raka piersi. Szukajmy jednak oszczędności tam, gdzie to możliwe i bezpieczne. Im więcej możliwości leczenia, tym lepiej dla chorych – przekonuje dr Aleksandra Łacko.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Zwykie choroby atakują osoby w starszym wieku, są jednak i takie, które szczególnie upodobały sobie osoby młode.

UMYSŁ ROZSZCZEPIONY

Schizofrenia zwykle daje o sobie znać między 18. a 30. rokiem życia (u 73 proc. chorych rozpoznanie jest stawiane przed 30. rokiem życia). Tak jak u Dariusza, który pierwsze objawy zaczął mieć na pierwszym roku studiów. Coraz bardziej ograniczał kontakty towarzyskie, coraz więcej czasu spędzał przy komputerze. W pokoju trzymał zapas soków w kartonach, konserw. Z czasem zaczął bać się wychodzić domu, mówił, że wszyscy go śledzą. Niemal przestał spać. Rodzina obawiała się, że zrobi sobie krzywdę.

siacach od pierwszych objawów chory trafia do psychiatry, gdzie pada diagnoza schizofrenii.

Medycyna nie potrafi jej wyleczyć, można ją jednak dziś dobrze kontrolować. Warunkiem jest odpowiednie dobranie leków przez psychiatrę i ich systematyczne przyjmowanie. Z tym jest największy problem, ponieważ chorzy często o tym zapominają lub uważają, że nie są one już potrzebne. Zdaniem ekspertów już po miesiącu od wizyty u lekarza ponad połowa chorych nie przyjmuje leków, tymczasem każde przerwanie terapii to narażenie się na kolejny atak choroby. Dlatego w krajach zachodnich coraz częściej stosuje się leki długo działające (w zastrzykach). Podaje się je – w zależności od preparatu – co

Ludzi młodych często atakują też choroby autoimmunologiczne, takie jak choroba Leśniowskiego-Crohna, wrzodziejące zapalenie jelita grubego, reumatoidalne zapalenie stawów (RZS), toczeń układowy, łuszczycowe zapalenie stawów, stwardnienie rozsiane (SM). W przebiegu tych chorób układ odpornościowy z niewiadomych przyczyn atakuje własny organizm.

CHOROBY Z AUTOAGRESJI

– Około 350 tys. osób w Polsce cierpi na RZS, najczęściej jest ono rozpoznawane u osób między 25. a 40. rokiem życia, choć zdarza się również wcześniej – mówi Monika Zienek, prezes Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Młodych z Zapalnymi Chorobami Tkanki Łącznej, „3majmy się razem”. Nieleczona choroba prowadzi do zniszczenia stawów i ciężkiej niesprawności, a także do uszkodzenia wielu narządów, m.in. serca i przedwczesnego zgonu. – Ponad połowa chorych na RZS to osoby w wieku produkcyjnym, jednak zaledwie 40 proc. z nich pracuje zawodowo. Jednym z powodów jest późne postawienie diagnozy, a często też problem z dostępem do leczenia biologicznego, które u części osób jest konieczne – dodaje Monika Zientek. Brakuje też refundacji leków biologicznych o innym mechanizmie działania, które są niezbędne szczególnie tym chorym, u których inne preparaty nie są skuteczne.

Poprawiły się za to w ostatnich latach możliwości leczenia SM – choroby, która nieleczona w wielu przypadkach również szybko prowadzi do niepełnosprawności. Wiele nowych terapii weszło w Polsce do refundacji. Okazało się, że taka inwestycja w leczenie zwróciła się, gdyż więcej osób z SM może pracować, nie przebywa na zwolnieniach lekarskich, nie musi przechodzić na renty. Efekty są tak spektakularne, że SM jest dziś wręcz podawane jako modelowy przykład świadczący o tym, że nowoczesnego leczenia nie można traktować jako kosztu – trzeba o nim myśleć jak o inwestycji. Daje to nadzieję na kolejne pozytywne decyzje refundacyjne (pojawiały się nowe terapie, które można zastosować również w postaci pierwotnej postępującej SM, gdzie do tej pory nie było skutecznego leczenia).

Młodzi ludzie, którzy zachorowali u progu dorosłego życia, nie chcą być na rentach. Chcą realizować się zawodowo, mieć rodziny, dzieci. Współczesna medycyna coraz częściej na to pozwala.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Katarzyna Pinkosz

Na starcie dorosłego życia dowiadują się, że dopada ich choroba, która już zawsze będzie im towarzyszyć. Chcą jednak normalnie żyć, spełniać się zawodowo i rodzinie

W schizofrenii na pierwszy plan wysuwają się urojenia i halucynacje, jednak już wcześniej pojawiają się objawy dotyczące osobowości: brak potrzeby kontaktów społecznych, izolowanie się. Często takie zachowanie jest interpretowane jako młodzieńczy bunt albo depresja. Zwykle dopiero gdy pojawiają się urojenia, halucynacje, po wielu mie-

kilka tygodni, co trzy miesiące, a nawet co pół roku. To wygoda dla pacjenta. Nie wszystkie jednak długo działające preparaty są w Polsce refundowane.

Dobre leczenie otwiera drzwi dla psychoterapii, która jest konieczna, by chory wrócił do normalnego życia zawodowego i społecznego. Tej w Polsce nadal dramatycznie brakuje.



Raport:
Tak się leczy
w Polsce 2019

Jelita w stanie zapalnym

Ciągłe bóle brzucha i biegunka wyniszczają organizm, mogą tworzyć się ropnie i przetoki. Alternatywą dla konieczności wykonania operacji chirurgicznej mogą być leki biologiczne o nowym mechanizmie działania

Bóle brzucha, biegunka zmuszająca do spędzania dziennie kilku godzin w toalecie. Takie objawy zaczęły się pojawiać, gdy miał 15 lat. – Rany w jamie ustnej, na języku, w przełyku; każdy kęs jedzenia to była katorga. Ze 100 kg schudłem do 60 kg, a mój rekord to 47 kg. Byłem wyniszczony – opowiada Piotr Baranowski, dziś 33-latek. Od stomatologa dostawał leki na afty, psycholog stwierdził nerwicę i fobię szkolną, zalecił leki uspokajające i zmianę szkoły. Pomogło na krótko. Po trzech latach stukania do kolejnych drzwi gabinetów wyprosił od lekarza skierowanie na kolonoskopię. Lekarz, oglądając stan jelit, od razu postawił diagnozę: choroba Leśniowskiego-Crohna.

Choruje na nią ok. 30 tys. osób w Polsce, w tym 2–3 tys. ciężko. – To zwykłe osoby młode, początek choroby często następuje między 20. a 40. rokiem życia. U najcięższej chorych uciążliwa biegunka, bóle brzucha powodują wyniszczenie organizmu, niedokrwistość i poważne powikłania: tworzenie się w przewodzie pokarmowym przetok, ropni, zrostów, niedrożność jelit. Czasem konieczne jest wycięcie części jelita, jednak nie leczy to choroby, bo zwężenia, zrosty, przetoki

tworzą się w innym miejscu. Bywa, że konieczne jest żywienie pozajelitowe; przebieg choroby jest nieprzewidywalny – mówi prof. Jarosław Reguła, krajowy konsultant w dziedzinie gastroenterologii i kierownik Kliniki Gastroenterologii i Hepatologii Centrum Medycznego Kształcenia Podyplomowego i Centrum Onkologii.

Piotr dostał leki przeciwzapalne i na krótki czas sterydy. Po pewnym czasie objawy wróciły. – Ból taki, jakby przez otwartą ranę przepychać treść jelitową, która pęcznieje – opowiada. Konieczne było wyłonienie stomii.

OSZCZĘDNOŚCI NA DOBRE LECZENIE

Na początku zwykle stosuje się leki przeciwzapalne, immunosupresyjne, a w zaostrzeniach okresowo sterydy. Jeśli takie leczenie jest nieskuteczne, to wyjściem są terapie biologiczne. W Polsce na razie chorzy mają tylko możliwość stosowania preparatów biologicznych blokujących cytokinę zapalną TNF-alfa (tzw. leki anti-TNF-alfa). Niestety, część pacjentów nie odpowiada na to leczenie, a u części po pewnym czasie przestaje ono działać. Szczególnie dla tych chorych powinno być możliwe zastosowanie le-

ków biologicznych o innym mechanizmie działania. Są takie dwa: wedolizumab (o działaniu selektywnym, dostępny już w Polsce dla chorych z wrzodziejącym zapaleniem jelita grubego) i ustekinumab (o działaniu ogólnoustrojowym).

Nowe terapie biologiczne są drogie, jednak eksperci przypominają, że Ministerstwo Zdrowia sporo ostatnio zaoszczędziło na leczeniu tej grupy chorych dzięki temu, że oryginalne leki biologiczne anti-TNF-alfa straciły ochronę patentową i pojawiły się znacznie tańsze leki biopodobne. – Ministerstwo obiecywało, że jeśli pojawią się oszczędności dzięki spadkowi cen, to będą przeznaczone dla pacjentów z chorobą Leśniowskiego-Crohna na bardziej nowoczesne leki. Chcielibyśmy, żeby faktycznie te zaoszczędzone pieniądze zostały wydane na nowe preparaty dla tych chorych, którzy nie uzyskują remisji po leczeniu biologicznym pierwszego rzutu. Chcielibyśmy też, żeby terapia biologiczna nie była przerywana, jeśli jest skuteczna – mówi prof. Reguła.

LEKI TAŃSZE NIŻ RENTA

Piotr Baranowski jest „życiowym optymistą”. Mimo choroby świetnie poradził sobie zawodowo. Jest programistą komputerowym, w trakcie kariery zawodowej zarządzał ludźmi, był dyrektorem pionu IT w firmie energetycznej, a dziś prowadzi własną firmę zajmującą się szkoleniami, pracuje nad sztuczną inteligencją, tworząc analizy danych. – Nie mam problemu z pracą, wystarczy mi do niej laptop, a mogę go przecież też używać w łazience – śmieje się.

Od pięciu lat działa w stowarzyszeniu Łódzcy Zapaleńcy, gdzie widzi, że nie wszyscy radzą sobie tak dobrze. Wiele osób po diagnozie musi zrezygnować z planów życiowych, nie dają sobie rady na studiach czy w pracy. Stowarzyszenie pomaga w kontaktach z lekarzami, wspiera psychicznie. Stara się też, by w Polsce były dostępne wszystkie leki, także obie terapie biologiczne, gdyż każda ma inny mechanizm działania. – Dobre leczenie nie tylko chroni pacjenta przed bólem i powikłaniami, lecz także jest opłacalne dla budżetu. Wydatki ZUS na zwolnienia lekarskie czy renty dla osób z chorobami zapalnymi jelit są olbrzymie. Jeśli będziemy lepiej leczyć pacjentów, nawet stosując droższe preparaty, to i tak zaoszczędzimy na budżecie ZUS – dodaje prof. Reguła.

© Wszelkie prawa zastrzeżone
Katarzyna Pinkosz

TEST „DO RZECZY”: OPPO RENO 10X ZOOM

Swietny aparat fotograficzny z peryskopowym teleobiektywem, atrakcyjny design, rewelacyjny wyświetlacz i bardzo szybki procesor – to największe zalety flagowca chińskiego producenta.

W Polsce marka Oppo wciąż nie jest powszechnie znana, ale na rynkach azjatyckich to jeden z liderów sprzedaży.

W Reno 10x Zoom tylny panel został wykonany z odpornego na zarysowania, matowego szkła z niewielkim paskiem z błyszczącego szkła pośrodku. Aby chronić tę ładną konstrukcję, producent w zestawie dołącza etui. Na pochwałę zasługuje też bardzo wąska ramka wokół ekranu o rozdzielczości Full HD+ (1080 x 2340 pikseli), którego przekątna wynosi aż 6,6 cala. Pod powierzchnią ekranu zatopiony został świetnie działający czytnik linii papilarnych.

Sercem smartfona są bardzo szybki procesor Qualcomm Snapdragon 855, 8 GB pamięci RAM oraz 256 GB wbudowanej pamięci na dane (którą można rozszerzyć o dodatkową kartę pamięci).

Po stronie plusów trzeba też zapisać szybki modem LTE kat. 18, dwuzakresową kartę Wi-Fi oraz niezbędny do płacenia smartfonem moduł NFC.

Ten model to łakomy kęsek zwłaszcza dla miłośników smartfonowej fotografii. Główna matryca Oppo Reno 10x Zoom to bardzo dobra,

48-megapikselowa Sony IMX586. Moduł podstawowy ma jasną optykę (f/1.7). W testowanym modelu zamontowano również moduł szerokokątny (8 MP, f/2.2) oraz teleobiektyw (13 MP, f/3.0). Zoom możemy płynnie regulować ręcznie lub skokowo według ustawień producenta.

Efekt? Rewelacyjna jakość większości zdjęć wykonanych za pomocą modułu standardowego. Fotografie są ostre, dobrze doświetlone, ze świetnie odwzorowanymi detalami. Reno 10x Zoom doskonale radzi sobie też przy słabym oświetleniu. Niezłe są nawet zdjęcia nocne wykonane modułem standardowym. W dzień bardzo dobrze wyglądają kadry zrobione przy ustawieniach 6x oraz 10x. Przyczepić można się jedynie do jakości obrazu na fotografiach wykonanych z wykorzystaniem maksymalnego zoomu cyfrowego (60x) – może to dobre narzędzie dla szpiegów, którzy chcieliby zobaczyć cokolwiek bliżej, ale wysoki poziom szumów i fatalna jakość odwzorowania

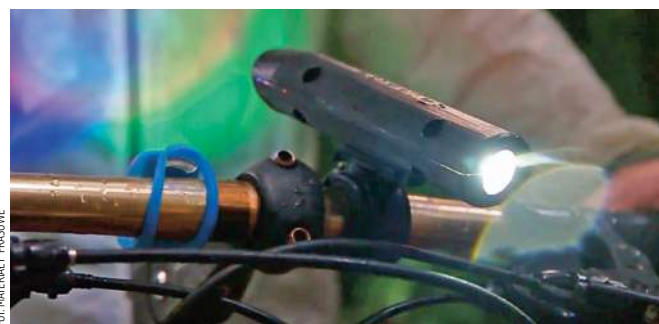
nia szczegółów sprawiają, że akurat ta funkcja przy fotografowaniu się nie przyda.

Przedni aparat (16 MP, f/2.0) chiński inżynierowie zamontowali na automatycznie wysuwanym elektrycznie module, przypominającym pletwę rekina.

Bateria o pojemności 4000 mAh z powodzeniem wystarcza, aby smartfon na jednym ładowaniu działał przez cały dzień, ale wieczorem znów trzeba go podłączyć do gniazdka.

Minusy? Smartfon nie jest wodoszczelny. Mimo ogromnych rozmiarów nie ma też funkcji bezprzewodowego ładowania oraz klasycznego wyjścia słuchawkowego minijack 3,5 mm (w komplecie znajdują się jednak słuchawki z wyjściem na USB-C). Wadą jest też wysoka cena, która wynosi aż 3499 zł. Oppo Reno 10x Zoom to jednak bardzo dobry smartfon i godny rywal dla Huawei P30 Pro. ©©

Jacek Przybylski



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

BĄDŹ WIDOCZNY

Jesień idzie, wieczory stają się coraz bardziej ponure. Na rynku pojawia się nowe „oświetlenie” mające zapewnić rowerzystom bezpieczniejszą jazdę. Gadżet nazywa się ShineOn Dual Beam, a jego zaletą jest to, że oświetla nie tylko drogę przed rowerzystą, lecz także jego samego. Bądź widoczny na drodze – jak pouczają eksperci.

Wszystko to dzięki montowanej na kierownicy latarence oświetlającej drogę i oświetlającej kierowcę. Urządzenie ładowane jest przez USB, świeci światłem frontowym w natężeniu 500 lumenów, a bateria wytrzyma ok. pięciu godzin.

Cena spora, bo ok. 360 zł, a dostawa dopiero w marcu przyszłego roku. Zamawiać można na Kickstarterze.

CAŁKIEM NIEZŁA KAMERA

Vezo 360 – pierwsza inteligentna kamera błyskowa 4K rejestrująca wszystko wokół w zakresie 360 stopni. Wbudowany układ SI wykrywa, czy kierowca zasypia za kierownicą, i specjalnym alarmem ostrzega przed zaśnięciem – np. gdy uzna, że prowadzący pojazd niebezpiecznie zjeżdża ze swojego pasa. W dodatku dzięki zastosowaniu algorytmów sztucznej inteligencji Vezo 360 skanuje też twarz kierowcy w poszukiwaniu śladów senności. Kiedy uzna, że prowadzący pojazd zasypia, ponownie uruchamia alarm.

Cena urządzenia to ok. 700 zł, dostawa w listopadzie, a zamawiać można na Indiegogo. ©©

Wojciech Wybranowski





SUPERSAMOCHÓD ZE SŁOWENII

TS 900 Apex. Tak nazywa się najnowsze dziecko słoweńskiej marki Tushek. Pod maską wyjątkowo mocnej hybrydy znalazł się silnik V8 o pojemności 4,2 l. Jednostka spalinowa wspierana jest przez dwa silniki elektryczne. Dzięki temu łączna moc TS 900 Apex wynosi 937 KM. Maksymalny moment obrotowy to zaś 1,4 tys. niutonometrów.

Auto ważące zaledwie 1410 kg od zera do pierwszej setki rozpędza się w niecałe 3 s. Prędkość maksymalna słoweńskiego supersamochodu wynosi zaś 379 km/godz.

Hiperauto ze Słowenii swymi osiągnięciami może chcieć rywalizować z takimi cudami motoryzacji jak Bugatti Chiron, którego prędkość maksymalna wynosi aż 420 km/godz.

Sportowa hybryda może też zadowolić niektórych ekologów – za pomocą samego tylko napędu elektrycznego jest bowiem w stanie przejechać maksymalnie... 49,1 km.

Publiczną premierę supertuszk zaplanowano na początek września, podczas londyńskiego Salonu Privé.



ZMIENIAJĄ DIESLE W „ELEKTRYKI”

Francuski start-up Transition-One opracował technologię przemiany starych modeli Fiata, Volkswagena, Renault czy Toyoty z jednostką wysokoprężną pod maską na nowoczesne zeroemisyjne auta. Metamorfoza polega m.in. na zamontowaniu silnika elektrycznego, akumulatorów oraz instalacji wtyczki do ładowania baterii w miejscu dawnego wlewu paliwa. Modernizacja trwa tydzień i kosztuje 8,5 tys. euro, czyli równowartość 37 tys. zł. Niby drogo,

ale i tak nieporównywalnie taniej od zakupu nowego samochodu elektrycznego.

AUTA DLA WEGAN

Portal AutomotiveNewsEurope informuje o nowej modzie, która zapanowała w branży motoryzacyjnej. Na szczęście nie chodzi o auta, które można zjeść, lecz o samochody, których materiały nie mają nic wspólnego ze zwierzętami. Chodzi np. o zastąpienie naturalnej skóry na fotelach i na kierownicy produktami syntetycznymi. Wolne od produktów pochodzenia zwierzęcego są np.

Model 3 i Model Y Tesli, a także Polestar 2 ze stajni Volvo.

SILNIK ZA MILIONY?

800 tys. dol., czyli ok. 3,08 mln zł. W takiej cenie ktoś w Stanach Zjednoczonych wystawił w serwisie aukcyjnym eBay niemal nowiutki silnik Ferrari LaFerrari V12 o pojemności 6,3 l. Według sprzedawcy silnik ma zaledwie 32 km przebiegu. Wątpliwe, żeby ktoś był gotów zapłacić aż taką cenę, choć z drugiej strony: kto bogatemu zabroni? ©©

Jacek Przybylski

Siekierki Wessexu



Tomasz Kaźmierowski

Od kilkunastu lat udaje mi się śledzić angielskie winiarstwo, choć Anglia ma przecież wiele – na pierwszy rzut oka – ciekawszych zjawisk do zaoferowania. Rzecz jednak w tym, że skarby te niemal nakładają się na siebie, a w najgorszym razie, jak mawiał Wellington, są tuż „po drugiej stronie wzgórza”, jak tutejsze winnice



Najwięcej wina wytwarza się oczywiście w południowym pasie Anglii, od Kentu do Kornwalii, a najlepsze w Surrey, Sussex, Kent, Hampshire i Wiltshire. Dwa ostatnie hrabstwa to już nie Sussex, a – od razu się przyznam – mój ulubiony Wessex.

Właśnie stary Wessex, jedyne nie-podbite przez wikingów państwo średniowiecznej Anglii, jest miejscem, gdzie rzadko rozsypane winnice nakładają się na neolityczne pomniki Avebury, Maiden Castle, Old Sarum czy – wcale nie bardziej od wymienionych uderzającego – Stonehenge. A tuż obok rzymskie termy w Bath, katedry w Salisbury i Winchester (spoczywają tu w pokoju Jane Austen i Kanut Wielki, w przyzwoitej odległości od siebie), kanały Avon i Kennet, szlak Ridgeway, niezliczone parki, bezpretensjonalne galerie Fisherton Mill i New Art. Gdy jestem w tych stro-
nach, najbardziej przyciągają mnie jednak świetnie opowiadające neolityczne kultury Keiller Museum w Avebury i do kości angielskie muzeum miejskie w Portsmouth.

Właśnie dzięki kustoszowi muzeum w Avebury nadrobiłem braki z lekcji fizyki. Interesowały mnie neolityczne siekiery z ich domniemanym, wotywnym znaczeniem, ale szybko cofnęliśmy się do pioruna, według miejscowych: ojca siekiery.

Przypomnę – mam to jeszcze świeżo w pamięci – że choć tylko niewielka część pierwotnej energii elektrycznej zostaje rozładowana w miejscu uderzenia pioruna w ziemię, to i tak wystarczą dla wywołania grozy nieporównywalnej i dziś, i w neolicie, z dużym drapieżnikiem czy, dajmy na to, z powodzią. A to przecież tylko efekt kropli wody i drobinek lodu,

które przy silnym wietrze trą mocno o siebie.

Kult pioruna trwa zapewne dłużej niż od epoki kamienia gładzonego. Przejęli go później Celtowie i ich druidzi, których w Anglii traktuje się dużo poważniej niż na kontynencie. Do tego stopnia, że druidyzm oficjalnie uznano niedawno za religię. Komisja Charytatywna Anglii i Walii przyznała ten status Sieci Druidów, ponieważ: „Druidyzm to spójny i poważny system wierzeń, który oferuje korzystną strukturę etyczną”.

ANGIELSKIE SPECJAŁY

Wierni Sieci Druidów nie żartują. Niektórzy z nich, tak jak kilka tysięcy lat temu, noszą jako ochronne amulety małe kamienne siekiery zawieszane na szyi. Od czasów neolitu składano w grobowcach zarówno miniaturowe, jak i okazałe kamienne siekiery, ewidentnie uznając ich funkcje ochronne, a także wotywno. Otumanionych, jak uważali Rzymianie, przez druidów zbrojnych w siekiery i łuki Brytów legioniści obawiali się nie na żarty. Nietrudno zrozumieć więc ich wrogość wobec druidów i ich praktyk. Być może z braku prawdziwych druidów w czasach bliżej nam współczesnych niewyjaśnione są szczegóły wierzeń Brytów związanych z piorunem i kamienną siekierą. Jasne za to jest, że w wielu kulturach europejskich siekiera była kojarzona z piorunem (choćby niemieckie „Donnerkeil”) – czy to w związku z gwałtownością ruchu, czy też z rozłupującym efektem działania, czy może ze względu na fenomen ognia niezaprzeczalnie związany z kamieniem, a może krzemieniem.

Chodziłem niedawno, kontemplując neolityczne kręgi w Avebury. Po słonecznych dniach w Stonehenge i Maiden Castle pogoda się powoli pogarszała, ale to w Anglii nic nadzwyczajnego. Kiedy ok. godz. 14 chmury zmieniły dekorację w nokturn, bynajmniej nie tak łagodny jak u Johna Fieldsa, zostałem sam pod sześciometrowym głazem, chroniąc się przed gwałtowną ulewą. Jak się okazało – nie sam jednak, ponieważ w wąskiej wnęce przytułiło się do mnie pewne drżące, wystraszone, nie wiem, bleu de maine, a może młode wiltshire horn. Tak czy inaczej, gdy tuż obok wałęsała ta ogłuszająca, neolityczna siekiera z kropli i lodu, owca zwała, zmoczywszy uprzednio mój plecak, a mnie zmroziło na dłuższą chwilę (a może i odwrotnie).

Teraz już czułem się w pełni wytłumaczony z tego, że za chwilę miałem wchłonąć duszkiem dwie pinty świetnego Arkell's Bitter (dobre bitter to – nieodmienne od epoki premier Thatcher śmiem uważać – największy brytyjski wkład w kulturę kulinarną), o baranich kiełbaskach nie wspominając. Wieczorem czekało na mnie tutejsze, wytwarzane w Wiltshire, musujące rosé. Trzeba lubić rosé i specyficzne północne cuvée, aby docenić ten angielski specjał. A'Beckett's Vineyard Cuvée Victoria Rosé, 2009, powstałe z seveal blanc i pinot noir, jest produkowane tradycyjną metodą szampańską.

Pełna paleta, od truskawki do brioszki i wanilii, zupełnie porządna kwasowość, choć daleko mu do siekier w rodzaju szampańskich brut nature non dosé (najwytrawniejszych szampanów wytwarzanych bez „dozażu”, tj. wtórnego dolewu wina i cukru).

Kilkanaście funtów to – jak na kosztowną, rzemieślniczą produkcję w drogiej Anglii – przyzwoicie. Warto wpaść do rodziny Langham prowadzącej tę winnicę od kilkunastu lat. Większość ich win zasługuje na spróbowanie, a i cydr jest doskonały. Anglicy zdecydowanie wolą myśleć, że pito go tu jeszcze w późnym neolicie, choć przynieśli go raczej z Normandii starofrancuskojęzyczni rycerze Wilhelma Zdobywcy i jego następców.

WINO I... PODATKI

Sugrue Pierre, South Downs...

A gdzie to? South Downs, kredowe wzgórza na wschodniej rubieży historycznego Wessexu, są od kilkunastu co najmniej lat traktowane przez tutejszych winiarzy jak Szampania i Burgundia przez Francuzów. Rzecz jasna, *vitis vinifera* uprawiano tu już w epoce rzymskiej, a wspomniani towarzysze Wilhelma Zdobywcy cieszyli się, że tutejszego wina wystarcza na znacznie więcej niż potrzeby liturgiczne.

Połowa historii Anglii, jak chcą niektórzy, to podatki. Tak w każdym razie było w przypadku tutejszego winiarstwa. Kiedy angielscy winiarze wydobywali się w drugiej połowie XIX w. z epidemii filoksery, liberalny lord Palmerston obniżył cło na importowane wino z całego szylinga na ledwie dwa pence. Do końca XX w. biedacy trzęsli głowami. A łatwo i tak im nie było: nie ma pewności, czy bez żeglujących angielskich kupców i ich klientów rozbłyśłyby gwiazdy choćby *bordeaux* czy *madery*. Już w erze wiktoriańskiej Anglicy importowali najwięcej win nie tylko z Francji, lecz także z Włoch, Hiszpanii, Portugalii, że o przepastnym Nowym Świecie (wówczas w połowie należącym do Imperium) nie wspomnę.

Klimat, choć znów jest cieplejszy, nie pozwolił na powstanie zwartych angielskich regionów winiarskich. W południowej Anglii trzeba się winnic trochę naszukać. Po drodze zobaczyć pozostałości rzymskich willi, z terakotą pod mchem, niepozorne wzniesienia, z których nagle uderzają studnie widokowe dolin rzek, od Avon do Exe i Severn, kończące się gdzieś pod Gloucester, a po większym łyku Cotswolds Vodka (jest takowa!) wspartym odrobiną fantazji – pod irlandzką latarnią Galley Head! Dalej, przez wyłaniające się w najmniej spodziewanych miejscach średniowieczne opactwa i kościoły z zaskakującym bogactwem zbiorów, wszystko jest tu, że pożyczę znów od Wellingtona,

po drugiej stronie wzgórza. Wreszcie: przez antykwariaty. Nie takie przebrane i pełne coraz tańszej przypadkowości jak paryskie, nie tak poważne, schłodne i mieszczańskie jak w Bremie. Te *„bokworms' hollows* są jak kieszeń z resztkami chałwy – pachnące, pełne smakowitych drobiazgów, zawsze zbyt małe.

Najczęściej nagromadzenie angielskiej literatury wprost ścina z nóg. Ot, w maleńkim antykwariacie w Chipping Campden od połowy XIX w. każda dekada jest równomiernie reprezentowana bardzo lub mniej sfatygowanymi wydawnictwami. Okres żadnej z wojen czy innych kryzysów nie powoduje dziury, co najwyżej jest mniej zasobny w pozycje z dziedziny „Horse & Hound”, powieści angielskiej czy literatury podróżniczej.

Znalezienie wczesnych, nieraz pierwszych wydań nie tylko Chestertona, Galsworthy'ego czy Kiplinga, ale nawet Dickensa bądź Thackeraya jest zupełnie realne, a powolne grzebanie wśród trzeszczących półek jest prawdziwą ucztą.

I tak, na przystawkę, sir Walter Scott „The Fortunes of Nigel”, 1822, na główne danie Charles Dickens z „The Posthumous Papers of the Pickwick Club”, 1837, a zamiast filiżanki espresso (i tak rzadko dobrego w tym kraju) „Outcast of the Islands”, Joseph Conrad, 1898, a nawet „Sonnets from the Crimea”, Adam Mickiewicz, 1917, i to za całe 20 funtów.

Nawet po takiej uczcie jedno z najlepszych win angielskich, ledwie ze średniej na brytyjską kieszeń półki, będzie zaskakująco szlachetnym, zrównoważonym, dojrziałym finałem.

BRYTYJSKI SZAMPAN

Sugrue Pierre, South Downs, Cuvée Brut, Wiston Estate, 2009 (to już West Sussex), bo o nim tu mowa, już kompozycją szczepów stawia się do porównania z szampanami. 55 proc. *chardonnay*, 40 proc. *pinot noir* i 5 proc. *pinot meunier*, po angielsku biskwitowe, ale ze świetnym cytrusem, to wino musujące jest niemalże warte swej szalonej – jak na nie-Szampanie – ceny – 45 funtów.

Zabrzmie to jak herezja, jednak w tzw. ślepej degustacji przeprowadzonej parę lat temu w Londynie czołówka angielskich win musujących wytwarzanych metodą tradycyjną (czyli szampańską) otrzymała lepsze notowania niż kilka nierocznikowych etykiet z Szampanii. Właśnie Wiston Estate i Hattingley Valley z Hampshire najczęściej stawiane są jako poważna

alternatywa dla masowo produkowanych szampańskich tuzów, jak podstawowe butelki Nicolas Feuillatte, Mumm, Moët & Chandon czy Lanson.

To świetne *cuvée* stworzył Dermot Sugrue, dziś już znany winemaker w Wiston Estate i Jenkyn Place, który wrócił do Hampshire po latach terminowania w bordoskim Pomerol, St. Julien i w Szampanii. Fakt, że czołowe dziś wina angielskie niemal bez wyjątku powstają bez udziału mniej szlachetnych szczepów hybrydowych, pozwala zakładać, iż przy potężnym rynku konsumenckim i miejscowym kapitale *babelki* z Wessexu mogą w dłuższej perspektywie na dobre zagrozić pozycji szampanów. Być może potwierdzeniem tej tezy jest odebrana we Francji z niedowierzaniem i ledwie ukrywanym niesmakiem decyzja wielkiego producenta z Szampanii, domu Taittinger, o zakupie ziemi w hrabstwie Kent. Francuzi posadzili już tam *chardonnay*, *pinot noir* i *pinot meunier*, z oczywistym zamiarem produkcji angielskich win musujących metodą tradycyjną. I tak Anglicy z czołowych klientów i kupców winnych mogą przeobrazić się w poważnych producentów. I to w dobie, gdy niemal niczego – no, nie licząc *zbrojeniówki* BAE – na Wyspach już nie produkują. Proszę sobie tylko wyobrazić: szampan produkowany poza terytorium UE?! C'est pas vrai...

„PIJĘ, WIĘC JESTEM”

Roger Scruton, wybitny angielski pisarz, krytyk i filozof, napisał coś więcej niż prace do dziś wzbudzające publiczną debatę. Jest on bowiem autorem nie tylko „Przewodnika po filozofii dla inteligentnych”, „Pożytków z pesymizmu i niebezpieczeństw fałszywej nadziei” (lekarstwo na zaczadzonych Sartre'em nie gorsze od szampana) czy wreszcie „Co znaczy konserwatyzm?”. Scruton popełnił bowiem nietuzinkowy przewodnik po winach, o zgrabnym tytule „Piję, więc jestem”.

*Aristotle, Aristotle was a bugger for the bottle.
Hobbes was fond of his dram,
And René Descartes was a drunken fart.
„I drink, therefore I am”.*

Tak, to poważne wydawnictwo traci chwilami nawet Monty Pythonem, choć rozdaje też prztyczki – a to Heideggerowi, a to Fichtemu, a to Nietzschemu.

Jeśli *babelki* z Wessexu nie są jeszcze tak kwasowymi siekierkami, jakich bym sobie życzył, to takową jest bez wątpienia ta książeczka.



JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Pierwszy harcerz Batorego

Marek Sobieski, herbu Janina, dziad Jana III Sobieskiego, znany był jako pierwszy harcownik i husarz króla Stefana Batorego. Już w lipcu 1576 r., w wieku ok. 26 lat, za wstawiennictwem Jana Zamoyskiego został dworzaninem nowo wybranego władcy. Służył w chorągwi nadwornej na sześć koni, to znaczy z pięcioma pocztowymi, co stanowiło w owych czasach znaczny poczet. Prawie od razu wyruszył na wojnę z Gdańskiem i zasłużył się w czasie bitwy nad Jeziorem Lubieszowskim, gdzie razem z królewską jazdą szarżował na lewym skrzydle na landsknechtów gdańskich i rajtarów, przełamując ich i zmuszając do ucieczki dopiero po wykonaniu drugiej szarży.

Młody Sobieski prezentował wówczas typowy przykład XVI-wiecznego Polaka. Oddany królowi, a przy tym patriota, był jednocześnie zawołanym awanturnikiem, aż nazbyt często skłonny do wywoływania burd i pojedynków. Jak pisze o nim w „Herbach rycerstwa polskiego” Bartosz Paprocki: „Żadnego harcu ani potrzeby żadnej ten zacny mąż nie omieszczał, w każdej wiele, a mężnie sobie poczynął”. W czasie oblężenia Gdańska zapędził się za przeciwnikami do głębokiego rowu, gdzie jeden Niemiec ciął go w nogę, a drugi zdzielił rusznicą po łbie. Kiedy zaś został uratowany przez innych Polaków, nie mogąc wyskoczyć koniem z okopu, próbował przejechać nad samą Wisłą, gdzie niespodziewanie urwał się pod nim kawał brzegu. Wierzchovec nie umiał pływać, jednak Sobieski „sam tak we zbroi jako był w potrzebie Wisłę przepłynął”. Bohater wziął później udział w wojnie z Moskwą i w 1580 r. odznaczył się w bitwie pod Toropcem, gdzie zabił dwóch znacznych Moskali. Na harcach postrzelono go trzy razy strzałami – jedną „przystrzelono” do siodła za



FOT. WIKIPEDIA

żupan, drugą w prawą rękę – na szczęście ostrze uwięzło w kopie-niaku, trzecia dostała się w pierś koniowi, który jednak dowieźł jeźdźcę do swoich. Rok później walczył pod Pskowem, gdzie z kolei wymacano go z rusznicy w tył „wszakóż tylko w delią postrzelon”, a jego wierzchowca zraniono w kłęb. Sobieski otrzymał także groźną ranę w rękę, kiedy król wysłał go na rokowania do Moskwy, na szczęście udało się ją wyleczyć, mimo że wdała się gangrena. Zapewne w sierpniu tego roku został mianowany chorążym nadwornym, otrzymał także od króla w dożywocie jakąś wioskę na Wołyniu. Po zakończeniu wojny otrzymał dodatkowo 200 złotych polskich. Mając w pamięci wszystkie przewagi i walki, które stoczył Sobieski, Batory miał kiedyś powiedzieć, że „gdyby los całego królestwa od jednego zależał harcu, nikomu bym bardziej nie ufał niż właśnie Sobieskiemu”.

Po śmierci Batorego pozostał oddanym zwolennikiem Jana Zamoyskiego i oddał swój głos na „Piasta”, czyli Zygmunta Wazę. Na czele chorągwi husarskiej wziął udział w odparciu najazdu arcyksięcia Maksymiliana – najpierw pod Krakowem, kiedy

szarża Sobieskiego odpędziła od murów piechotę niemiecką zwolenników arcyksięcia; potem pod Byczyną w 1588 r., gdzie pretendent do tronu został wzięty do niewoli. Z woli kanclerza został zaraz strażnikiem uwięzionego Maksymiliana i kilku jego stronników – w tym wojewody poznańskiego Stanisława Górki.

Sobieski wielokrotnie posłował na sejmy, a ponieważ był kalwinem, występował w obronie praw różnowierców. W roku 1596 wszedł do senatu jako kasztelan lubelski, rok później został wojewodą. Dwa lata później przeszedł na katolicyzm – być może po to, by kontynuować karierę. Brał ciągle udział w wyprawach wojennych. W 1600 r. wraz z Zamoyskim wkroczył do Mołdawii na czele własnej rotacji jazdy i bił się w bitwie pod Bukowem, gdzie pogromiono, a raczej rozpędzono wojska hospodara Michała Walecznego. Rok później dowodził siłami kwarcianych na Ukrainie, broniąc pokoju na granicy z Moskwą. W 1602 r. pociągnął znowu do Mołdawii na czele 900 jazdy i 100 piechurów, aby wspierać przychylnego Rzeczypospolitej hospodara Jeremiego Mohyłę, jednak nie doszło wówczas do żadnego starcia. Wspierał później próby reform Zamoyskiego, opowiadając się za reformą wiecznie pustego skarbu wojskowego.

Marek Sobieski położył podwaliny pod późniejszą potęgę rodu Sobieskich. Zaczynając żywot jako zwykły dworzanin królewski, zakończył go jako wojewoda, pan wielu wsi w województwie lubelskim i Złoczowa w ziemi lwowskiej. Kiedy umierał 10 listopada 1605 r. w Pilaszkowicach, pozostawił dwóch synów oraz pięć córek. Jan III Sobieski, przyszły król Rzeczypospolitej, był synem potomka Marka – Jakuba Sobieskiego. ©

TRZY DANIA JAROSŁAWA SELLINA

Preferuję obiady trzydaniowe, ale natychmiast dodam, że w ogóle nie jadam kolacji. Pierwsze danie to oczywiście zupa. Tutaj preferencję mam raczej kategorię – tylko chłodnik, najchętniej według przepisu ze wschodu, z Litwy. Wbrew stereotypowemu podejściu, że chłodnik jest daniem letnim, ja jadam go okrągły rok. Pochodzę z Pomorza, więc na drugie danie uwielbiam ryby – smażonego szprota, łososia ze szpinakiem, smażone flądry, turboty. Z mięs preferuję wołowinę. Nie przepadam za ziemniakami, które mi się przejadły w młodości, bo na Pomorzu ziemniaki to wręcz obsesja (jak zresztą w całym zaborze pruskim; przypomnę złośliwie, że o Wielkopolsce mówiło się, że jest to kraina podziemnych pomarańczy). Wolę inne dodatki – różnego rodzaju kluski, ryż czy ciemny chleb. Na deser wybieram ciasta. Moi współpracownicy, z którymi zdarza mi się pójść do restauracji, zwłaszcza w trakcie kampanii, gdy jesteśmy na szlaku, żartują ze mnie, że niepotrzebnie proszę o menu, ponieważ sprawdzam tam, jakie są desery, a i tak zawsze zamawiam sernik. To pewnie upodobanie wyniesione z domu, bo moja śp. mama robiła wspaniałe serniki.

Chłodnik litewski

Składniki:

- 500 ml bulionu
- pęczek botwinki
- 400 g kefiru
- 400 g śmietany 18-procentowej
- 2 ogórki gruntowe
- koperek
- szczypiorek
- jajko
- łyżka soku z cytryny
- sól, pieprz

Przygotowanie:

Botwinkę myjemy, łodygi i liście siekamy, a buraki obieramy i kroimy w drobną kostkę. Zagotowujemy rosół, dodajemy buraki i łodygi, gotujemy ok. 15 min, na koniec gotowania dodając liście. Po wystudzeniu dodajemy kefir, śmietanę, posiekany koperek i szczypiorek, obrane i starte na tarce lub drobno pokrojone ogórki (trochę zostawiamy do dekoracji). Przyprawiamy solą, pieprzem i sokiem z cytryny, mieszamy i odkładamy do lodówki. Podajemy zimny, dekorując zieleniną i ogórkiem z jajkiem przekrojonym na pół. ©©

oprac. raw

Jarosław Sellin jest wiceministrem kultury i dziedzictwa narodowego.



FOT. ADAM WARSZAWA/PAP



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Ceruj, łataj, szuj

Tekst w brytyjskim dzienniku „The Guardian”: „Slow fashion. Jak utrzymać swoje ulubione ubrania jak najdłużej. Od pralni aż do ochrony przed mołami” wpisuje się idealnie w akcję toczącą się obecnie na wszystkich frontach mody i mającą na celu zmniejszenie szaleńczej konsumpcji ciuchów, a co za tym idzie – powstrzymanie ich szkodliwego wpływu na środowisko. Temat znamy dobrze: przemysł mody to wielki szkodnik i nikt tego nie podważa. Tylko jak to zmienić?

Rady, o które „The Guardian” oczywiście poprosił ekspertów, wydają się równie chałupnicze, co oderwane od rzeczywistości. Dzisiaj pod słowem fashion (który to termin, tak jak każdy sukces, ma wielu ojców) lubią przede wszystkim podszywać się ci, którzy w ogóle z powolnością nie mają nic wspólnego. „The Guardian”, tak jak każda gazeta, bierze kasę z reklam firm kosmetycznych i modowych. Czyż nie?

Co zatem radzą? Jak przedłużyć trwałość naszych ubrań? Ekspertki gazety – Amy Winston-Hart i Orsola de Castro – radzą w sklepie dokładnie obejrzeć ubranie pod światło i sprawdzić jakość szwów, po czym zdecydować, czy sztuka odzieży będzie trwała, czy nie. Słabe szanse dają tym prześwietlaczom, ponieważ dzisiaj 99 proc. ubrań na rynku sztych jest

maszynowo, szybko, jak najtaniej, jak najnieatrakcyjniej. Bo po co szyc lepiej? Klient i tak nie odróżnia jakości, ale patrzy głównie na cenę. Z kolei pan Charles Ross z uczelni Royal College of Art radzi, że lepiej nosić poliestr, bo jest trwalszy, niż włókna naturalne. Winszuję wyboru. Może i trwalszy, ale za to niezdrowy i nieprzyjemny, nawet jeśli uwzględnić najnowszą jego generację, lepiej oddychającą.

Powinniśmy także osiąść umiejętność cerowania i łatania albo zaaprobatację się z miejscowym krawcem, który przerobi i zaceruje.

Ciekawa jestem, co ekspert Tom van Deijnen radzi robić z dzinsami firmowo dziurawymi i jaki jest jego stosunek do butów brudnych od nowości za ponad tysiąc złotych.

Pisałam już, że Stella McCartney radzi ograniczyć pranie. Plamę wywabić miejscowo, ewentualnie wyskrobać brud. Skarpetki jednak możemy prać. W temperaturze 60 stopni, byle nie razem z kuchennymi ściereczkami... Inny problem: mole. Napastują one także Brytyjczyków, którzy wszak słyną ze szkockich wełen. To znaczy słynęli. Na Regent Street, gdzie znajdowały się sklepy „Very British”: z wełnami, kiltami, beretami, ze swetrami. Już ich nie ma. Teraz są sieciówki. Czy pani ekspert Winston-Hart, która radzi, jak pokonać mole, to zauważyła? ©©



FOT. ANDRZEJ STOK

SŁAWOMIR
CENCKIEWICZ

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Wołyń zdradzony!

Kiedyś po pokazie swojego świetnego filmu „Pianista” Roman Polański powiedział, że nakręcił film o „dobrych Polakach, dobrych Żydach i dobrych Niemcach oraz złych Polakach, złych Żydach i złych Niemcach”. W pewnym uproszczeniu Piotr Zychowicz mógłby podobnie podsumować swoją najnowszą książkę – „Wołyń zdradzony” – bo jest to książka o „dobrych Polakach, dobrych Niemcach i dobrych Ukraińcach oraz złych Polakach, złych Niemcach i złych Ukraińcach”. Napisałem, że „w pewnym uproszczeniu”, gdyż każdy czytelnik „Wołynia zdradzonego” wie, iż jest to przede wszystkim książka o biednych Polakach, którzy padli ofiarą potwornej zbrodni ukraińskiego ludobójstwa przy biernej postawie (zwłaszcza w 1943 r.) dowództwa Armii Krajowej, a nawet dowodzącego okręgiem wołyńskim AK płk. Kazimierza Bąbińskiego ps. Luboń. Pomocy Polakom udzielali najpierw Niemcy (w tym Polacy służący w Wehrmachcie, a nawet w formacjach SS), a później Sowietci organizujący tzw. istriebitelne bataliony. Warto podkreślić, że właśnie tego porządku rzeczy Zychowicz w swojej książce ani przez chwilę nie zagubił! Nawet wtedy, kiedy ukazuje całą złożoność relacji polsko-ukraińskich na Wołyniu w okresie międzywojennym i wojennym oraz również niejednoznaczną (w sensie nie zawsze negatywną) postawę Niemców wobec gehenny, którą Polakom zgotowali Ukraińcy.

Jest to niewątpliwie książka oskarżycielska. To cecha pisarstwa Zychowicza. Tym razem na ławie oskarżonych autor „Wołynia zdradzonego” posadził: 1) wołyńską AK – za lekceważenie zagrożenia ze strony UPA pomimo wielu sygnałów o nadciągającym ludobójstwie polskiego żywiołu na Wołyniu oraz konflikt z przed-

stawicielem władz cywilnych RP (Kazimierzem Banachem ps. Kamil); 2) dowództwo AK – za kurczowe trzymanie się planów ogólnego powstania przeciwko Niemcom, co z kolei nakazywało oszczędzanie potencjału bojowego, bierność i opieszałość wobec wszelkich innych zagrożeń, w tym zwlekanie z dostawami broni i wsparcia personalnego dla wołyńskiej AK (co nastąpiło dopiero po głównej fali ukraińskiego ludobójstwa). Jednak nawet patrząc na ową ławę oskarżonych, wiemy, że chodzi tu „jedynie” o karzygodne grzechy zaniechania, ale bezpośrednimi sprawcami mordu na Polakach są Ukraińcy z UPA, oni są winni tych ciężkich zbrodni, których nie sposób „symetrycznie” porównywać do polskiego odwetu z 1944 r.

„Nie ma wątpliwości – czytamy w »Wołyniu zdradzonym« – że Armia Krajowa już w pierwszej połowie 1943 r. powinna była na Wołyniu wystąpić z całą mocą i energią. Powinna była podjąć zdecydowane, radykalne działania, by ratować Polaków i spacyfikować Wołyń. Ale działania te należało wymierzyć w banderowców, a nie w ukraińskich cywilów. Należało zastosować zasadę odpowiedzialności indywidualnej, a nie zbiorowej. Oddziały UPA jeden po drugim powinny zostać wytropione, okrążone i starte z powierzchni ziemi. A każdy ukraiński rezun biorący udział w mordowaniu kobiet i dzieci – powieszony na suchej gałęzi. Tak aby cały Wołyń ogarnęła groza, a pozostali przy życiu ukraińscy szowiniści nie ośmielili się nawet pisać. Nie mówiąc już o podniesieniu ręki na polską kobietę lub dziecko”.

Przedstawione w książce fakty, cytowane dokumenty oraz przywołane ustalenia wybitnych znawców problemu – historyków, żołnierzy AK i świadków, w dobit-

ny sposób uzasadniają oskarżycielskie stanowisko Zychowicza.

Można by dyskutować o stosunku potencjałów – ukraińskiego i polskiego. Bo przecież gdyby taki w 1943 r. został przeciwko UPA zastosowany i wykorzystany, to powstaje pytanie, jaki powinien on być, by poradzić sobie z UPA i hordą napuszczonych na Polaków ukraińskich wieśniaków z nożami i siekierami w rękach (czasem zresztą przymuszanych do wypraw na Lachów). I czy chirurgiczny odwet polski w tej sytuacji byłby w ogóle możliwy? Moje wątpliwości wzbudziły także kategoryczne stwierdzenia o wyłącznej odpowiedzialności Ukraińców za ludobójstwo Polaków na Wołyniu.

Zychowicz użył wygodnej formuły o braku jakichkolwiek dowodów na inspirację niemiecką czy sowiecką. Zapewne ma rację, ale kiedy czytam wyjątkowe studium Grzegorza Motyki – „Rok 1944. Polska a Ukraina” (zresztą nieprzywołane w książce Zychowicza) o antypolskich poglądach Nikity Chruszczowa i jego propozycjach przesiedlenia ocalałych na prowincji wołyńskiej Polaków do większych miast lub odesłania ich razem z komunistyczną armią Berlinga i Świerczewskiego za Bug, to myślę, że ludobójstwo Polaków było Sowietom na rękę, bo trwale zmieniało strukturę narodowościową kresów południowo-wschodnich i w jeszcze większym stopniu uzasadniało ich wcielenie do Związku Sowieckiego. Ja wiem, że projekcje Chruszczowa pochodzą z jesieni 1944 r., ale też wiem, że projekt inkorporacji Wołynia do Sowietów jest znacznie starszy niż data „krwawej niedzieli” (11 lipca 1943 r.), czyli początku wielkiej akcji UPA oczyszczania Wołynia z Polaków.

A książkę polecam! ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

OKIEM JASTRZĘBIA

Uczulam na podenerwowany majonez

Ale że co? Że mnie państwo niby przyłapali? Tak jak 92 proc. populacji robię to. Tak, robię to! Że w moim wieku? Człowiek jest młody tak długo, jak długo ma młode pomysły, niemądre serce i... jak długo sobie ogląda strony plotkarskie. Ostatnio wpadł mi w oko tytuł na takiej popularnej plotkarskiej witrynie: „Zniesmaczona Małgorzata Kożuchowska wychodzi z jaguara za prawie pół miliona złotych”. Dodam, że w nawiasie przy tytule napisane było „Zdjęcia”. Zdjęcia są ważne. Czytanie męczy. Były robione badania. Prawdę nazdjęciowali przy tym artykule. Mina pani Kożuchowskiej była zniesmaczona. Tak państwu o tym tutaj wypisuję, gdyż mi się przypomniał z okazji Kożuchowskiej Norman Davies. Nawet nie chodzi tu o słynnego historyka Daviesa, tylko o mechanizm, w którego tryby został wkręcony, i to nie przez media plotkarskie, tylko poważne, opiniotwórcze, wręcz angielskie. Teraz będzie cytat z jego książki: „Uwielbiają, gdy ktoś wychodzi na durnia. Specjalizujący się w zagadnieniach intelektualnych dziennikarz »Sunday Timesa«, który przerwał mi lunch, musiał przed omówieniem mojej książki w artykule poinformować czytelników, że »podenerwowany profesor« miał »majonez na podbródku«. Moje banalne dość spostrzeżenie, że żadne

państwo, w tym Zjednoczone Królestwo, nie może trwać wiecznie, zaowocowało wielkim nagłówkiem – »Grabarz narodu«. Mowa tu wyłącznie o mediach opiniotwórczych. Redaktorzy odpowiedzialni za zdjęcia są tacy sami”. To, co jest chlebem powszednim celebrytów, a coraz częściej polityków, zdumiało naukowca. Z przykrością stwierdzam, że to moje pisanie dziś jest dużo poważniejsze, niż myślałem. Chodzi o elementarną rzecz, o to, w jaki sposób serwuje się państwu informacje. Z całym szacunkiem dla pani Kożuchowskiej, akurat „zniesmaczona” nie jest jeszcze zła. Media umieją, potrafią i mają narzędzia do przedstawiania nam poszczególnych osób w sosie, sosiku, we mgle, mgiełce sączonych emocji. Negatywnych, ale i pozytywnych. Teoria, że informacje w dziennikarstwie oddziela się od emocji, umarła między wynalezieniem pieniądza a symbolicznym spektaklarnie ogłoszonym zgonem przez Friedricha Nietzschego, któremu to niektórzy z tej właśnie okazji czynią zarzuty, że umarł, to znaczy temu Friedrichowi. Nieważne. Ważne, że pragnę tu państwa uczulić na czytanie. Bo tak sobie państwo czytają i tak się państwu potem myśli. Trochę świadomie, trochę nieświadomie przy tym czytaniu. Tymczasem pragnę uczulić, że „zniesmaczona” czyha i „podenerwowany majonez”. ©

MARCIN
MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Bohaterka naszych czasów

Każdy reżim ma swoich męczenników. Osoby, które na przekór paraliżującemu terrorowi i propagandzie potrafiły stanąć – często samotnie – w obronie ogólnoludzkich wartości. To właśnie ci tytani humanitaryzmu po latach upodlenia byli świadectwem, że nawet w największym mroku może zaświecić światło sprawiedliwości. Również nasz kaczystowski autorytaryzm od kilku tygodni może się pochwalić bohaterką, która rzuciła wyzwanie PiS-owskiej maszynie zniewolenia, zadając bolesny cios w samo jej serce – telewizję publiczną.

Mowa oczywiście o aktorce i piosence Barbarze Kurdej-Szatan, która oświadczyła w głośnym wywiadzie w podziemnym magazynie „Party”, że wypowiedzenie jej gwiazdorskiego kontraktu z TVP spowodowane było „względami politycznymi”. – Popierałam różne marsze protestacyjne, co było sprzeczne z polityką władz stacji, a jednocześnie uwielbiałam programy, które prowadziłam. [...] Nie potrafiłabym np. nie wspierać praw kobiet czy środowisk LGBT. Przecież wielu moich znajomych artystów, normalnych, bardzo dobrych, uczciwych ludzi, to geje czy lesbijki – wyznała. Nie było wyboru – opozycyjna działalność musiała w końcu przelać czarę goryczy. Dlatego właśnie po pięciu latach regularnej pracy dla stacji, na której antenie Kurdej-Szatan z bólem serca

prowadziła gale, animowała programy rozrywkowe i była twarzą formatów takich jak „The Voice of Poland”, „The Voice Kids” czy „Dance, dance, dance”, podziękowano niewygodnej celebrytce. Ta, odpowiadając pięknym za nadobne, w pełnym nonkonformizmu oświadczeniu stwierdziła, że „niczego nie żałuje” i „może sobie teraz przynajmniej spojrzeć w twarz”.

Chciałbym, aby w tym momencie – cokolwiek państwo robią – na chwilę państwo usiedli, wzięli głęboki oddech i pomyśleli, jak wielkie brzemie musiała dźwigać Barbara Kurdej-Szatan, znana również z hitowego serialu TVP „M jak miłość”. Teraz już wiemy, że przez cały ten czas za beztruskim uśmiechem artystki skrywała się przejmujący smutek i niezgoda na życie w kraju, który depcze tolerancję. „Ostatnio czułam wewnętrzne rozdarcie” – przyznała w wywiadzie. Na pytanie dziennikarki „Party”: „Mówiłaś kiedyś, że nie potrafisz ukrywać swoich poglądów, bo tak zostałaś wychowana”, Kurdej-Szatan ujawniła, skąd czerpie swoją siłę. – Moja mama w czasach komunizmu pracowała jako nauczycielka języka polskiego. Za rozwieszanie ulotek Solidarności na korytarzu szkoły została zwolniona ze swojej pierwszej pracy – mogliśmy przeczytać. Dzisiaj córka idzie w jej ślady. Co prawda zarobione przez ten czas pieniądze pieką, ale to cena, którą warto zapłacić za obronę demokracji. ©



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Autorytet z mięśni

MARCIN RÓŻAŁSKI „RÓŻAŁ”: *Każdy ma swoje rzeczy święte. Dla jednej osoby będzie to rodzina, dla innej krzyż i wiara. Dla mnie święte są symbole narodowe. Nie można żartować z flagi i godła, bo za te symbole zginęły miliony ludzi. Tolerancję mają być żarty z symboli narodowych?*

Przy okazji płockiego Marszu Równości portal wPolityce oddał dużo miejsca zawodnikowi MMA, który marsz w ostrych słowach skrytykował, a ponieważ jest sławny i pochodzi z Płocka, słowa te uznano za szczególnie

na moralny autorytet broniący tradycyjnych wartości. „Różał” jest bowiem przeciwko LGBT, ale w jednym z wcześniejszych wywiadów tłumaczył dlaczego. Otóż LGBT – zdaniem nowego pieszczocha części prawnicy – przygotowuje dzieci dla księży pedofilów. Tak mówił na przykład o warszawskiej Karcie LGBT: „Moim zdaniem to jest wczesne przygotowanie dzieci do tego, żeby siadały na ch...ja takim np. księżom pedofilom. U dziecka zostanie wcześniej pobudzona seksualność i później ono złapie jakiegoś starego ch...ja za ch...ja, a on powie, że to dziecko przyszło i samo złapało. To jest chore”. „Różał”, prywatnie satanista, Kościoła katolickiego nienawidzi i nawet był przez „salon” chwalony za odwagę, z jaką to okazuje. A komentując słynną homilię abp. Jędraszewskiego, nazwał Kościół „zarazą”. „Jedna zaraza zarzuca drugiej to i tamto. Jedna chce szkolić dzieci, żeby mieć gotowych do molestowania, a inni molestują od lat. Przykładując jednej zarazie ślą miliony do toruńskiego oligarchy, a dzieci umierają na raka, nie mają na leczenie niepełnosprawnych, nie ma dla nauczycieli, dla nikogo, ale do tej ... jest”. Wypada tylko pogratulować części prawicy

nowego sojusznika. A może żyć staranniejszego researchu przed lansowaniem kolejnych obrońców tradycyjnych wartości, których jedyną zasługą jest to, że akurat splunęli w słuszną stronę.

Tymczasem Joanna Kluzik-Rostkowska o obecność „Różała” w przestrzeni publicznej oskarża PiS. „PiS pozwolił na to, by człowiek, który jest zwyczajnym chamem, znalazł swoje miejsce w przestrzeni publicznej” – oburza się pani poseł, ale nie wyjaśnia niestety, jak PiS miałby przeciwdziałać obecności w przestrzeni publicznej znanego sportowca, skoro partia, do której sama należy, latami nie chciała zrobić nic z obecnością w przestrzeni publicznej swojego własnego chama, Stefana Niesiołowskiego, bo był jej bardzo potrzebny do obsługiwanie antypisowskich hejterów, którzy stanowią pokaźny odsetek elektoratu Platformy. Czy się to politykom podoba czy nie, chamy o poglądach od prawa do lewa nie potrzebują ich zezwolenia na publiczną aktywność. Po stronie LGBT udziela się na przykład Dariusz Michalczewski, skazany za pobicie żony. Też taki sobie sojusznik, prawda? ©©

Czy się to politykom podoba, czy nie, chamy o poglądach od prawa do lewa nie potrzebują ich zezwolenia na publiczną aktywność

ważne. Było więc coś o „robieniu gnoju” i „dzieleniu Polaków”, a przede wszystkim o tęczowym ataku na polskie świętości. Gdyby portal braci Karnowskich lansowanie „Różała” poprzedził szybką prasówką, poznałby lepiej Różałowe poglądy i głębiej się zastanowił, czy na pewno jest to osoba, którą warto kreować

PODSŁUCHANE

Plan petarda

Cześć, Aśka. Widziałam te twoje wytyczne dla Witkowej. Tę eliminację plastiku w Sejmie to jednak mogłaś dać na początku.

Wiem, Sylwia. Tak mi się jakoś napisało, wstyd mi. Ale już mam gotowy wniosek o wystawę „Plastik zabija” w głównym hallu. I niech się spróbuje nie zgodzić marszałkini!

Tylko musisz się pilnować. Bo widziałam jakieś twoje zdjęcie z kubeczkiem plastikowym. Wiem, te trolle prawackie się czepiają. Ale spoko, ja już nawet długopis mam papierowy. Pięćdziesiąt dolców kosztował na Amazonie, ale za to bardzo ekologiczny. A ty jak?

Robię tu, w Brukseli, protest w sprawie braku węgierskich potraw w bufecie. A jak się zaczną na dobre posiedzenia, to mam prawdziwy plan petardę!

Gadaj!
Ci tutaj ciągle żrą te steki wołowe. Wpadłam ostatnio na Saryusza-Wolskiego w restauracji w PE, jak żarł. Mówię: Czy pan wie, że przez takie steki cierpi planeta? A on do mnie: Bo niby co, krowy pierdzą? I żre dalej. Taki beczelny. A to cham, I co?
We wrześniu robię z zielonymi akcją: kto będzie w restauracji żarł steki, tego spryskamy krowim łajnem. Super, co nie? ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Obchody 15 sierpnia, dnia Wojska Polskiego, będą odbywać się w Katowicach, dlatego że jest to okręg wyborczy obecnie urzędującego premiera”.

GRZEGORZ SCHETYNA, szef PO,
o obchodach Święta Wojska Polskiego

fol. Jerzy Gumowski



Potęga sprytu (1)

Miniego roku wśród neologizmów wskazujących dumnia/głupca królowało słowo „*dzban*”, a tuż za nim uplasował się „*niepełnosprytny*” (tawestacja „*niepełnosprawnego*”), lecz czy słusznie? Niby wszyscy wiemy co to jest spryt (zdolność umysłowa stanowiąca przedsiębiorczy/kombinacyjny rodzaj inteligencji), jednak — rzecz ciekawa — stare i nowe definicje „*sprytu*” mocno się różnią. Różnicę tę wyznacza słowo: „*przebiegłość*”. Dawne słowniki polszczyzny (exemplum renomowany przedwojenny słownik M. Arcta) definiowały „*spryt*” właśnie jako „*przebiegłość*”, czasami dodając łagodzące formuły (np. „*wrodzona łatwość wynajdywania stron korzystnych i omijania przeszkód*”), zaś leksykony z epoki PRL-u (np. PWN) i III RP (np. Reader's Digest) wystrzegały się „*przebiegłości*”, klarując bardziej eufemistycznie, per: „*obrotność*”, „*smykałka*”, „*umiejętność odpowiedniego postępowania tak, aby przyniosło ono korzyść*”, „*umiejętność radzenia sobie*”, etc. Jako że „*bliższa koszula ciału*”, to w kwestii radzenia sobie zaczęły „*nawijanie*” od własnej branży, czyli od „*ludzi pióra*” — prozaików i poetów:

Pewnego mroźnego/wietrznego wieczoru grudniowego sławny niegdyś XVII-wieczny poeta brytyjski Samuel Butler (główne dzieło: „*narodowy epos satyryczny*” „*Hudibras*”, wzorowany na „*Don Kichocie*” Cervantesa i wykpiwający angielską moralność) chciał przenocować w zajeździe, lecz wewnątrz zobaczył, że przy kominku roi się od gości, wszystkie miejsca były zajęte, ścisk, nie dałby rady wcisnąć się blisko ognia. Wezwał tedy stajennego i rozkazał:

— Chłopcze, zanieś memu koniowi do stajni wiązkę ostryg, a mięgim!

— Chciał pan powiedzieć: wiązkę owśa... — wymamrotał stajenny.

— Nie, dobrze wiem co mówię, nie przejęczyłem się, chłopcze. Zanieś memu koniowi solidną porcję ostryg!

— Się robi, proszę pana! Jak pan każe.

Gdy półmisek był gotowy, służący go zabrał, a siedzący wokół kominka zerwali się na równe nogi i ruszyli za nim ku stajni, by ujrzeć dziwadlo: konia-cudaka raczącego się ostrygami. Co zezwoliło Butlerowi rozsiąść się wygodnie przy ogniu. Po kilku minutach stajenny wrócił, niosąc pełny półmisek, i zameldował:

— Proszę pana, pański koń nie chce tych ostryg jeść.

— Tak?... No to trudno, postaw je, chłopcze, przede mną.

Z kolei popularny swego czasu brytyjski pisarz William Somerset Maugham miał za młodu duży kłopot ze sprzedażą swej debiutanckiej książki, umieścił więc w gazetach następujące ogłoszenie: „*Młody milioner o wrażliwym charakterze, miłośnik poezji i muzyki, pragnie, gwoździ małżeństwa, poznać niewiastę, która pod wieloma względami przypominać będzie bohaterkę powieści Williama Somerseta Maughama*”. Cały nakład rozszedł się w ciągu czterech dni.

Anegdotą o Maughamie dotknęliśmy kwestii handlowych/biznesowych czyli finansowych, a ta branża wymaga bardzo dużego sprytu, stąd żydowskie kawały/dowcipy („*szmoncesy*”) kochają temat „*geld*”. Dwa dla smaku. Ubogi Żyd karci syna pragnącego poślubić dziewczynę niezbyt zamożną:

— Mój chłopcze, pamiętaj, że mieć biednego ojca to żaden wstyd. Ale mieć biednego teścia to ciężka głupota!

Srul dzwoni do przyjaciela, pytając:

— Mosze, ile to jest siedem razy cztery?

— A kupujesz, czy sprzedajesz?...

Właśnie: pośród wszystkich mechanizmów, które rządzą kupnem i sprzedażą, najważniejszy jest spryt. Z tego i tylko z tego powodu brukselscy cwaniacy zadekretowa-



Przebiegłość czy operatywność?



li, że marchwka to owoc, a ślimak to ryba. Gdy Berlusconi kupił stary klasztor, by go przerobić na luksusową klinikę urody, władze nakazały mu utrzymanie religijnej funkcji obiektu, wywiesił tam więc duży szyld: „*Święty SPakój. Zapraszamy na SPArkolekcje!*”. Takie cwaniactwo w każdej epoce święciło triumfy. W XVIII stuleciu pewien londyński wytwórca tacek pogłębił konkurencyjne wytwórnie ściągając do siebie rzesze klientów reklamowym in-seratem: „*Tylko u mnie można nabyć pojazd, który się porusza bez pomocy koni!*”. Tylko u warszawskiego krawca Adamczyka można było kupić paraturę „*ferezy*”, która stała się „*krzykiem mody*” kiedy król Jan III Sobieski założył takową wjeżdżając do Warszawy po „*odsieczy wiedeńskiej*” — przez pierwsze kilkanaście dni dworacy i możnowładcy wykupili gorączkowo cały zapas tych wdżianek, który Adamczyk przygotował. A skąd wiedział co ma przygotować? Od syna, „*luzaka*” chorągwi husarskiej, który podsłuchiwał, że król wjedzie do stolicy „*w ferezy z namiotu wielkiego wezyra*” (odtąd zwano tego krawca „*rezolutnym Adamczykiem*”, funkcjonowało nawet porzekadło: „*Sprytny jak Adamczyk*”).

Sto lat później, też na gruncie stołecznym, zrobiono jeszcze lepszy interes, będący rezultatem megasprytu. W latach 80-ych stulecia XVIII przybył do Warszawy francus-

ki wolnomularz, baron Le Fort, który wiedział, iż żebracy to wbrew pozorom bardzo bogaci ludzie. Zaproponował on stołecznemu magistratowi, że upora się z plagą nę-kającego gród Warsa i Sawy żebractwa, wobec której władze były bezradne mimo wysiłków. Miał klarowny plan: trzeba wyłapać wszystkich żebraków i zgromadzić ich w domach pracy zarobkowej przy rogatkach Wolskich, gdzie będą czyścili wełnę na sprzedaż hurtową. Gdy marszałek koronny Mnieszcz dostarczył tam żebraków, ludzie Francuza siłą, przemagając rozpaczliwy opór, zdarli z „*dziadów*” brudne lachy i założyli im nowe (robocze) ubrania. Le Fort wiedział (znając paryski szachowy światowej elity (z udziałem norweskiego mistrza globu, Magnusa Carlsena), ale jej nazwa i jej logo nie mogły się nigdzie na turnieju pojawiać, bo prawo norweskie zabrania reklamowania firm, które czerpią zyski dzięki „*sportowemu hazardowi*”, czyli obstawianiu wyników sportowych zmagani. Wobec tego Unibet dał imprezie nazwę No Logo, którą media tłumaczyły swym użytkownikom (elektroniczne widzom i słuchaczom, papierowe czytelnikom), przez co sponsor dostał darmową reklamę, która, gdyby miał za nią płacić, kosztowałaby setki milionów.

I by już domknąć merkantylny wątek sprytu — oddajmy hołd studentom, chwalcąc ich pomysłowość. Studenci moskiewskiej Wyższej Szkoły Technicznej cichcem skonstruowali za czasów ZSRR maszynę do produkcji 10-rublowych banknotów i sprzedali ją gruzińskiemu przestępcy, rzecz prosta instruując nabywców jak ją obsługiwać, to jest gdzie wlewać farbę, a gdzie spirytus, i w którą stronę kręcić korbą. Bandyci wlewali, kręcili i cieszyli się, że maszyna wypływa autentyczne banknoty (kazali pierwsze sprawdzić ekspertom — były bez zarzutu). Jednak po dwóch dniach maszyna zacięła się. Sprowadzony mechanik orzekł, iż wcale nie produkowała rubelków, tylko miała wewnątrz sto autentycznych banknotów, które się właśnie skończyły. Radziecki sąd wlepił głupim nabywcom po 10 lat więzienia, zaś na 3 lata skazał każdego ze sprytnych studentów.

Studenci polscy też mieli wówczas (czas PRL-u) łby nie od parady, lecz to już inna historia, którą zrelacjonuję za tydzień, drodzy Państwo. ©©

Waldemar Łysiak

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski



STRAŻNIK PAMIĘCI

2019

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY



PARTNER GŁÓWNY



PARTNERZY

